SZKOŁA OCZERNIANIA POLAKÓW

Piotr Gontarczyk ujawnia manipulacje Barbary Engelking

Postępująca demencja Bidena – Cejrowski o prezydencie USA

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 8/566 19–25 LUTEGO 2024

CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

FENOMEN KANAŁU ZERO KRZYSZTOFA STANOWSKIEGO

Pornokracja, czyli wstydliwe afery Watykanu

UNIA JAK SOWIETY

Od czerwonej do zielonej rewolucji

NA OKŁADCE: LEONID BREŻNIEW, DYKTATOR ZSRS, I URSULA VON DER LEYEN, PRZEWODNICZĄCA KOMISJI EUROPEJSKIEJ

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

9 772299 850000 08 >

Nakład: 52 000 egzemplarzy

eprasa.pl c7853be07a

Uwaga: nowe ceny na rok 2024

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA DO RZECZY I MIESIĘCZNIKA HISTORIA DO RZECZY

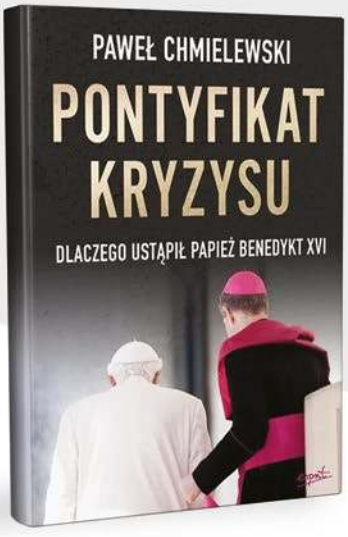

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

PAWEŁ CHMIELEWSKI:

„PONTYFIKAT KRYZYSU"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1353~~ ZŁ

419,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 934 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl c7853be07a

Nowa Unia i jej nadbudowa

PAWEŁ LISICKI

Polska przystąpiła do Unii Europejskiej 20 lat temu. Dla wielu był to jedyny słuszny i naturalny wybór. Unia miała dawać to wszystko, czego zaprzeczeniem był system komunistyczny. Przynależność do niej miała gwarantować wolność słowa i opinii, swobodę prowadzenia działalności gospodarczej, zapewniać ochronę własności prywatnej. Jednocześnie obecny wtedy w Unii system równowagi między państwami większymi i mniejszymi pozwalał wierzyć w zachowanie suwerenności narodowej. Mogło się wydawać, że Unia Europejska jest zaprzeczeniem Związku Sowieckiego, a członkostwo w niej daje Polsce i Polakom te korzyści, na które nigdy nie mogli liczyć, pozostając w kontrolowanej przez Moskwę RWPG.

Zanim doszło do referendum akcesyjnego, polski Sejm, kontrolowany wtedy przez postkomunistyczną lewicę, przyjął w 2003 r. specjalną uchwałę, która miała rozproszyć ewentualne wątpliwości: „Sejm Rzeczypospolitej Polskiej stwierdza, że polskie prawodawstwo w zakresie moralnego ładu życia społecznego, godności rodziny, małżeństwa i wychowania oraz ochrony życia nie podlega żadnym ograniczeniom w drodze regulacji międzynarodowych".

Łatwo zauważyć, że po 20 latach sytuacja dramatycznie się zmieniła. Po pierwsze, zdecydowanemu pogorszeniu uległa pozycja państw narodowych w Unii. Po tzw. reformie najpierw systemu nicejskiego, po przyjęciu traktatu z Lizbony i po ostatnich zmianach z roku 2020, które wprowadziły mechanizm „pieniądze za praworządność", prawo do sprzeciwu wobec głosu silniejszych przez pojedyncze państwo stało się czymś iluzorycznym. Zmianom przepisów prawnych towarzyszyło samowolne rozszerzanie kompetencji przez różne sądownicze instytucje Unii. Celem Brukseli stało się zbudowanie jednolitego, scentralizowanego państwa europejskiego, a jego ideały najlepiej wyraża tzw. manifest z Ventotene, którego autorem był włoski komunista Aldiero Spinelli. To do niego odwołują się współcześni liberałowie, lewicowcy, a nawet wielu przedstawicieli tzw. prawicy, którzy przygotowują projekty zmian w Unii.

Żeby doprowadzić do powstania scentralizowanego państwa europejskiego, trzeba zniszczyć resztki państw narodowych. Same decyzje prawne i polityczne nie wystarczą. Potrzebne jest to, co komuniści nazywali nadbudową, a więc wspólna ideologia. Ma ona z jednej strony rozbić tożsamości i zdekonstruować pamięć poszczególnych narodów, a więc dawne obyczaje, prawa i przede wszystkim religię, z drugiej – dać wizję przyszłości i zbudować nowy, europejski naród. W przypadku Unii nadbudowa ta ma kilka najważniejszych komponentów ideologicznych.

Pierwszym jest genderyzm, a więc pogląd, zgodnie z którym nie istnieją obiektywnie dane dwie płci, a podział na mężczyzn i kobiety oraz na role męskie i kobiece są konstruktem społecznym i kulturowym. Przyjęcie tej zasady musi prowadzić do zmiany systemu wychowania i zerwania ciągłości z minionymi pokoleniami. To, co dla nich było święte i wielkie, dla współczesnych ma stać się czymś obojętnym lub jeszcze lepiej – wstydliwym. Przeszłość to dzieje ucisku i opresji patriarchalnej, historia prześladowania przez normę tego, co płynne i nieokreślone.

Po drugie, klimatyzm i tzw. zielona rewolucja mają zniszczyć klasę średnią i wprząc do systemu państwowego wszystkie, potencjalnie niezależne grupy społeczne. Dobrym przykładem jest implementowany przez Unię z maniakalnym wręcz zapałem program „Fit for 55". Prowadzi on do kumulacji władzy gospodarczej w ręku państwa. Swoboda gospodarcza przestaje praktycznie istnieć, bo nad wszystkim ma czuwać scentralizowany system kontroli, inwigilacji i obserwacji. Podatki przestają być nakładane dla dobra interesu publicznego, stają się narzędziem inżynierii społecznej i służą osłabieniu takich grup, jak np. rolnicy, dla których w przyszłości miejsca nie ma. Utopia „zeroemisyjnej" Europy ostatecznie ma doprowadzić do powszechnego zubożenia niemal wszystkich, oczywiście z wyjątkiem wąskiej grupy eurokratów i stojących za nimi korporacji. Cała ideologia klimatyczna przypomina do złudzenia sektę religijną, gdzie podstawowe twierdzenia – mamy do czynienia z wywołaną aktywnością człowieka zmianą klimatu, która prowadzi do dziejowej katastrofy – nie są przedmiotem dyskusji, tylko przyjmowane są tak jak dogmaty do wierzenia.

Wreszcie trzecią twarzą ideologii unijnej jest imigracjonizm, a więc dążenie do otwarcia granic narodowych, wymieszania w Europie wszystkich ras, kultur i narodów. Z tego punktu widzenia szczególnie mile widziani są muzułmańscy przybysze z Bliskiego Wschodu i Afryki, bo niosą w sobie największy potencjał buntu wobec zastanych struktur społecznych i narodowych. W ten sposób znikają ostatnie ślady chrześcijaństwa, a masowy napływ imigrantów rozbija lokalne i regionalne tożsamości. Po przekroczeniu odpowiedniej liczby migrantów dane państwo traci też zdolność do utrzymania własnej pamięci kulturowej. Musi przecież ciągle brać pod uwagę wrażliwość i odczucia przybyszów z innych cywilizacji i musi się do nich dostosowywać.

Na naszych oczach rodzi się nowa Unia, która nie ma nic wspólnego z instytucją, do której Polska przystępowała 20 lat temu, do złudzenia zaś przypomina Związek Sowiecki, przed którym uciekaliśmy. ©℗

eprasa.pl c7853be07a

TEMAT TYGODNIA

14 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
„PAŃSTWO EUROPEJSKIE": NIEMIECKI KLON ZSRS
Od czerwonej do zielonej rewolucji

17 ŁUKASZ WARZECHA
NA RAZIE ZROZUMIELI TYLKO ROLNICY

KRAJ

20 JAN FIEDORCZUK
BRUNATNI LIBERAŁOWIE U WŁADZY
Antywolnościowi i zamordystyczni demokraci

23 PIOTR SEMKA
PO CO DAWAĆ PUTINOWI COKOLWIEK ZA DARMO

26 ZUZANNA DĄBROWSKA
CPK, CZYLI CHCEMY WIĘCEJ

28 ŁUKASZ ZBORALSKI
TRIUMF SZKOLNEGO OŁÓWKA

30 KAROL GAC
ZERO ZDZIWIENIA

KULTURA

32 WIESŁAW CHEŁMINIAK
LEGENDA UMIERA OSTATNIA
Wileńskie opowieści

36 PIOTR GOCIEK
BYĆ JAK LARRY

NIE PRZEGAP

38 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

44 WOJCIECH GOLONKA
CO NAM MÓWI PUTIN
Wywiad Tuckera Carlsona

48 TERESA STYLIŃSKA
NOWY JĘZYK, NOWY ŚWIAT

50 PAWEŁ CHMIELEWSKI
NOWA PORNOKRACJA?

HISTORIA

52 PIOTR GONTARCZYK
POLSKI CHŁOP JAKO MENEL I MORDERCA ŻYDÓW
IPN ujawnia pseudonaukę

ŚWIAT

56 WITOLD REPETOWICZ
DEHUMANIZACJA WROGA
Izrael chce wygnać Palestyńczyków?

59 ROZMOWA Z RICCARDEM CASCIOLIM
ROZCZAROWANIE GIORGIĄ MELONI

62 MACIEJ PIECZYŃSKI
POLITYCZNA ARMIA ZEŁENSKIEGO

EKONOMIA

66 ROZMOWA Z RAFAŁEM MEKLEREM
STANICA DOROHUSK
Jeśli Niemcy chcą jeść techniczne zboże, to ich sprawa

68 ANDRZEJ SOLECKI
ORKA NA UGORZE

70 JACEK PRZYBYLSKI
ZUCKERBERG ODRABIA STRATY

PODRÓŻE

74 JACEK PAŁKIEWICZ
POLSKI ŚLAD NA RUBIEŻACH SYBERII
Pamięć o wielkim naukowcu

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (47), PRZYBYLSKI (64), GABRYEL, WARZECHA (65), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), KUCHARCZYK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl c7853be07a

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Cosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Laski Diffusion/East News, Kenzo Tribouillard/AFP/East News**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKA WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

FIRMA RODZINNA

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond: tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829 Nakład: 52 000 egzemplarzy

NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Walka o praworządność?

Analiza wyników badań CBOS na temat opinii obywateli o jakości działania polskich sądów i prokuratury prowadzi do ważnych wniosków. Może zaskakiwać, że sądy i prokuratura w ostatnim pięcioleciu rządów Zjednoczonej Prawicy (2019–2023) miały w reprezentatywnej próbie Polaków we wszystkich przekrojach (statystycznie) lepszą opinię niż w czasie rządów koalicji PO i PSL (2012–2015). Ostatnie pięciolatki rządów obu koalicji są o tyle miarodajne, że już wtedy były widoczne rezultaty ich działań w zakresie wymiaru sprawiedliwości. Pomijamy tu opinie: „Trudno powiedzieć". Dla przykładu: w marcu 2015 r., w ostatnich miesiącach kadencji PO-PSL, dobrze oceniało pracę sądów 25 proc. respondentów, a 52 proc. źle, natomiast pracę prokuratury – 28 proc. dobrze i 40 proc. źle. Porównując te opinie z ocenami uzyskanymi w marcu 2023 r., pod koniec rządów Zjednoczonej Prawicy, zauważamy niewielką poprawę opinii na temat sądów. Wtedy 29 proc. respondentów dobrze oceniało pracę sądów, a 46 proc. źle. Pracę prokuratury dobrze oceniało 27 proc. respondentów, a 39 proc. źle.

Co ciekawe, w okresie rządów PO i PSL ta część środowiska prawników, która w ostatnich latach angażuje się w walkę o praworządność, nie podjęła skutecznych prób dokonania tak wówczas potrzebnej reformy działania sądów i prokuratury. Jak zatem rozumieć ich dzisiejszą determinację w powrocie do status quo ante? Nietrudno zauważyć, że działania te ogniskują się na obsadzaniu stanowisk.

Dalej analizując dane CBOS z ostatnich lat, można zauważyć polaryzację opinii respondentów na temat sądów i prokuratury, gdzie linią podziału są ich preferencje wyborcze. Wśród wyborców wszystkich komitetów wyborczych, które weszły do Sejmu, z wyjątkiem KW Prawo i Sprawiedliwość, przeważały negatywne opinie na temat tych instytucji. Wynika z tego, że niezbędne jest poszukiwanie porozumienia obejmującego jak najszersze spektrum środowisk politycznych w Polsce – w tym i nie tylko w tym obszarze. Wojna polsko-polska na polu sądów i prokuratury toczy się obecnie z przyczyn odległych od istoty rzeczy, czyli od poprawy jakości ich pracy. Potrzebni są nam politycy, którzy od konfrontacji sił politycznych mogą przeprowadzić społeczeństwo do zgody narodowej. W przeciwnym kierunku prowadzą nas niestety zacietrzewieni przywódcy starszego pokolenia – panowie Kaczyński i Tusk.

dr hab. Andrzej Przymeński, emerytowany profesor Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu

Tomaszowi Rowińskiemu

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Mamy

składają

przyjaciele z tygodnika „Do Rzeczy"

eprasa.pl c7853be07a

NA PIERWSZY OGIEŃ

Brukselskie trzęsienie ziemi

PIOTR SEMKA

Mimo że do wyborów do europarlamentu jeszcze cztery miesiące, Jarosław Kaczyński niczym Zeus gromowładny przemodelował delegację PiS do tej instytucji. Ryszard Legutko przestaje być szefem delegacji posłów PiS w PE. Jego następcą Kaczyński mianował Dominika Tarczyńskiego, który zabłysnął udziałem w burzliwych dyskusjach plenarnych w Brukseli, w których informował o brutalnym łamaniu prawa przez nowy rząd Donalda Tuska.

Dość obcesowa forma i nagłość tej zmiany spowodowały, że prof. Legutko ogłosił, iż nie będzie startować w najbliższych wyborach. Ba, wycofuje się z czynnej polityki. Podobną deklarację ma podobno złożyć prof. Zdzisław Krasnodębski, któremu nie zaproponowano miejsca dającego gwarancję wyboru. Jeszcze wcześniej zamiar odejścia z polityki ogłosiła trzecia wyrazista postać PiS-owskiej delegacji do PE – Tomasz Poręba.

Skąd to polityczne trzęsienie ziemi? Polityka to dziedzina, w której świat idei miesza się z pragmatyzmem działania. I właśnie ostatnie wypadki przypomniały o tym, jak te dwa światy mogą – ale nie muszą – żyć ze sobą w zgodzie. Epoka kooperacji w Brukseli między Jarosławem Kaczyńskim a grupą profesorów trwała przez trzy ostatnie kadencje europarlamentu. Na Kaczyńskim wielkie wrażenie zrobiły książki Legutki i Krasnodębskiego analizujące zjawisko przemiany tradycyjnego liberalizmu w coraz bardziej represyjną ideologię politycznej urawniłowki. Krążyły opowieści o wielogodzinnych debatach Kaczyńskiego z Legutką czy Krasnodębskim, gdzie przy degustowaniu dobrych win lider PiS prowadził wyszukane intelektualne dysputy.

Początkiem kresu tej trwającej niemal trzy brukselskie kadencje „Entente cordiale" było na początku zeszłorocznej kampanii do Sejmu nagłe usunięcie Tomasza Poręby z funkcji lidera kampanii PiS. Potem, już po wyborach, do gry o wpływy w Brukseli weszła frakcja premiera Mateusza Morawieckiego. To z nim utożsamiany jest były ambasador Polski przy Komisji Europejskiej Andrzej Sadoś, którego Kaczyński przeforsował na stanowisko sekretarza generalnego grupy Europejscy Konserwatyści i Reformatorzy w miejsce Gabriela Beszłeja – polityka, który cieszył się zaufaniem Legutki. Oczywiście na kształt list wpłynęła też polityka Kaczyńskiego, który tradycyjnie wynagradza miejscami biorącymi tych, których uważa za osoby, które wykonały trudną robotę dla partii. To wróży atrakcyjne miejsca dla takich osób jak Joanna Lichocka, a być może i Jacek Kurski.

Kaczyński wyraźnie stawia na reprezentację w Brukseli, która będzie umiała sprawnie i bez kompleksów wdawać się w dyskusję na forum parlamentu. Pytanie tylko, czy krajowi fighterzy będą równie skuteczni w polityce zdobywania dla PiS przyjaciół spośród innych partii konserwatywnych. Tutaj potrzebna jest bardzo dobra znajomość języka, a także umiejętność porozumiewania się z politykami z innych krajów. A tego uczyć się trzeba latami. Kaczyński woli klub mniej światowy, ale zwarty. Zwycięża duch oblężonej twierdzy. ©℗

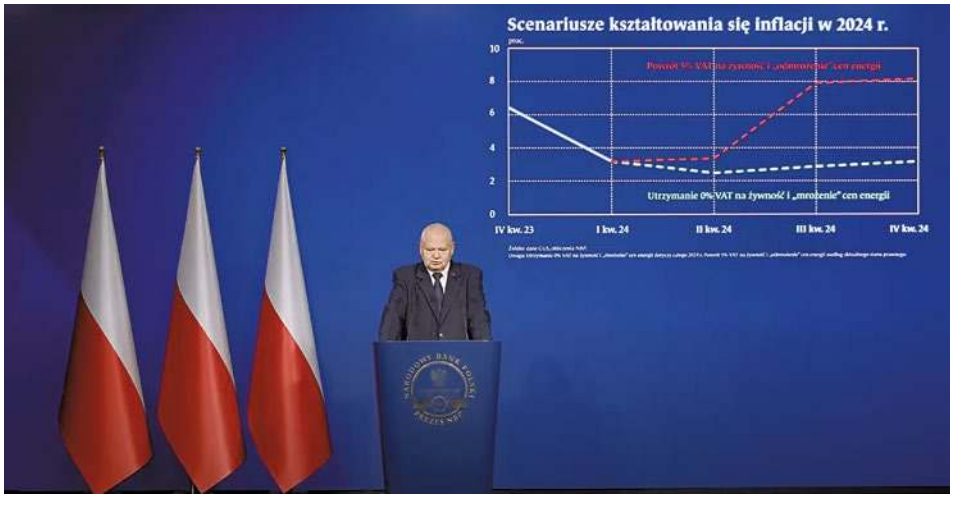

FOT. NBP

INFLACJA W POLSCE NAJNIŻSZA OD NIEMAL TRZECH LAT

Inflacja CPI w Polsce spadła z 6,2 proc. w grudniu do 3,9 proc. w styczniu – podał Główny Urząd Statystyczny. To najniższy odczyt od marca 2021 r. Jednocześnie pierwszy raz od prawie pięciu lat inflacja konsumencka jest niższa od stopy referencyjnej NBP. Według prognoz tempo wzrostu cen może jednak w tym roku znów przyspieszyć. Szybkie obniżki stóp procentowych wydają się więc mało realne. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl c7853be07a

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!

ZIEMKIEWICZ KONTRA SEMKA – POLSKA DMOWSKIEGO CZY PIŁSUDSKIEGO?

Krew na pierwszych stronach gazet – Najbardziej ponure epizody z dziejów konfliktów politycznych II RP

Emigracyjne polskie piekiełko – W kraju trwały jeszcze walki, nie wszyscy skapitulowali, a emigracyjni politycy nad Sekwaną już szli ze sobą na noże

Biało-czerwony „Nautilus" – Juliusz Verne chciał, aby kapitan Nemo był Polakiem, powstańcem styczniowym, mszczącym się na rosyjskich statkach

Zaginiona eskadra – Sowieci bardzo skutecznie postarali się, aby zapomniano o największej polskiej produkcji filmowej II RP sławiącej zwycięstwo Polaków nad bolszewikami

Niewolna Liberia – Wyzwoleni Amerykanoliberyjczycy pogardzali tubylczą ludnością i na ponad 100 lat pozbawili ją wszelkich praw

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl c7853be07a

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Dialektyka

Tak zwane elity III RP, najwierniejsze zaplecze „likwidatury" Tuska, oprócz żądzy zemsty na PiS i paraetnicznych czystek we wszystkich obszarach życia publicznego zaczęły ostatnio artykułować jeszcze jedną emocję: nienawiść do amerykańskich republikanów. Oczywiście trzecie wiąże się z drugim i pierwszym. Tak zwane elity od pokoleń nasiąkały marksistowską dialektyką, która kazała każde zjawisko umieszczać albo po stronie Postępu, albo Reakcji – czyli wrogów. I nadal myślą tym wzorem. PiS niewątpliwie jest Reakcją, a zatem wszystko, co da się z PiS połączyć – również. Amerykańscy republikanie są wrogami Bidena, który przysłał tu Brzezinskiego i jego partnerkę, robiących sobie wspierające selfiki z Bodnarem i innymi hajdukami Tuska, a więc jest Postępem, a więc republikanie są pisowcami. Zatem to PiS zablokował w amerykańskim Kongresie pomoc dla Ukrainy. Proste.

Jeśli komuś ta dialektyka nie wystarcza, to warto nadmienić, że wbrew przekazowi Tuskowych mediów republikanie nie zablokowali pomocy dla Ukrainy, tylko cały budżet USA, którego pakiet wsparcia dla Ukrainy stanowi tylko jeden z elementów. Zablokowali także pomoc dla Izraela i Tajwanu oraz wypłaty dla urzędników administracji. Nie chodziło więc o Ukrainę, a tym bardziej o wsparcie dla Putina, a więc PiS (znowu dialektyka!).

Konserwatyści użyli po prostu politycznej bomby atomowej. Po co? Żeby wymusić na demokratach odejście od proimigranckiej polityki, sprawiającej, że nielegalni imigranci, napływający setkami tysięcy przez rozgrodzoną granicę z Meksykiem (pamiętamy, że plany budowy muru i zatrzymywanie imigrantów były głównymi oskarżeniami propagandy Bidena wobec Trumpa?), natychmiast po wdarciu się do USA stają się praktycznie nieusuwalni oraz cieszą się opieką na koszt amerykańskiego podatnika. Demokraci tej polityki trzymają się kurczowo, choćby za cenę Ukrainy, Izraela i Tajwanu, bo proimigranckość jest podstawą ich lewicowego ideolo.

Podobnie jak ideolo liberalnej Europy. I tu dopiero dialektyczny związek faktycznie zaczyna coś wyjaśniać. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Dzieci bez nazwisk

W sejmowej debacie nad ustawą „Tak dla rodziny, nie dla gender" przedstawiłem wiele racji prawnych i społecznych za wypowiedzeniem konwencji stambulskiej. Niestety, posłowie większości zamiast konwencją zajmowali się głównie PiS. Co nie zmieniło tego, że nawet pośród tych monotonnych głosów usłyszeć można było opinię naprawdę ciekawą i oryginalną.

Pani Anita Kucharska-Dziedzic, posłanka i wiceprzewodnicząca Nowej Lewicy, uzasadniając konieczność międzynarodowych regulacji genderowych, jako przykład form społecznych, odziedziczonych po patriarchalnej przeszłości, podała… własne nazwisko: „Nazywam się Kucharska-Dziedzic, co znaczy, że mój ojciec nazywał się Kucharski, a mój mąż to Dziedzic […]. To po prostu pozostałość pewnego prawa […]. Zostały nam gesty i symbole, już kompletnie nieczytelne".

Pani przewodnicząca AKD odszyfrowała „nieczytelną pozostałość", którą – choć nie przypisuje jej wartości – faktycznie akceptuje, w odniesieniu do siebie i w ogóle, przynajmniej w skorygowanej (dla nieformalnych związków) formie.

Ale nawet jeśli sama uważa nazwiska za zło jedynie egzystencjalne, część doli ludzkiej, to nie ma żadnych gwarancji, że z jej tchnących Engelsem analiz jakaś kolejna osoba, wiceprzewodnicząca Nowej Lewicy, nie wyprowadzi wniosku, że istnienie nazwisk to zło nie tylko egzystencjalne, lecz także moralne, takie, którego podtrzymywać nie można i od którego czas dzieci uwolnić. Skoro rodziców można już oznaczać literami, to dzieci można ponumerować i w ten sposób będą mogły potem społecznie „stwarzać się same". U Huxleya to było prostsze, bo zniesiono „żyworództwo", więc i macierzyństwo, a dzięki postępowi technologii wszystkie dzieci nie tylko się poczynały, lecz także rozwijały i rodziły się in vitro. U nas są jeszcze częścią rodziny, więc tym bardziej pozbawienie jej prawomocności byłoby ważne dla pomyślnej budowy Nowego Wspaniałego Świata. ©℗

eprasa.pl c7853be07a

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Do góry nogami

Luca Dell'Atti ma 32 lata i doktorat z prawa. Wykłada na uniwersytecie w Bari i jest dyrektorem muzeum w Ostuni, ale rozumek ma tak malutki jak Kubuś Puchatek. Organ intelektualny doktorka trawi bowiem napędzana ideologią nienawiść.

Ciężka choroba dała o sobie znać 10 lutego, w Dniu Pamięci ofiar czystek etnicznych jugosłowiańskich komunistów [w latach 1944–1946 wymordowali ok. 20 tys. Włochów – dop. P.K.]. W swoich mediach społecznościowych wychowawca młodzieży opublikował zdjęcie premier Meloni oddającej hołd ofiarom na cmentarzu przy jednym z miejsc zbrodni w Basovizzy pod Triestem.

Opublikował je celowo do góry nogami. We Włoszech to czytelna dla wszystkich aluzja do makabrycznych scen z 29 kwietnia 1945 r., gdy w Mediolanie na Piazzale Loreto z dachu stacji benzynowej partyzanci zwiesili powieszone za nogi zwłoki Mussoliniego, jego kochanki i kilkunastu faszystowskich hierarchów. Czyli, zgodnie z jedynym hasłem wyborczym włoskiej lewicy w przegranych wyborach 2022 r., „Giorgia Meloni jak Mussolini". Kilka godzin później, gdy rozpętała się burza, doktorek skasował publikację i zgodnie z prastarą tradycją swoich ideowych antenatów złożył solenną samokrytykę.

To nie pierwszy taki przypadek. Gdy w 2021 r. ukazała się autobiografia „Jestem Giorgia, moje korzenie i idee" ze zdjęciem na okładce, postępowi księgarze ustawiali książkę na wystawach i półkach też do góry nogami. Inni informowali z dumą na drzwiach, że w ich postępowej księgarni miejsca dla biografii Meloni nie ma. Słowem – włoski lewicowy pluralizm demokratyczny w pełnej krasie.

Dell'Atti w złożonej samokrytyce pogrążył się jeszcze bardziej. Tłumaczył, że doznał pomieszania zmysłów, gdy usłyszał Giorgię Meloni przemawiającą w Basovizzy. Nie on jeden. Przed siedzibami jaskiniowych komunistów i anarchistów w geście solidarności ze zbrodniarzami wywieszono flagi komunistycznej Jugosławii. Przywódcy włoskiej lewicy skwitowali Dzień Pamięci i wybryk doktorka haniebnym, bardzo wymownym milczeniem. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl c7853be07a

ZUZANNA DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

FACECI (NIE) W RAJTUZACH

Celebryci jeździli już na łyżwach, podróżowali po Azji autostopem i szukali miłości na wizji. Pomysłów na ich medialną eksploatację wciąż (niestety) nie brakuje. Wkrótce na antenie TVN zadebiutuje program „Czas na show. Drag Me Out". Format zakłada, że celebryci łączą się w pary z tzw. drag queen i rywalizują o stworzenie najlepszych transformacji oraz występów scenicznych. Wśród jurorów znalazła się aktorka Anna Mucha. Gwiazda przekonuje, że w programie zobaczymy prawdziwą sztukę, a nie jedynie tanie popisy. – Pod tą maską, pod tymi kostiumami kryją się ludzie. Kryje się warsztat, kryje się wiedza. Robimy

FOT. PAWEŁ WODZIŃSKI/EAST NEWS

w bardzo poważnej rozrywce, w której, mam nadzieję, pokażemy człowieka, który naprawdę wkłada bardzo dużo wysiłku po to, żebyśmy traktowali to jako dobry show. I to jest wielki hołd dla tych ludzi i ich wysiłku, a także wielki hołd dla kobiecości. To jest tak naprawdę afirmacja kobiecego piękna – przekonywała, co jednak powinno budzić pewne wątpliwości, biorąc pod uwagę, że „drag queen" to mężczyźni, którzy przebierają się za kobiety. Jednak Mucha zapewnia, że w „Czas na show. Drag Me Out" nie chodzi o „facetów w rajtuzach". – Gdyby to był program, który, nie daj Boże, sprowadziłby się do facetów w rajtuzach, to byłaby to nasza porażka i byłoby to przykre. Gdyby to był program, który sprowadza się do tego, że ktoś koślawo chodzi na obcasach, to znaczy, że nie włożył w to odpowiedniego wysiłku ani odpowiedniego serca i nie ma szacunku do swojej drag mentorki. I to też byłoby bardzo przykre. Gdybym ja chciała zobaczyć faceta w rajtuzach, włączyłabym kabaret – przekonuje aktorka. Aby obcować ze sztuką, zamiast iść do teatru, można włączyć przecież TVN. Wiadomo.

JUSIA POJECHAŁA OSTRO

Jakoś tak dziwnie się składa, że konkurs Eurowizji budzi w Polsce ogromne emocje. A dokładniej to, że zazwyczaj nasz reprezentant nie radzi sobie najlepiej, co wywołuje oburzenie i przeróżne teorie spiskowe. Aby ich uniknąć, w tym roku tzw. preselekcje do festiwalu są niejawne. O reprezentowanie Polski ubiega się diwa Justyna Steczkowska. Niedawno na jej instagramowym profilu udostępniono klip, w którym internautka wychwala wokalistkę, jednocześnie kpiąc z jej konkurentki w preselekcjach, tiktokerki Izabeli Zabielskiej. Szydercze wideo szybko zniknęło z profilu Jusi, ale mleko się rozlało. Zabielska wydała oświadczenie. Podkreśliła, że sprawa jest dla niej przykra, gdyż uważała Steczkowską za muzyczny autorytet. Na to zareagowała Jusia. – Kochani, kilka słów do was, ale przede wszystkim do Izabeli Zabielskiej. Izunia, z całego serca cię przepraszam. Nie było moją intencją jakiekolwiek obrażanie kogokolwiek. Ale są to moje media społecznościowe, więc biorę za to odpowiedzialność – rozpoczęła. Wokalistka wyjaśniła, że nagranie uderzające w tiktokerki pojawiło się na jej InstaStories w związku z konkursem dla jej fanów i że opublikował je jej asystent. – Prawda jest taka, mieliśmy konkurs u siebie na Instagramie i na Facebooku, na którym ludzie mieli robić śmieszne filmiki i memy o „WITCH-ER", mojej piosence, i robili. A mój asystent miał wrzucać to na InstaStories i między innymi wrzucił to. Ja tego osobiście nie robię. Ja piszę treści i odpisuję ludziom, ale nie wrzucam tych wszystkich rzeczy [...]. Mój syn do mnie zadzwonił, mówiąc: „Mama, to chyba nie jest fajne, czy na pewno chcesz, żeby to było". Ja mówię: „Ale co?". Weszłam, zobaczyłam, mówię: „O Jezu, nie jest fajne", kazałam to wyrzucić. To wszystko – wyjaśniła. – Przepraszam raz jeszcze z całego serca. Nie moim charakterem jest obrażanie ludzi, jestem przeciwna hejtowi w sieci – dodała Steczkowska. Car dobry, tylko bojarzy źli.

AUDYT RUSIN

Czekaliśmy, czekaliśmy i się doczekaliśmy. Ekspertka do spraw wszystkiego, Kinga Rusin, zabrała głos w sprawie Centralnego Portu Komunikacyjnego. „CPK? Polacy chcą podróżować i latać jak najwięcej. Z badań światowych wynika, że podróżowanie to jedno z największych marzeń większości ludzi. Gdy będąc w Polsce, rozmawiamy ze znajomymi czy nieznajomymi, mówią nam: »chcemy podróżować tak jak wy«. Jest zrozumiałe, że wszyscy, w tym polscy biznesmeni, chcą z Polski móc polecieć bezpośrednio jak najdalej i do jak największej liczby destynacji [...]. Dlatego cieszę się, że wczoraj Platforma Obywatelska potwierdziła budowę CPK – ale że najpierw odbędzie się rzetelna dyskusja o SKALI tego projektu" – napisała w relacji na Instagramie. Pozytywna opinia Rusin na temat CPK wywołała konsternację jej obserwatorów, bo – jak przecież wiadomo – to projekt „pisowski". Tak więc celebrytka szybko naniosła poprawkę. „Nie tylko skala projektu jest problemem. Na prośbę wielu moich obserwatorów i z pewnością w imieniu milionów ludzi zainteresowanych tym tematem, pragnę zaapelować do Pana Macieja Laska, który z ramienia rządu kieruje obecnie projektem CPK, aby nas uspokoił m.in. w zakresie wywłaszczeniowym i przyrodniczym" – ogłosiła była gwiazda TVN. Panie Lasek, do roboty! ©℗

eprasa.pl c7853be07a

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, ministra Nowacka i jej resort… Nie, stop, resort nam się kojarzy z tą prawacką nowomową o resortowych dzieciach, ale z drugiej strony są takie fajne hotele resort & spa… No więc ministra Nowacka i jej resort & spa zaproponowalx nową listę lektur i ku naszemu początkowemu zdziwieniu nie zabrakło na niej „Potopu" Sienkiewicza.

Musimy przyznać, iż sprawdzaliśmy kilka razy, czyj ten „Potop" w końcu jest: Sienkiewicza, Mickiewicza, Rymkiewicza czy jeszcze jakiegoś innego -icza, których pełno było w XIX-wiecznej sarmacczyźnie.

Kiedy już zdziwienie z nas opadło, zrozumieliśmy, jaki genialny pomysł miała ministra z tym posunięciem. Przeciesh teraz nowa odzyskana szkoła, pełna uśmiechniętych nauczycieli i odstresowanych uczniów, wreszcie będzie mogła zająć się zdemitologizowaniem tych bogoojczyźnianych patriotyzmów i dekonstrukcją relacji między Zagłobą a Kmicicem.

To wielka szansa na nowe otwarcie także dla wszystkich nowych lektur, które pozostały w kanonie (nie ma lepszego słowa? To nam się jakoś kościółkowo kojarzy). Nareszcie będą mogły być rozpatrywane i omawiane z postnowoczesnych punktów widzenia, a każdy z nich będzie prawidłowy. Właśnie to najbardziej kochamy w postmodernizmie. Aż sami chętnie wrócilibyśmy do szkoły i potoczyli trochę beki na lekcjach z wąsatych Januszów z Wołmontowiczów, a potem nie mieli z tego pracy domowej.

A tak w ogóle to uważamy, iż lista lektur to przeżytek. Tempo zmian, które zachodzą w tym kraju, może jednak zwiastować, iż już niebawem możemy osiągnąć stan idealny, w którym w tenkrajowej szkole nie będzie już trzeba w ogóle czytać książek.

Może byśmy się tak przenieśli po prostu na media społecznościowe? Ile młodych osób w tym kraju potrafiłoby wymienić najpopularniejszych jutuberów albo tiktokerów, a ilu by było w stanie wymienić tenkrajowych noblistów czy laureatów nagrody Najki?

Możemy udawać, oszukiwać się, ale tej siły już nie zatrzymamy. Poza tym: Ile wyświetleń na jutubie ma taki Sienkiewicz? A Mickiewicz był kiedyś w trendach? Ilu ma followersów na Twitterku? Pozwólmy młodym ludziom wreszcie interesować się tym, na co naprawdę mają ochotę, a nie wiecznie ich zamęczać jakimiś niedzisiejszymi tematami.

Ponieważ potrzebujemy i lubimy wiedzieć, co należy myśleć, często śledzimy wywiady z przedstawicielami świata kultury i sztuki. Zwłaszcza lubimy sprawdzić, co mają do powiedzenia polscy aktorzy, iż – jak wiadomo nie od dziś – jest to elita intelektualna tego kraju.

Natknęliśmy się więc na wywiad z jednym z nich, który ocenia, iż rząd nareszcie otwiera się na Europę, zamiast odwracać się do niej tyłem. I że wszystko idzie we właściwym kierunku.

Nie dość, iż poczuliśmy się pocieszeni, to jeszcze uspokojeni. Pewnie chodzi o tę pigułkę dzień po – to faktycznie spory skok cywilizacyjny i otwarcie się na Europę. No i te wątpliwości co do CPK i atomu – Europa w końcu nie oczekuje od nas gigantycznego lotniska i posiadania własnej elektrowni jądrowej. Węglowej zresztą też nie. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Trzeba twardo jechać

No i mówiłem ci, Rysiu, trzeba było ostro walić z piąchy, a nie jakieś tam ą, ę. To byś nadal był szefem delegacji.

Nie przypominam sobie, panie Dominiku, żebyśmy przeszli na „ty".

Dobra, bez tych ceregieli, ja tu teraz jestem szefem. A pamiętam, jak nosem kręciłeś na tę moją dechę. A tu proszę, Naczelnikowi się spodobało.

Wypraszam sobie!

Możesz sobie wypraszać, ale to wasze profesorowanie, z tym drugim, tym od Niemców, to nic nam nie dało. Tu trzeba twardo jechać!

To proszę twardo jechać, a teraz proszę opuścić mój gabinet.

To raczej Ty opuść, bo to teraz mój gabinet. A, i te szpargały weź.

To jest tłumaczenie „Państwa" Platona!

A to nie znam. Kryminał jakiś? ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„To dobra idea".

PAWEŁ WROŃSKI, *rzecznik MSZ, pytany przez dziennikarza TV Republika, czy będzie tak już zawsze, że wszystkie redakcje mogą zadawać ministrowi na konferencji po dwa pytania, a konserwatywna telewizja ani jednego*

eprasa.pl c7853be07a

dwaj panowie S

FOT. ROBERT CARDZIŃSKI

Zmiany, zmiany. Konkurs konkursem, ale sprawiedliwość musi być po naszej stronie – pozwolimy sobie tak sparafrazować słynny cytat w kontekście wyborów nowego prokuratora krajowego. I już dziś ogłaszamy, że konkurs wygra Dariusz Korneluk. A dlaczego? Bo zasady zostały tak sformułowane, że żaden inny z ogłoszonych już kandydatów po prostu nie spełnia warunków. I tyle w tym temacie.

Skoro już o sprawach prokuratorskich. W minionym tygodniu swoje funkcje stracili szefowie Żandarmerii Wojskowej. Na tym jednak nie kończą się ich problemy. Niebawem do sądu ma trafić akt oskarżenia przeciwko obu generałom. Żeby nie było wątpliwości – akt oskarżania w tym przypadku nie jest dziełem zemsty bodnarowców. Zarzuty wobec obu panów zostały napisane jeszcze za rządów Ziobry.

Apropos Ziobry. Wiewiórki opowiadają, że decyzja w sprawie kandydowania do europarlamentu Ziobry, Kamińskiego i Wąsika jeszcze nie została przez szeregowego posła Jarosława Kaczyńskiego klepnięta. Natomiast w przypadku Obajtka raczej tak – i jest to decyzja na tak.

Media ekscytują się natomiast sprawą odwołania prof. Ryszarda Legutki ze stanowiska przewodniczącego delegacji PiS w PE przez szeregowego posła, naczelnika i nadpremiera. Czy profesor rzeczywiście zamierza w związku z tym nie kandydować? Cóż, jego decyzja miałaby logiczne podstawy, gdyż w Małopolsce miał być trójką, za Szydło i Mularczykiem, a przed Tarczyńskim. Co znacznie utrudniałoby szansę na reelekcję. W tej sytuacji lepiej odejść na własnych warunkach.

Odnotujmy też zmiany na Węgrzech. Jak wiadomo, bratanek Viktor Orbán zmusił do dymisji prezydent Węgier, Katalin Novak. Oficjalnie z powodu ułaskawienia pedofila, a nieoficjalnie dlatego, że jej popularność rosła błyskawicznie i uznano, że w przypadku tąpnięć i napięć w Fideszu byłaby ona zbyt groźnym kandydatem na konkurenta Orbána w kwestii przywództwa.

Z kraju. Musimy pochwalić wiewiórki morawianki. Są bardzo zdyscyplinowane. Nie chciały nic powiedzieć o przyczynach wypadku byłego premiera Mateusza dopóty, dopóki nie poszedł w tej sprawie cynk do „Faktu". Wtedy nagle stały się rozmowne. Więc reasumując: Mateusz złamał nogę na prostej drodze, nie na żadnym spacerze, tylko wracając w niedzielę do domu z kościoła. Jako ludzie, którzy wypatrują znaków, myślimy: jak nie idzie, to nie idzie.

Prawda jest taka, że generalnie nie idzie. Pamiętacie, jak narzekaliśmy, że PiS nie ma jeszcze sztabu wyborczego w boju o samorządy, nie mówiąc już o wyborach europejskich? Niektórzy sądzą, że skoro ogłoszono szefem sztabu Piotra Milowańskiego, to automatycznie oznacza, że jakiś sztab jest. Otóż nie. Nie ma. Jeśli bowiem przyjmiemy luźną definicję sztabu jako stałej grupy osób spotykających się codziennie, aby planować, prowadzić i korygować kampanię wyborczą, to okaże się, że sztabu nie ma.

Dla zdziwionych terminem „sasanki" – no, jakoś trzeba było ochrzcić główne frakcje w PiS. Grupa Morawieckiego – morawianki, oczywista oczywistość. A w konkurencyjnej (zresztą dużo większej grupie) mieliśmy do wyboru szydlaki, czarnuszki itd. No to wybraliśmy sasanki. Od Jacka Sasina.

Tymczasem w Poznaniu. Wbrew marzeniom Szynkowskiego vel Sęka kandydatem PiS na prezydenta nie ogłoszono Klaudii Strzeleckiej, lecz niejakiego Zbigniewa Czerwińskiego, weterana walk z komuną oraz weterana samorządu. W ankiecie dla „Monitora Wielkopolskiego" (magazyn samorządu województwa) w odpowiedzi na pytanie, co najbardziej lubi w samorządzie,

eprasa.pl c7853be07a

napisał on był: „Dręczenie koalicji przemowami w stylu Fidela Castro". Zaiste, kampania w Poznaniu zapowiada się fascynująco.

Pisaliśmy tydzień temu o pośle Miszalskim z Krakowa, który powalczy tam z ramienia PeŁo o prezydenturę. Stał się bohaterem naszych doniesień ze względu na szybkość, z jaką przed kampanią pozbył się swoich udziałów w rozmaitych hotelowych i hostelowych biznesach. Są nowe informacje. W przyrodzie nic nie ginie, tylko zostaje w rodzinie. Więc udziałowcem w tych spółkach został... młodszy, rodzony brat – Henryk. A żona Anna jest menedżerką jednego z tych podmiotów. Udziałowcami są nadal jego długoletni partnerzy biznesowi z tych turystycznych biznesów. Nie bardzo wiemy, jak to nazwać. Może konflikt interesów?

W PSL aż buzuje w kwestii obyczajówki. Jej bohaterem jest przytulony przez zielonych braci były prominentny polityk Platformy. Niedawno dochrapał się funkcji wicewojewody. O względy pana polityka zabiegają dwie panie. Jedna to dziennikarka, która do tej pory dzieliła z nim życie (co stało się dla niej źródłem poważnych problemów w pracy). Druga stawia swoje pierwsze kroki w polityce i – co tu kryć – jest znacznie młodsza. Sytuacja jest napięta, gdyż – jak wieść niesie – panie donoszą na siebie nawzajem do prominentnych ludowców.

W tej włościańskiej love story szczególnie zainteresowała nas młodsza konkurentka. Swoją działalność w polityce zaczęła od donosu na kolegę ze studiów do władz uczelni. Ów student był wyznawcą wrażych prawicowych poglądów. Całą historią żyje pół partii, obawiając się, że miłosna draka może pogrążyć zielonych braci. Zwłaszcza że kolejne zakręty telenoweli można śledzić w Internecie: pani konfidentka lubi polubić w mediach społecznościowych wpisy pana wicewojewody. Chłopy nie bez powodu podejrzewają, że są to wpisy wysławiające uroki wypadów, w których i ona bierze udział.

Ale będą i grubsze kłopoty Trzeciej Drogi. Nie części chłopskiej, lecz części Szymonowej. Lada moment światło dzienne ujrzą fascynujące informacje na temat współpracy Polski 2050 z prominentami branży śmieciowej. Co tłumaczyłoby, czemu partii Szymona tak bardzo zależało na resorcie klimatu i środowiska. Nic więcej nie powiemy. Czytajcie w tym tygodniu gazety.

Ech, te drobne złośliwości ze strony Rafała „Jaki Pan Wysoki" Trzaskowskiego. Dawno temu warszawski ratusz zgodził się na korzystanie przez gości i pracowników Pałacu Prezydenckiego z miejsc parkingowych przylegających do siedziby osoby głowy państwa. Dziwnym trafem niedawno wprowadzono reorganizację parkowania w tamtym rejonie i pozbawiono urząd użytkowanych dotąd miejsc. W związku z tym zmieniamy tytulaturę prezydenta Warszawy i od tej pory będzie on występował jako Rafał „Jaki Pan malutki" Trzaskowski. Chyba nie musimy dodawać, że nie chodzi o wzrost? ©℗

REKLAMA

Poruszające reportaże, wywiady z wyjątkowymi ludźmi, wciągające relacje z autentycznych wydarzeń – to wszystko znajdziesz u nas.

WYDAWNICTWO RM

PATOŻYCIE.
Z NOTATNIKA KURATORA SĄDOWEGO

Jak wygląda praca kuratora sądowego?
Kim są ludzie, z którymi styka się każdego dnia?

„Z biegiem lat uodporniłem się w tym zawodzie. Nie na krzywdę dzieci, ale na patolę i ich tryb życia. Skoro jesteś dorosły, to chlej, ćpaj, żyj w syfie albo na dworcu. To w sumie twój wybór, a ja jedynie mogę ci powiedzieć, że można inaczej."

– autor książki i kurator, Piotr Matysiak

BEZ FIKCJI
Seria literatury faktu Wydawnictwa RM

WWW.RM.COM.PL

eprasa.pl c7853be07a

Rafał A. Ziemkiewicz

Dlaczego Polacy są do tego stopnia ślepi i głusi, że widząc i słysząc otwarcie głoszone tezy, które od wielokrotnie wobec nas używanych dawnych dyskursów okupacyjnych różni tylko nowa, „europejska" terminologia, nie przyjmują tego, co widzą i słyszą, do wiadomości?

Polityka klimatyczna Unii Europejskiej uderza m.in. w rolnictwo, co wywołało falę protestów w całej Europie

FOT. ŁUKASZ PIECYK/REPORTER

„Państwo europejskie": niemiecki klon ZSRS

Wczoraj Moskwa, dziś Bruksela" – pod takim hasłem partie ówczesnej prawicy prowadziły kampanię przeciwko wejściu Polski do Unii Europejskiej przed referendum akcesyjnym. Polacy im nie uwierzyli, akcesja została zatwierdzona, acz przy słabej frekwencji (w liczbach bezwzględnych: o wejściu do UE zadecydowało 13,5 mln z 30 mln uprawnionych do głosowania). Czy słusznie uznali przyrównywanie Unii Europejskiej do Związku Sowieckiego za, delikatnie mówiąc, nieadekwatne? Zdecydowanie tak. Unia Europejska z roku 2003 była wciąż, zgodnie z pierwotnymi założeniami, organizacją suwerennych państw, tworzących wspólny obszar gospodarczy. Owszem, już wtedy pojawiały się głosy obiecujące wielkie korzyści, jeśli w przyszłości cała Europa stanie się jednym państwem, z europejskim nadrządem i nadparlamentem, państwem, w którym problemy, z którymi poszczególne kraje nie mogą się uporać, rozwiązywane będą zarządzeniami płynącymi z wyższego, unijnego poziomu – ale nic jeszcze nie wskazywało, że te pomysły mogą zostać wcielone w życie.

Dwie dekady później mamy do czynienia z zupełnie inną sytuacją. Po wielu z początku drobnych, z czasem coraz dalej idących zmianach – które unijni biurokraci i liderzy najsilniejszych państw wprowadzali skrycie, krok po kroku, metodą faktów dokonanych, przeważnie poprzez tworzenie pokrętnych wykładni traktatowych zapisów, obchodzenie ich lub łamanie wprost – porównanie Unii do upadłego ZSRS jest zdecydowanie zasadne. Z tym zastrzeżeniem, że mówimy o podobieństwie nie do triumfującego, ekspansywnego ZSRS z czasów Stalina czy jeszcze wczesnego Breżniewa, ale o sklerotycznych Sowietach epoki późnego Breżniewa, Andropowa i Czernienki, łączących ideologiczne zaślepienie z biurokratyczną niemocą.

KOLONIALNY WYZYSK

Unia się zmieniła, nie jest już, jak u swego zarania, wspólnym obszarem gospodarczym ufundowanym na zasadzie swobody przepływu na całym swoim obszarze kapitału, pracowników oraz towarów i usług. Przeciwnie, instytucje stworzone, by chronić równość konkurencji i pełnić rolę arbitra wobec nieuchronnych w każdym organizmie gospodarczym sporów, przypisawszy sobie pozatraktatowe kompetencje, używają ich dziś do niweczenia pierwotnych zasad europejskiej równości w imię centralnego narzucania regulacji uprzywilejowujących kraje unijnego centrum kosztem peryferii. Podział na „starą" i „nową" Unię przekłada się w ten sposób na podział na gospodarki uprzywilejowane (np. dyrektywami „doważającymi"

eprasa.pl c7853be07a

kryteria rynkowe „ekologicznymi") oraz gospodarki „mniej zielone" (zmuszane do korzystania z technologii i produktów unijnych mocarstw). Jest to niczym innym, jak formą kolonialnego wyzysku, analogiczną do tego, jak w ZSRS i zbudowanych pod jego władzą „demokracjach ludowych" wszystkie republiki i państwa satelickie zmuszane były do korzystania z osiągnięć „przodującej" gospodarki sowieckiej. Gdy zaś kraje mniejsze okazują się zdolne zagrozić Niemcom czy Francji – w naszym wypadku obszarami takiego sukcesu były firmy przewozowe, wyspecjalizowane działy rolnictwa czy przemysł meblarski – tam zarządzenia, motywowane czy to „spełnianem celów klimatycznych", czy to dbałością o równe przywileje socjalne wszystkich pracowników, zagrożenie to dławią.

Nikt oczywiście nie nazywa tego po imieniu – wyzyskiem. Oficjalnie uprzywilejowywanie centrum kosztem peryferii służyć ma „racjonalizacji" wspólnej gospodarki. Gdy za czasów Gomułki polscy inżynierowie, wykształceni jeszcze przez przedwojennych mistrzów, projektowali polskie samochody, samoloty czy pierwsze, na owe czasy genialnie innowacyjne komputery, uzależnieni od ZSRS decydenci tłumaczyli: nie ma sensu rozpraszać wysiłków krajów socjalistycznych na własne projekty, skupmy się na wdrażaniu osiągnięć przodującej nauki i przemysłu sowieckiego. Podobne myślenie można znaleźć w oficjalnych wypowiedziach rzeczników „pogłębiania integracji europejskiej". Niemiecki wicekanclerz i minister gospodarki Robert Habeck, pytany niedawno o zasadniczą sprzeczność planu wpompowania w gospodarkę niemiecką w formie różnego rodzaju subwencji 300 mld euro z fundamentalną, założycielską zasadą wspólnoty równych szans w wewnętrznej konkurencji, odpowiedział: europejska gospodarka stanowi całość, kraje UE nie konkurują między sobą, konkurują jako Europa z Chinami i USA.

Przemyślmy, jak zasadnicza zmiana w filozofii wspólnoty kryje się w tych słowach, zwłaszcza w połączeniu z zupełnie otwarcie głoszoną przez Niemców tezą, że ich dobrobyt to dobrobyt całej Europy, że tylko gospodarka niemiecka jest w stanie stworzyć technologie tak innowacyjne, by utrzymać Stary Kontynent w lidze światowych mocarstw, i tylko Niemcy są w stanie tak dobrze zarządzić całością, by w tej lidze Europa wygrywała – kanclerz Scholz mówi przecież jasno, że Niemcy mają historyczny obowiązek „wzięcia pełnej odpowiedzialności za Europę" i trzeba znieść w Unii prawo weta, by mniejsze państwa kierujące się swoimi „egoistycznymi interesami" nie przeszkadzały im w tym wielkim dziele. To już nawet nie „po co Polakom przemysł, skoro mogą kupować produkty przemysłu niemieckiego"; to wręcz stwierdzenie, że rozwój gospodarczy Polski i podobnych jej „nowych krajów członkowskich" szkodzi wspólnocie „stanowiącej jedność w gospodarce europejskiej", rozpraszając egoistycznie zasoby, które powinny być w całości zainwestowane w tworzoną głównie z Niemczech i Francji „zieloną" gospodarkę nowej generacji, dzięki której Europa wygra, a co najmniej nie przegra z kretesem w rywalizacji z USA i Chinami.

UZASADNIANIE WYŻSZOŚCI

Dlaczego Polacy są do tego stopnia ślepi i głusi, że widząc i słysząc otwarcie głoszone tezy, które od wielokrotnie wobec nas używanych dawnych dyskursów okupacyjnych różni tylko nowa, „europejska" terminologia, nie przyjmują tego, co widzą i słyszą, do wiadomości? Dlaczego demokratycznie wybrali władzę, która w ten dyskurs podległości Polski w ramach nowego, europejskiego państwa związkowego świadomie i otwarcie nas wpisuje?

Odpowiedź na to pytanie składa się z dwóch elementów. Pierwszy to ideologia, którą się budowę tego europejskiego państwa uzasadnia. Związek Sowiecki swą spójność zawdzięczał panującej parareligii komunizmu, w którą, do czasu, wielu wierzyło, szczególnie wśród warstw przez komunizm uprzywilejowywanych. Skupianie się pod sowieckim przywództwem było dla nich dziejową koniecznością, ponieważ państwo to miało wielką, dziejową misję, obowiązek wobec ludzkości: zwalczenie na całej kuli ziemskiej biedy i nierówności, zaprowadzenie pokoju, powszechnej szczęśliwości etc. Wielki cel usprawiedliwiał bieżące niedogodności i poświęcenia, których żądano od republik związkowych.

Politycy dążący do zjednoczenia Europy w jedno państwo długo szukali analogicznego, ideologicznego spoiwa dla wznoszonej konstrukcji. W każdej z kolejnych prób odwoływano się tu do kompleksu państw, które po dwóch światowych wojnach straciły dominację nad światem, ale wciąż zachowywały dawną „misję białego człowieka" w zbiorowej pamięci elit. Historię jednoczenia Europy można by napisać pod kątem ciągłego szukania przez nią pretekstu do kultywowania swego poczucia wyższości nad resztą świata, szczególnie nad swoją byłą kolonią, Ameryką, która śmiała ją prześcignąć i dwa razy odegrać rolę hegemona ostatecznie ustalającego europejski porządek. W pionierskim okresie wspólnoty ten kompleks zdecydował np. o skupieniu się na budowie „państwa dobrobytu" – może i gospodarka amerykańska rozwija się szybciej i wytwarza większe bogactwa, ale u nas, w Europie, jest sprawiedliwie i na dłuższą metę to się liczy bardziej. Dziedzictwem pozostaje absurdalnie wysoki europejski socjal, tak zabójczy w dobie obecnego kryzysu migracyjnego i dławiących europejską gospodarkę paroksyzmów energetyki, które to kryzysy z kolei są przecież oczywistym skutkiem kolejnych ideologicznych szaleństw.

Potrzeba znalezienia powodów do europejskiej wyższości, jeśli nie faktycznej, to „moralnej", wyrażała się różnie – w pewnym momencie np. Europa, dumna, że w przeciwieństwie do USA zakazała u siebie kary śmierci, obsesyjnie wymuszała analogiczny zakaz, a przynajmniej moratorium, na wszystkich innych – był

eprasa.pl c7853be07a

on np. warunkiem otwarcia gospodarczego na Rosję, formalnie zresztą przez Rosję spełnionym. Owa potrzeba uczyniła z polityków europejskich, a szczególnie niemieckich (nie przypadkiem z lubością mówiącą o obecnych „europejskich" Niemczech jako o „mocarstwie moralnym"), egzaltowanych skautów postępu, podchwytujących każdą ideologiczną nowinkę lewicowych campusów i dokładających wszelkich starań, żeby UE była w nowej modzie „najbardziej": najbardziej inkluzywna, najbardziej otwarta na imigrantów, no i – przede wszystkim – najbardziej „przyjazna klimatowi".

Wszystkie te ideologiczne wzmożenia odcisnęły się na państwach europejskich negatywnie, ale ostatnie z nich przybrało rozmiary iście sowieckiego obłędu – w imię uczynienia Europy „światowym liderem w ograniczaniu emisji gazów cieplarnianych" eurokraci gotowi są ją zmienić w zgliszcza, choć w wypadku obszaru odpowiadającego jedynie za 9 proc. światowej emisji, w sytuacji gdy wszędzie indziej owa emisja rośnie, nawet całkowite zatrzymanie gospodarki i wyegzekwowanie w całej Unii zakazu oddychania nie może wywrzeć na światowy klimat żadnego wpływu. Trudno się oprzeć refleksji, że coś takiego dziać się może jedynie na kontynencie, który przez kilka stuleci późnego średniowiecza uporczywie rujnował sam siebie w imię wyzwalania Grobu Świętego, a 110 lat temu (w tym roku przypada równa rocznica) dokonał spektakularnego samospalenia w imię wyścigu o zamorskie kolonie, z których posiadania pożytek był, na dłuższą metę, raczej prestiżowy niż realny.

Ideologia „klimatyzmu" szczególnie twórcom „państwa europejskiego" podpasowała, ponieważ dostarczyła najlepszego z możliwych przebrania dla kolonizatorskich i imperialistycznych dążeń Niemiec i Francji, a zwłaszcza dla ekspansji ich koncernów. Imperatyw redukcji emisji pozwalał uzasadnić wszystko: dlaczego Europa ma się wyrzec własnej energii i uzależnić od rosyjskiego gazu (docelowo: wodoru), dlaczego cały przemysł ma być przestawiony na zielone technologie, w przekonaniu dyrygentów tej orkiestry zapewniające w przyszłości zbyt na cały świat, i – przede wszystkim – dlaczego mniejsze kraje mają zaprzestać „egoistycznego blokowania" wielkiego europejskiego dzieła.

Ideologia „klimatyzmu" szczególnie twórcom „państwa europejskiego" podpasowała, ponieważ dostarczyła najlepszego z możliwych przebrania dla kolonizatorskich i imperialistycznych dążeń Niemiec i Francji

GŁUSI I ŚLEPI

Kwestia oparcia całej europejskiej przyszłości na mirażu zielonych technologii, które miały się stać siłą napędową światowej gospodarki i w których Europa miała wymusić na samej sobie, poprzez surowe ograniczanie emisji, pozycję światowego lidera, wiedzie nas ku drugiej części odpowiedzi na pytanie, dlaczego tak wielka część Polaków jest ślepa i głucha na europejską rzeczywistość, kultywując naiwną wiarę w dobrotliwą ciocię Unię, która pragnie nas tylko subwencjonować, niańczyć i chronić.

Dziś trudno uwierzyć, że swego czasu teza o wyższości nauki i cywilizacji sowieckiej nad „zgniłym Zachodem" mogła być przez kogokolwiek traktowana poważnie. Postrzegamy dziś ten straszny twór przez anegdoty, jak ten rubaszny żart spopularyzowany przez Slavoja Žižka: „Co to jest – nie świeci i nie mieści się w d….? Sowiecki przyrząd do świecenia w d….". Ale w czasach, gdy powiedziano Jackowi Karpińskiemu, żeby przestał zawracać głowę swoim minikomputerem, bo gdyby to było coś warte, w ZSRS już by takie produkowano (słowo „gigantomania" nie było wtedy w obiegu), wielu wierzyło, upierało się przy tej wierze: Związek Sowiecki odwraca bieg rzek, wygrywa wyścig w kosmos, przoduje we wszystkim! Ich wnuki (często w sensie dosłownym – prawidłowości socjologiczne sprawiają, że postawy patriotyczne i kolaboranckie podlegają u nas w wielkim stopniu dziedziczeniu) wierzą równie uparcie, że jedyną drogą do modernizacji, ucywilizowania i dostatku jest dla Polski pilne wykonywanie poleceń płynących przez Brukselę z Berlina.

Tymczasem, wbrew propagandzie prounijnych elit i obecnego rządu, oddanie suwerenności „państwu europejskiemu" nie oznacza wejścia do obszaru gospodarczego zarządzanego przez Gatesów, Musków i innych genialnych (cokolwiek o innych stronach ich działalności by sądzić) innowatorów, ale miernot, partyjnych aparatczyków i biurokratów, zarządzających przyszłym sukcesem „państwa europejskiego" równie kompetentnie, jak dyrygenci socjalistycznego „cudu gospodarczego" Gierka.

Były sowiecki dysydent i więzień Władimir Bukowski, który w Polsce włączył się bardzo aktywnie we wspomnianą na wstępie kampanię przeciwko akcesji do UE, wielokrotnie powtarzał, że w kształcie, który nadała jej lewica z pokolenia 1968, Unia skazana jest na przepoczwarzenie się w drugi ZSRS. Mylił się tylko o tyle, że panujący w Europie kartel chadecko-socjaldemokratyczno-liberalny (w obecnym jego kształcie to tylko pozbawione dawnego sensu szyldy) nie powtórzył drogi ZSRS, tylko go sklonował. Procedura klonowania, co często umyka laikom poddającym się złudzeniom, jakoby można było tą drogą zapewnić sobie nieśmiertelność, ma tę wadę, że uzyskany organizm ma ten sam genetyczny wiek, co dawca – i tyle samo podziałów komórkowych, czyli tyle samo życia przed sobą. Klonując staruszka, nie damy mu nowego życia, tylko stworzymy kalekę: staruszka noworodka, zeskleroziałego od urodzenia. W taki właśnie sposób „ojczyzna światowego proletariatu" odrodziła się po przeciwnej stronie kontynentu jako „światowe mocarstwo klimatyczne". ZSRS, kosztem deptanych państw związkowych, zdołał przynajmniej stworzyć potężną armię. Próby tworzenia „armii europejskiej", których priorytetem jest, aby była ona bardziej od innych „przyjazna dla klimatu", są oczywistą groteską. Państwo moloch, oparte na sprzecznych ze zdrowym rozsądkiem i z prawami ekonomii ideologicznych urojeniach, zarządzane przez odklejone od rzeczywistości miernoty i biurokratów, próbujące zarządzać wszystkim i niezdolne zarządzać skutecznie niczym, musi przynieść wszystkim, którzy znajdą się w jego zasięgu, katastrofę. Dlatego przestańmy już mówić „polexit"; mówmy – „polescape".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c7853be07a

Na razie zrozumieli tylko rolnicy

Łukasz Warzecha

Ponad 32 tys. zł rocznie na jednego pracującego Polaka przez kolejnych 26 lat, czyli łącznie 832 tys. zł na jedną osobę! – tyle może nas kosztować realizacja unijnej polityki klimatycznej do 2050 r. Stracimy nie tylko pieniądze, lecz także wolność

FOT. ADOBE STOCK

Jeśli dzisiaj wpiszemy w wyszukiwarkę hasło „ETS2", to zobaczymy, że pierwsze kilkadziesiąt rezultatów dotyczy popularnej gry komputerowej „European Truck Simulator", w której gracz wciela się w kierowcę ciężarówki. Najwyraźniej to najpopularniejsze wyszukiwanie hasła „ETS2", co wiele mówi o poziomie powszechnej świadomości. Ciekawe, czy modele samochodów, które w tej grze występują, uwzględniają wejście w życie unijnych regulacji klimatycznych, zawartych w pakiecie ETS2. Przy czym w tym wypadku to skrót od Emissions Trading System w wersji poszerzonej.

ETS2 wejdzie w życie od 2027 r. Do tego czasu pozostały nam zatem niecałe trzy lata. Zdecydowana większość Polaków nie ma pojęcia, co naszykowała nam UE – za zgodą poprzedniej władzy, ponieważ ETS2 został przygotowany i uchwalony podczas rządów Zjednoczonej Prawicy. Obecna władza woli w detale nie wchodzić, żeby Polaków nie wystraszyć, szczególnie przed wyborami do Parlamentu Europejskiego. Zwłaszcza że większość koalicji uważa politykę klimatyczną UE za wspaniałą.

„ZMIANA STYLU ŻYCIA"

Coś jednak zaczyna się do świadomości opinii publicznej przebijać – choćby w kontekście przedstawionej dopiero co propozycji Komisji Europejskiej, aby do 2040 r. zredukować emisję aż o 90 proc. w relacji do roku 1990. Chodzi co prawda o emisję Unii Europejskiej jako całości, ale nie oznacza to, że możemy spać spokojnie, bo przecież Polska ma tu wyjątkowo niekorzystną sytuację ze względu na swój miks energetyczny, w którym nadal ponad 60 proc. to energia z węgla (w tym blisko 20 proc. to węgiel brunatny). Owszem, na razie to tylko propozycja, na którą musiałyby się zgodzić wszystkie państwa członkowskie. Pokazuje ona jednak poziom klimatystycznego szaleństwa, które ogarnęło szczyty europejskiej hierarchii. Ów próg 90 proc. ma być końcowym etapem – po dobiciu w 2030 r. do 55 proc. redukcji („Fit for 55") – przed osiągnięciem całkowitej neutralności klimatycznej w roku 2050. Co jest celem kompletnie utopijnym, a gdyby miał zostać osiągnięty, musiałoby się to stać kosztem gargantuicznych wydatków państw UE i trwałego obniżenia poziomu życia Europejczyków. Czego zresztą kierownicy tego szaleństwa nawet nie ukrywają.

eprasa.pl c7853be07a

Wprost jest mowa o tym, że koniecznym warunkiem zielonej transformacji jest – jak to się eufemistycznie ujmuje – „zmiana stylu życia".

Spójrzmy na poszczególne wątki klimatystycznego szaleństwa.

Najpierw zatem mamy wspomniany system ETS2. Dzisiaj rekordowo drogi prąd mamy m.in. za sprawą systemu ETS (w wersji pierwszej). Ten system obejmował jedynie emisje przemysłowe, w tym z elektrowni czy elektrociepłowni. Dlatego właśnie cena uprawnień do emisji jest wkomponowana w cenę prądu.

System obłudnie nazywany bywa „rynkowym". Faktycznie nie ma nic wspólnego z wolnym rynkiem, ponieważ obciążenie zostało sztucznie narzucone, a o liczbie uprawnień, przekazywanych bezpłatnie rządom i początkowo podmiotom emitującym CO_2, decydowali urzędnicy. W miarę trwania systemu liczbę tych bezpłatnych uprawnień zmniejszano. Polska już od jakiegoś czasu ma ich zbyt mało w stosunku do potrzeb, w związku z czym polskie firmy musiały kupować je nie od polskiego rządu (zasilając nasz budżet), ale od podmiotów zagranicznych, na giełdzie. Jeszcze w 2016 r. cena za tonę CO_2 wynosiła ok. 3 euro. Na początku lutego ubiegłego roku sięgnęła już blisko 100 euro.

W teorii system miał wymuszać na emitentach CO_2 przechodzenie na nowe, niskoemisyjne technologie. W praktyce skutek był radykalnie inny: okazało się, że zakup uprawnień stanowi dla wielu podmiotów – w tym szczególnie mniejszych, komunalnych – tak gigantyczne obciążenie, że nie było mowy o inwestowaniu, a wiele ciepłowni zmusiło to do radykalnego podwyższenia rachunków albo postawiło je w obliczu bankructwa. Zarabiali giełdowi spekulanci.

Obecnie uprawnienia do emisji są szczęśliwie względnie tanie i kosztują ok. 55 euro za tonę. Nie wiadomo jednak, jak długo taki stan się utrzyma. UE mimo apeli nie podjęła bowiem żadnych działań na rzecz usunięcia możliwości spekulacyjnego handlu uprawnieniami.

KONIEC TANICH LOTÓW

Na podobnej zasadzie ma działać ETS2, z tym że ma on objąć o wiele więcej dziedzin, w tym budynki oraz cały transport – drogowy i lotniczy. Oznacza to, że dodatkowy podatek klimatyczny będzie musiał zapłacić każdy podmiot, który do ogrzewania używa paliwa kopalnego. Ten podatek, wliczany w cenę paliwa, uderzy w każdego, kto ciepło czerpie z gazu czy oleju opałowego – właściciela domu, członka wspólnoty mieszkaniowej. Podobnie będzie z transportem. Dodatkowy podatek zostanie doliczony do ceny paliwa.

Wysokość tego podatku będzie zależeć od kursu uprawnień. Założenie jest takie, że jeśli w ciągu pierwszych trzech lat działania systemu ich cena przekroczy 45 euro za tonę, to ze specjalnej rezerwy mogą zostać dorzucone dodatkowe uprawnienia. Ale uwaga: nie jest to obligatoryjne i w żadnym wypadku nie stanowi gwarancji utrzymania ceny w rozsądnych granicach. Co więcej, po 2030 r. ten mechanizm ma już nie obowiązywać.

W raporcie przygotowanym w maju 2023 r. dla Warsaw Enterprise Institute przez dr. Marka Lachowicza czytamy: „Jeżeli przyjąć, że soft cap (delikatna obrona poziomu 45 euro) na cenę, który zaproponowała KE, odniesie spodziewany efekt, wówczas koszt nowego systemu wyniesie na statystyczne polskie gospodarstwo ok. 1560 zł w 2030 r. Jeżeli uwolnienie dodatkowej puli uprawnień nie powstrzyma inwestorów (np. gdyby dysponowali oni odpowiednio dużymi środkami), wówczas koszt ten wzrośnie do 7100 zł w 2030 r.".

W pierwszym scenariuszu koszt dla całej gospodarki w roku 2030 wynosi 21,2 mld zł, a w drugim – aż 96,5 mld zł. Jeśli podzielimy go przez liczbę pracujących Polaków, to dostajemy sumę ponad 6,4 tys. zł na jedną osobę. Rocznie.

Miejmy świadomość, że wejście w życie systemu ETS2 będzie oznaczało potężny impuls inflacyjny: zdrożeje praktycznie wszystko, ponieważ podatek klimatyczny obciąży każdą dziedzinę ludzkiej działalności. Droższy będzie transport, droższe będą ciepło i prąd, zatem automatycznie podrożeją każdy towar i każda usługa.

Za symbol możemy uznać zmniejszenie dostępności tanich lotów, które po prostu przestaną być tanie. Możliwość skorzystania z tanich lotów i podróżowania raz czy nawet kilka razy w roku w atrakcyjne miejsca w Europie lub dalej to dla wielu namacalny probierz awansu Polski i Polaków. Unia chce nam to odebrać w imię walki o klimat. Jeśli uznamy, że społeczną świadomość kształtują nie teoretyczne wywody, ale proste, jasne symbole, takie jak przekraczanie granic bez paszportu, to może to być właśnie taka sytuacja, która zmieni myślenie o polityce klimatycznej UE, a może i o Unii jako takiej.

OBOWIĄZKOWE PARKINGI DLA ROWERÓW

Kolejnym ciosem będzie dyrektywa o charakterystyce energetycznej budynków – EPBD (Energy Performance of Buildings Directive). Regulacja, która w kolejnych etapach będzie wchodziła w życie, począwszy już od 2026 r., ma wymusić „falę renowacji". Począwszy od 2028 r., wszystkie nowe budynki – publiczne i prywatne – będą musiały spełniać standardy zeroemisyjności. Kolejne etapy renowacji mają ostatecznie sprawić, że w 2050 r. każdy budynek w UE – z wyjątkami takimi jak zabytki czy budynki kultu – ma być zeroemisyjny. Zeroemisyjny standard ma się stać obowiązkowy w przypadku tzw. ważniejszej renowacji, czyli (opisanego szczegółowo w dyrektywie) poważniejszego remontu nieruchomości.

Dodatkowo dyrektywa wymusza tworzenie miejsc parkingowych dla rowerów, określonej liczby punktów ładowania samochodów elektrycznych (niezależnie od tego, czy w danym budynku ktokolwiek takim pojazdem się porusza czy nie) czy „zoptymalizowanie potencjału wytwarzania energii słonecznej".

W dyrektywie znajdujemy też fragmenty wprost ideologiczne. Na przykład: „Aby zagwarantować pełne przygotowanie unijnej siły roboczej do aktywnej pracy na rzecz osiągnięcia celów klimatycznych Unii, państwa członkowskie powinny dążyć do mniejszego zróżnicowania sytuacji kobiet i mężczyzn w sektorze budowlanym, w tym poprzez krajowe plany w dziedzinie energii i klimatu". Albo: „Aby zapewnić skuteczne połączenie prywatnej elektromobilności, aktywnej mobilności i transportu publicznego, państwa członkowskie wspierają organy lokalne w opracowywaniu i wdrażaniu planów zrównoważonej mobilności miejskiej ze zwróceniem szczególnej uwagi na zintegrowanie polityki mieszkaniowej ze zrównoważoną mobilnością i miejskim planowaniem przestrzennym". Te frazy do złudzenia przypominają język partyjnych uchwał dotyczących planów pięcioletnich, uchwalanych w głębokim PRL.

eprasa.pl c7853be07a

„Newsweek" szacował koszt realizacji dyrektywy EPBD w Polsce na – uwaga – bilion złotych. Czyli dwukrotność rocznego budżetu Polski. Tu warto zająć się argumentem zwolenników polityki klimatycznej, którzy wskazują te przepisy jako przykład korzyści. Stwierdzają, że fala renowacji da przecież pracę wielu ludziom. Taki argument świadczy o nieznajomości podstawowych reguł ekonomii.

Sięgnijmy po jednego z klasyków, XIX-wiecznego francuskiego publicystę i ekonomistę Frédérika Bastiata. W najsłynniejszym swoim dziele, niewielkiej książce „Co widać i czego nie widać", podaje on historyjkę o tym, jak to syn Jakuba Poczciwca, grając w piłkę, zbił szybę. Pisze Bastiat: „Gdybyście byli świadkami takiej sceny, to z całą pewnością stwierdzilibyście, że wszyscy tam obecni, choćby było ich nawet trzydziestu, starają się pocieszyć nieszczęsnego właściciela takimi samymi słowami: »Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Tego typu przypadki wspierają rozwój przemysłu. Wszak ludzie muszą z czegoś żyć. Co poczęliby szklarze, gdyby nigdy nie tłuczono szyb?«".

Dalej jednak Bastiat stwierdza: „Ale jeżeli, a często się tak dzieje, drogą dedukcji dojdziemy do wniosku, że dobrze jest tłuc szyby, że dzięki temu wprowadzamy w obieg pieniądze, że tym sposobem ogólnie wspieramy przemysł, jestem zmuszony zawołać: Stop! Wasza teoria uwzględnia tylko to, co widać, nie bierze zaś pod uwagę tego, czego nie widać. Nie widać, że skoro nasz mieszczanin wydał sześć franków na jedną rzecz, to nie będzie już mógł ich wydać na coś innego".

Narzucenie na ludzi obowiązku renowacji budynków, którego nie potrzebują i za który nie zapłaciliby w warunkach wolnego rynku, niczego w gruncie rzeczy nie napędza. Przekierowuje przymusowo strumień pieniędzy do określonego sektora gospodarki, który nie będzie prosperował dlatego, że jest komuś naprawdę potrzebny i wykonuje świetną pracę, a wyłącznie wskutek decyzji unijnych urzędników.

To jednak nie koniec dramatycznych skutków dyrektywy. W Polsce – a także w innych krajach UE – będzie wiele osób, które staną przed dramatycznym wyborem. Jeżeli zechcą wyremontować swoją nieruchomość, to będą zmuszone do wydania dodatkowej, ogromnej sumy na doprowadzenie jej do zeroemisyjności. Jeżeli nie będzie ich na to stać, to albo będą musiały zrezygnować z remontu, albo wziąć kredyt. Czy trzeba stawiać pytanie, który sektor jest szczególnie zainteresowany realizacją polityki klimatycznej?

ZNISZCZYĆ CZĘŚĆ BIZNESÓW

Dyrektywa zakłada, że państwa członkowskie „zapewniają odpowiednie finansowanie i środki wsparcia w połączeniu z innymi instrumentami unijnymi, takimi jak Instrument na rzecz Odbudowy i Zwiększania Odporności, Społeczny Fundusz Klimatyczny i fundusze polityki spójności". O tym, z czego owo finansowanie ze strony państw ma być zapewnione, dyrektywa milczy. Unijny Fundusz Sprawiedliwej Transformacji, przeznaczony na złagodzenie skutków transformacji klimatycznej, operuje sumami śmiesznymi w zestawieniu z kosztami. Polsce – największemu beneficjentowi – ma przypaść 7,5 mld euro, czyli ok. 32 mld zł.

W styczniu francuski Institut Rousseau opublikował raport „Road to Net Zero" („Droga do zeroemisyjności") o inwestycjach koniecznych w związku z polityką klimatyczną. Raport, dodajmy, absolutnie wobec tej polityki entuzjastyczny. Jednak wyliczenia francuskiego think tanku są wprost szokujące. Wynika z nich, że łączny koszt inwestycji w politykę klimatyczną przez kolejne 26 lat to – uwaga – 40 bln euro, a więc 10 proc. PKB UE. Rocznie daje to ponad 1,5 bln euro. To oznacza 200 tys. euro na osobę do 2050 r., czyli 7,4 tys. euro rocznie, czyli 32 tys. zł co roku na jednego pracującego Polaka!

Autorzy raportu dowodzą, że 75 proc. potrzebnych funduszy można pozyskać, alokując pieniądze z wydatków nazywanych przez nich zbędnymi lub „szkodliwymi dla procesu transformacji". Przekładając to na ludzki język – trzeba będzie niszczyć te biznesy, które nie mieszczą się w ideologicznej wizji, kształtowanej przez „zielonych Khmerów", żeby na mocy urzędniczych decyzji można było z tych pieniędzy sfinansować „zielone inwestycje". Jednak nawet wtedy pozostaje kwestia brakujących 10 bln euro.

Raport analizuje sytuację siedmiu państw UE, w tym Polski, która będzie musiała ponieść największe, druzgocące koszty, równe 13,6 proc. PKB z 2022 r. Także w Polsce – spośród analizowanych państw – najwięcej budynków wymagać będzie renowacji: aż 83 proc.

To twarde liczby. W odpowiedzi przedstawiciele rządu, głównie w osobach pani minister Pauliny Hennig-Kloski i pani wiceminister Urszuli Zielińskiej, mamią opinię publiczną opowieściami o rzekomych kokosach, które spłyną do nas z UE w ramach łagodzenia skutków polityki klimatycznej. Wspominają także o wsparciu najuboższych. Takie wsparcie może się pojawić, ale bez wątpienia nie będzie dotyczyć klasy średniej, która zostanie polityką klimatyczną po prostu zaorana. Koszty będą olbrzymie, a przedstawiciele klasy średniej nie będą się kwalifikować do żadnych programów wsparcia. Pytana o to, co ma zrobić osoba, która dopiero co zainwestowała w ogrzewanie gazowe – zachęcana do tego przecież zaledwie kilka lat temu przez państwo – pani Zielińska doradza, żeby… uszczelnić dom.

Motywacji polityki klimatycznej UE było kilka. Była motywacja najczyściej ideologiczna, serio traktująca opowieści o nadciągającej katastrofie. Była też cyniczna motywacja polityczna: wielu politykom potrzebny był ideologiczny, nawet quasi-religijny wehikuł wyborczy. Najbardziej racjonalna była natomiast argumentacja, że Europa wyprzedzi innych aktorów, najszybciej adaptując się do nowych warunków, stawiając na czyste technologie i w ten sposób osiągając przewagę.

Ta argumentacja się jednak właśnie sypie. Chińczycy zaczynają zalewać kontynent swoimi tanimi autami na prąd, tak jak wcześniej zalewali choćby Niemcy swoimi panelami fotowoltaicznymi. Niemiecka gospodarka grzęźnie, w dużej mierze z powodu obciążeń, wynikających z niemieckiej Energiewende. Prognozy wzrostu PKB na ten rok oscylują niewiele powyżej zera, czyli stagnacji. Europa sama nakłada sobie ciężar, którego nie jest w stanie udźwignąć. Wszystko to w imię utopijnego celu, przeciwko czemu – w swojej dziedzinie – dopiero co protestowali ostro europejscy rolnicy. To jedyna grupa, która jak dotąd zdecydowała się na czynny sprzeciw wobec polityki klimatycznej. Inni idą jak barany na rzeź.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c7853be07a

Brunatni liberałowie u władzy

Jan Fiedorczuk

Jeżeli PiS w ciągu ośmiu lat dotkliwie poobijał polską demokrację liberalną, to Donald Tusk w zaledwie miesiąc stał się jej grabarzem. Nowy rząd oficjalnie nie zawiesił żadnych przepisów, tylko w świetle kamer zdecydował o ich ignorowaniu, budując niejako „obok" realnie istniejącego państwa alternatywny porządek polityczno-prawny. Polski liberalizm przeżywa głęboki kryzys tożsamościowy, z którego już się nie podniesie

Już rok przed wyborami przewidywaliśmy w „Do Rzeczy", że po przejęciu władzy przez KO sprawy będą wyglądać dokładnie tak, jak to obserwujemy od kilku tygodni. W listopadzie 2022 r. pisaliśmy o narodzinach „brunatnego liberalizmu" – liberalizmu, który już tylko z nazwy jest nurtem wolnościowym, ale którego prawdziwe oblicze jest o wiele bardziej niepokojące.

„Kult wodza, grasujące bojówki, zapowiedź wsadzenia przeciwników politycznych do więzienia, postulat przejęcia instytucji państwa za pomocą »silnych ludzi«. To nie jest wykaz cech faszyzmu z podręcznika politologii, to opis liberalnej opozycji A.D. 2022" – pisałem w tekście „Czas brunatnych liberałów" („DRz" nr 46/2022). W tym samym bloku okładkowym Piotr Semka zwracał z kolei uwagę na niebezpieczne konsekwencje zasady „nie ma wolności dla wrogów wolności", z którego to hasła ekipa Donalda Tuska uczyniła swoje polityczne credo. Mój redakcyjny kolega wskazywał, że coraz mocniejsze zapowiedzi lidera KO trafiają na podatny grunt, czego przykładem jest choćby dyskusja na temat delegalizacji Prawa i Sprawiedliwości, która rozgorzała po lewicowo-liberalnej stronie.

eprasa.pl:c2853bc07a

FOT. ADOBE STOCK

Oczywiście podobnych analiz na temat radykalizacji się środowisk antyPiS było znacznie więcej. Dwa lata temu Rafał A. Ziemkiewicz w tekście „Życzenie zemsty" („DRz" nr 5/2022) wskazywał, że chęć odwetu jest de facto jedyną żywą emocją po stronie ówczesnej opozycji, natomiast kilka tygodni przed zaprzysiężeniem nowego rządu Zuzanna Dąbrowska w tekście „Wielkie czystki po PiS" („DRz" nr 44/2023) dokładnie opisywała plan KO na – jak to ujął Marek Belka – totalne „odszczurzenie" państwa po rządach Kaczyńskiego.

Jedyne, co może zatem zaskakiwać, to nie kierunek zmian wprowadzanych przez ekipę Donalda Tuska, tylko ich zawrotne tempo. Ledwie po miesiącu od zaprzysiężenia nowa władza dokonała bezprawnego przejęcia mediów publicznych, wykonała skok na Prokuraturę Krajową, planuje zamach na Trybunał Konstytucyjny oraz wsadziła do więzienia polityków PiS, łamiąc tym samym niepisaną umowę, która rządziła polskim życiem politycznym – „my nie ruszymy waszych, wy nie ruszacie naszych".

ALTERNATYWNA POLSKA

Nawet w zachodniej prasie zaczęły pojawiać się doniesienia o działaniach polskich władz. „The American Spectator" opisywał, że „nowy lewicowy rząd próbuje wdrożyć »demokrację« siłą", wprowadzając w Polsce „stan wojenny". Rzeczony artykuł o tyle mijał się jednak z prawdą, że gdyby rząd faktycznie wprowadził stan wojenny albo jakiekolwiek inne rozwiązanie systemowe oparte na konkretnych prawnych ramach, to sprawa byłaby znacząco prostsza, niż ma to obecnie miejsce. Tusk nie wprowadził żadnego „stanu" – wojennego czy wyjątkowego – i rządzi „obok" prawa, posługując się jedynie czystą siłą, kreując niemalże jakieś alternatywne państwo „obok" instytucjonalno-prawnych ram Polski. I to jest chyba podstawowa różnica między obecną władzą a poprzednią. PiS zagarniał kolejne instytucje, jednak zachowywał ich ciągłość, obecna władza dokonuje gwałtownego zerwania i unieważnienia wszystkiego, co było przed nią, budując alternatywne instytucje obok tych już istniejących. Jest to praktyka zupełnie niespotykana we współczesnym świecie.

We wspomnianym tekście o „brunatnych liberałach" z 2022 r. pisałem, że z zapowiedzi Donalda Tuska z ostatnich lat wynika, że w związku z kadencjami PiS-owskich nominatów, które mogą potrwać jeszcze kilka lat, szef KO po przejęciu władzy skupi się na wprowadzeniu w Polsce „stanu bez nazwy".

Jedyne, co może zatem zaskakiwać, to nie kierunek zmian wprowadzanych przez ekipę Donalda Tuska, tylko ich zawrotne tempo

Ostatnie tygodnie potwierdzają tamtą diagnozę w całej rozciągłości. „Stan bez nazwy" to pojęcie wprowadzone przez niemieckiego filozofa prawa Carla Schmitta, które zasadza się na wprowadzeniu w państwie stanu ekstraordynaryjnego, który od zwykłego stanu wyjątkowego różni się tym, że nie posiada żadnego umocowania w prawie – jest zależny całkowicie od politycznej decyzji suwerena, a ta, uczy niemiecki filozof, „bierze się z niczego". „Stan bez nazwy" jest definicją politycznego woluntaryzmu czy też – mówiąc precyzyjniej – decyzjonizmu.

I teraz oto mamy u władzy ekipę, która wydaje się żywcem czerpać od autora „Pojęcia polityczności". Donald Tusk zapowiada, że wszelkie działania jego rządu „będą zgodne z prawem, tak jak my je rozumiemy", były sędzia TSUE prof. Marek Safjan przekonuje, że polskie władze muszą „wyrwać się z pułapki prawniczego formalizmu", a kolejny autorytet postępowej strony prof. Wojciech Sadurski przestrzega rząd, że „konstytucja jest pułapką na demokratów". Na czoło tego peletonu i tak wybija się jednak symbol bezprawnego działania władzy – minister sprawiedliwości Adam Bodnar, który najpierw, komentując rewolucję w mediach, stwierdził, że rząd usilnie „szuka jakiejś podstawy prawnej" dla usprawiedliwienia przewrotu w TVP, a kilka tygodni później arbitralnie

eprasa.pl c7853be07a

odrzucił postanowienie Trybunału Konstytucyjnego w sprawie zamachu na Prokuraturę Krajową. „Sententia non existens" – przekazał resort w komunikacie na temat rzekomo „nieistniejącego" postanowienia TK. To samo zrobił zresztą Bartłomiej Sienkiewicz, który ocenił, że wyrok Trybunału w sprawie mediów publicznych „nie ma jakiejkolwiek doniosłości prawnej". Cała większość sejmowa, z Trzecią Drogą i Lewicą, postanowiła natomiast uznawać jedynie te izby Sądu Najwyższego, które są dla niej wygodne.

PiS przy swoich nawet najbardziej kontrowersyjnych poczynaniach zawsze starał się znaleźć jakiś pretekst czy kruczek prawny, teraz (przy aplauzie znacznej części kasty prawniczej) nic takiego nie ma miejsca. Wszystko, co się dzieje w Prokuraturze Krajowej i mediach publicznych w ostatnich tygodniach, jest motywowane decyzjami politycznymi i nie znajduje żadnego umocowania w prawie. Jan Rokita w felietonie dla, nomen omen, Teologii Politycznej pisał o całkowitym zerwaniu ciągłości państwa przez nową władzę, wskazując, że „coś podobnego nie przydarzyło się nikomu – ani sądom III Rzeszy w procesie denazyfikacji, ani sądom ZSRS czy państw satelickich, po upadku komunizmu". Z kolei prezes Klubu Jagiellońskiego Paweł Musiałek stwierdził celnie, że obserwujemy rozkwit prawnej duo-Polski: „W czasach PiS pojawili się neosędziowie, teraz dołączyli do nich neoprokuratorzy, a niedługo być może usłyszymy o neoposłach".

CZAS RADYKALIZACJI

Jedno pozostaje jednak arcyparadoksalne. U władzy mamy polityka, który jest przecież twarzą polskiego liberalizmu, a którego realne działania są najbardziej doniosłym w historii III RP zakwestionowaniem zasad demoliberlizmu. Dlatego to, co obserwujemy w wykonaniu Donalda Tuska, nie jest po prostu działaniem bezprawnym, ale zarazem przejawem kryzysu tożsamościowego, w którym znalazł się polski liberalizm. Jeżeli PiS w ciągu ostatnich ośmiu lat poobijał polską demokrację liberalną, to Donald Tusk okazał się jej grabarzem.

Wystarczy wymieć kilka „sukcesów" rządu z ostatnich tygodni: Sejm, dokonując skoku na media publiczne, za pomocą uchwały zmienił porządek ustawowy i wywrócił do góry nogami cały proces legislacyjny; przejmując Prokuraturę Krajową, rząd bezprawnie obciął prerogatywy prezydenta Polski; ministrowie w świetle kamer nie uznają wyroków Trybunału Konstytucyjnego, prokurator generalny ex nihilo stwarza nowe urzędy nieprzewidziane w prawie (p.o. prokurator krajowy), a szef rządu już zapowiada, że dziennikarze TVP będą musieli oddać pieniądze zarobione w ostatnich latach (bez względu na ocenę ich pracy były to wszak pieniądze uczciwie zarobione i zapewne nie mniejsze niż zarabiać będą obecne gwiazdy mediów publicznych). I nie wspominam w tym momencie nawet o służbach wdzierających się do Pałacu Prezydenckiego albo anonimowych łysych osiłkach Tuska, którzy szarpali się z posłami w budynku przy ul. Woronicza.

Nie mogąc legalnymi metodami przejąć państwa, rząd centrolewu zaczął zatem budować państwo alternatywne

Nie mogąc legalnymi metodami przejąć państwa, rząd centrolewu zaczął zatem budować państwo alternatywne – obok dotychczasowych struktur powstają zupełnie nowe. Jeżeli kompetencje prezydenta przeszkadzają, to przejmuje je minister sprawiedliwości; jeżeli wyroki Trybunału Konstytucyjnego są niekorzystne, to są ignorowane; jeżeli dana izba Sądu Najwyższego jest kłopotliwa, to uznajemy, że nie istnieje. Na to wszystko jednak nakłada się jeszcze sprawa wygaszenia mandatów Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika, która z punktu widzenia czysto emocjonalnego będzie dla polityków PiS swoistą granicą. Konflikty prawne i polityczne to jedno, tym razem jednak – jak pisałem na początku – Platforma Obywatelska złamała niepisaną umowę i wsadziła swych przeciwników do więzienia. To oznacza, że będziemy obserwować postępującą radykalizację sporu PO – PiS, który z konfliktu politycznego przeistoczył się w spór stricte personalny.

ZACHÓD SIĘ ZMIENIA

„Kultura Liberalna" niedawno radośnie obwieściła, że w Polsce udało się zatrzymać marsz populistów, a do głosu doszły siły demokratyczne i liberalne. Jednocześnie jednak redakcja we wstępniaku do swego tygodnika z trwogą zastanawiała się, czy Polska nie okaże się samotną wysepką na morzu antyliberalizmu. No bo Donald Trump w USA, bo Narendra Modi w Indiach, bo Orbán, le Pen i Wilders, bo wybory do europarlamentu, bo wiele mniejszych i większych kryzysów, z którymi będzie się musiała zmierzyć demokracja liberalna w 2024 r. Tym, co najbardziej ujmuje w tych zatroskanych głosach, jest zupełne niedostrzeganie prostego faktu – Donald Tusk już od dawna nie jest żadnym liberałem.

Liberalizm polskich „demokratów" stał się „brunatny". Oczywiście nie w tym sensie, że dosłownie faszystowski, tylko paradoksalnie antywolnościowy i zamordystyczny. To zresztą wydaje się szerszą prawidłowością świata zachodniego, gdzie środowiska najwięcej gardłujące na rzecz wolności okazują się jej największymi przeciwnikami. Emmanuel Macron wdraża systemowe reformy z pominięciem parlamentu, w USA progresywne elity robią wszystko, aby z demokratycznego wyścigu wyciąć Donalda Trumpa, Włochy czy Niemcy mogą bezkarnie łamać unijne przepisy, a w Polsce rzekomi liberałowie – przy cichym poparciu Brukseli – dokonują jawnego gwałtu na praworządności. A to wszystko odbywa się w cieniu wielkiej rewolucji kulturowej, której ofiarą padają najbardziej bezbronni. W świecie Zachodu dochodzi do jakiejś głębokiej zmiany, a cywilizacja słynąca niegdyś z wolności staje się coraz bardziej swoim własnym zaprzeczeniem. Nasz polski galimatias wydaje się zatem jedynie przejawem szerszej tendencji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c7853be07a

Po co dawać Putinowi cokolwiek za darmo

Piotr Semka

Linie frontu ukraińsko-rosyjskiego wciąż istnieją. Dlaczego więc już teraz uznawać za coś oczywistego, że Putin ma utrzymać w swoich rękach terytorium zdobyte za pomocą wojskowej agresji?

Mój redakcyjny kolega Łukasz Warzecha poświęcił sytuacji na wojnie między Rosją a Ukrainą duży tekst publicystyczny („Do Rzeczy" nr 7/2024). „Po dwóch latach wojny na Ukrainie jesteśmy jednocześnie w całkiem innym, a zarazem tym samym miejscu, co w pierwszych miesiącach jej trwania – pisze Warzecha. – Bardzo mocno zmieniły się nastroje, również na samej Ukrainie, w relacji do tych zwłaszcza z drugiej połowy 2022 r. Inaczej oceniane są jej szanse w konflikcie oraz jej wewnętrzna sytuacja. Jednocześnie w Polsce, po zwycięstwie koalicji Donalda Tuska, następuje renesans tępej i prymitywnej proukraińskiej narracji, tak jakby nic kompletnie się nie zmieniło. Pojawia się jeden nowy akcent: elity zaczęły straszyć nas nadciągającą wojną. W warunkach ograniczonego do nich zaufania można mieć wątpliwości, czy te ostrzeżenia nie są po prostu formą spacyfikowania buntu przeciwko zasilaniu skorumpowanego ukraińskiego państwa kolejnymi transzami pieniędzy".

Warzecha apeluje, aby rozróżnić dwa rozumienia zwycięstwa Ukrainy w tej wojnie. Akceptuje pierwszy „umiarkowany" cel przyświecający udzielaniu pomocy dla Kijowa, czyli po prostu obronienie przez Ukrainę jej suwerenności, zdecydowanie jednak krytykuje udzielanie pomocy z myślą o celu, którym miałaby być walka o „odebranie Rosji wszystkich przejętych przez nią terytoriów z Krymem włącznie".

Ten artykuł uważam za dość charakterystyczny dla pewnego sposobu myślenia, któremu chciałbym poświęcić poniższy tekst. Polemikę z tego typu myśleniem chciałbym podzielić na parę podstawowych kwestii spornych.

„NICZEGO JUŻ NIE ODBIJECIE"

Nie tylko w Polsce, lecz także w różnych zachodnich mediach eksperckich od paru miesięcy karierę robi wyrazista teza. Według niej porażka zeszłorocznej kontrofensywy Ukrainy oznacza, że Kijów nie ma już szans, by negocjować z Moskwą warunki rozejmu z możliwie mocnej pozycji.

Zwolennicy tej tezy wymieniają nagromadzenie się elementów, które każą Ukrainie – wspieranej przez „kolektywny zachód" – dążyć do podjęcia realnych rozmów. Punktem wyjścia do takich starań ma być uznanie, że do Ukrainy nie wrócą już okupowane rejony Doniecka, Ługańska i Krymu. Przyjmijmy na razie, że rozmowy takie miałyby mieć sens. Dlaczego jednak miałyby się zaczynać od milczącego przyznania Rosji prawa do zachowania zagrabionych terenów jeszcze przed podjęciem negocjacji? Szacunek dla integralności granic powinien być wartością dla każdego państwa europejskiego czy – szerzej – na świecie. Zasadę tę potwierdziła Konferencja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie w Helsinkach w 1975 r. Oczywiście w stolicy Finlandii mówiono wtedy o granicach państw, które wówczas formalnie miały status uznany przez ONZ.

W wypadku Ukrainy mówimy oczywiście o wewnętrznych granicach między dawną Ukraińską Socjalistyczną Republiką Sowiecką a Rosyjską Federacyjną Socjalistyczną Republiką Sowiecką. Nawet jednak w tym wypadku dyplomacja w Kijowie może się powoływać na zasadę uznania jej granic, gdyż wskutek dziwacznego kaprysu Stalina Ukraina sowiecka była osobnym (obok sowieckiej Białorusi) członkiem tej organizacji. Ale spójrzmy szerzej. Wiele krajów bardzo długo upierało się przy swoich prawach do zabranych jej siłą terytoriów. Tak było np. w wypadku Francji, która w wojnie z Prusami utraciła dwie swoje prowincje: Alzację i Lotaryngię. W latach 1879–1918 Francja utrzymywała swe prawa do tych dwóch krain. Japonia do dziś nie uznaje de iure, choć akceptuje de facto zagarnięcie przez Związek Sowiecki Wysp Kurylskich znajdujących się między Syberią a górną częścią państwa japońskiego.

Ale można wskazać na jeszcze jeden precedens. Wojna między Ukrainą a Rosją weszła w fazę konfliktu pozycyjnego. Od ataku Rosji miną niedługo dwa lata. Przyrównajmy tę sytuację do pozycji Francji i Belgii w pierwszej wojnie światowej. Wówczas w początkowej fazie konfliktu armia niemiecka zajęła większość Belgii, z jej stolicą Brukselą na czele, a także spory kawał północnej Francji, włącznie z silnym metropolitalnym ośrodkiem miasta Lille. Zarówno

eprasa.pl c7853be07a

Francuzi, jak i Belgowie nigdy nie uznali okupacji niemieckiej nad swymi miastami. Po czterech latach doczekali się czynnika zmieniającego równowagę sił w postaci przybycia silnych i bitnych oddziałów amerykańskich pod wodzą gen. Johna Pershinga.

Owszem, kontrofensywa ukraińska okazała się wielkim rozczarowaniem. Przekonanie, że wystarczy wyposażyć Ukraińców w dużą ilość zachodniego sprzętu na czele z czołgami Abrams czy Leopard, by przełamać linie rosyjskie, okazały się złudzeniem. Ale linie frontu ukraińsko-rosyjskiego wciąż istnieją. Załamanie ofensywy letnio-jesiennej dowodzonej przez gen. Wałerija Załużnego nie zamieniło się w skuteczny kontratak wojsk rosyjskich, który by doprowadził do rozpadu linii obronnych armii ukraińskiej. Dlaczego więc już teraz uznawać za coś oczywistego, że Putin ma utrzymać w swoich rękach terytorium zdobyte za pomocą wojskowej agresji?

Ukraińscy żołnierze w obwodzie donieckim, 13 lutego 2024 r.
FOT. AA/ABACA/EAST NEWS

UKRAIŃCY TRZYMAJĄ FRONT

Gdy piszę te słowa, amerykańscy republikanie zgodzili się w końcu na pakiet kolejnej pomocy militarno-finansowej dla Ukrainy. Wynikłe w ostatnim czasie niedobory amunicji dla ukraińskiej artylerii to efekt m.in. bardzo długiej politycznej walki w amerykańskim Kongresie w kwestii przepchnięcia pakietu pomocowego dla Kijowa.

Generała Wałerija Załużnego zastąpił gen. Ołeksandr Syrski i dopiero za jakiś czas stwierdzimy, czy była to zmiana na lepsze czy na gorsze. Właśnie z powodu złej opinii jako dowódcy zbytnio szafującego życiem żołnierzy Syrski zadeklarował: „Życie i zdrowie personelu wojskowego zawsze było i jest główną wartością ukraińskiej armii". Syrski zapowiada nowe podejście i nowe strategie oraz utrzymywanie równowagi między realizacją zadań bojowych a odbudową jednostek i intensyfikacją szkolenia personelu.

To ostatnie to oczywiście nawiązanie do niedoboru rezerw mobilizacyjnych na Ukrainie. Władze w Kijowie pracują nad ustawą, która może zobowiązywać ukraińskie placówki dyplomatyczne za granicą do udzielania pomocy obywatelom tego kraju, jedynie jeśli mają uregulowany stosunek do służby wojskowej. Na pobór pośród młodych Ukraińców przebywających w Polsce raczej się nie zanosi, choć obawa przed takim rozwiązaniem rozgrzewa dyskusję na ukraińskich forach internetowych w Polsce.

Nie powinniśmy więc mówić o sytuacji Ukrainy jako kraju stojącego przed załamaniem swoich zdolności do obrony przed Rosją. Ukraińcy dalej potrafią zadać swojemu wrogowi bolesne straty. W ubiegłym tygodniu zatopili piąty rosyjski okręt desantowy „Cezar Kunikow".

Oczywiście dwuletni wysiłek wojskowy potrafi przeorać każde społeczeństwo. I znów sięgnijmy po przykład Francji w latach 1914–1918. Tam też zmienne koleje wojny z Prusakami powodowały rotacje na szczeblu najwyższego dowództwa. Wskutek niepowodzeń musiał tam odejść gen. Joseph Joffre, a z biegiem wojny na czoło zaczęli wysuwać się Philippe Petain i Ferdinand Foch. Ponieważ Francja w końcu zwyciężyła Niemcy, zbiorowa pamięć europejska odepchnęła na drugi plan masowe zjawisko buntów żołnierzy w latach 1916–1917, które spowodowane były poczuciem bezsensu kolejnych krwawych ataków, które pozwalały odzyskiwać od Niemców od 500 metrów do paru kilometrów linii frontu. Czas pokazał, że upór francuski okazał się z biegiem czasu skuteczny. Czy można dziwić się, że prezydent Wołodymyr Zełenski jest przekonany, że na razie wojnę należy kontynuować?

AGRESYWNA ROSJA TO NIE FANTOM

Przejdźmy do kolejnego zarzutu, którego wytłumaczenie wydaje mi się – jako publicyście bardzo krytycznemu wobec linii nowej koalicji – istotne. To prawda, że Donald Tusk i Radosław Sikorski bardzo jednoznacznie podtrzymują wolę wszelkiej pomocy dla walczącej Ukrainy. Jednak ta determinacja rządu premiera z Gdańska ma nieco inny charakter, niż to było w wypadku poprzedniego rządu tworzonego przez PiS. Tusk dostosował się do aktualnej linii wykreowanej głównie przez kanclerza Olafa Scholza, do której dołączył się prezydent Emmanuel Macron. Polityka ta chce połączyć hasło zintegrowania się Europy w obliczu agresywnej postawy Rosji i pomocy Ukrainie z forsowaniem szybkiej federalizacji Unii

eprasa.pl c7853be07a

Europejskiej i powrotem do postulatów o wypchnięciu wpływów Ameryki z Europy. Dodatkowym celem propagandy Europejczyków z Paryża, Berlina i Warszawy jest przylepienie wszystkim siłom tożsamościowym w Europie etykietki piątej kolumny Putina.

Takie użycie realnego zagrożenia do załatwiania własnych partykularnych celów politycznych jest wyjątkowo nieuczciwym chwytem. Ale odrzucanie takiej polityki nie może prowadzić do negowania samego rosyjskiego zagrożenia. Bardzo atrakcyjny, szczególnie dla czytelnika konserwatywnego zarzut, że elity zaczynają „straszyć nas nadciągającą wojną", nie zmienia tego, że Rosja do jest zdolna do wywołania nowej wojny. I można nawet iść dalej. Zakładać, że ewentualne zamrożenie wojny i otwarcie rozmów pokojowych wielkich mocarstw na temat losu Ukrainy może mieć dwojakie negatywne skutki. Po pierwsze, może doprowadzić do neutralizacji Ukrainy poprzez zmuszenie Kijowa do wyrzeczenia się aspiracji do akcesji do Unii Europejskiej i NATO. A po drugie, może dać Putinowi parę lat na przeformatowanie swojej armii i powrót do polityki agresji wobec Polski, państw bałtyckich czy np. Finlandii.

Wielce znamienne są głośne ostatnio komunikaty rosyjskiej prokuratury, która chce ścigać i karać więzieniem np. premier Estonii Kaję Kallas czy szefa Instytutu Pamięci Narodowej Karola Nawrockiego za udział w burzeniu sowieckich pomników na terenie suwerennej Estonii i takiejż Polski. Nie ma żadnych podstaw, by twierdzić, że Rosja wyzbyła się swojej agresywnej polityki. Chyba że uznajemy, iż należy przed Rosją podkulić ogon. Uznać, że wytrzymała dwa lata wojny, że sankcje zasadniczo jej nie zaszkodziły i że jest zdolna do utrzymania wszystkiego, co rosyjski żołnierz wziął pod swój but. Ale wtedy przyjmujemy już logikę układania się z Rosjanami jako siłą, której nie sposób się przeciwstawić.

Taką logikę przyjęły mocarstwa zachodnie latem 1920 r., kiedy to zachęcały ówczesny rząd Polski do prowadzenia rozmów z wysłannikami Lenina i zaakceptowania żądań sowieckich, które de facto czyniłyby z Polski kraj zdany na łaskę i niełaskę Sowietów. W naszej tradycji te nieszczere, haniebne rady, szczególnie brytyjskich dyplomatów, traktowane są jako przykład obojętności Zachodu na nasz los. Dlaczego w podobnej sytuacji chcemy traktować dokładnie tak samo Ukraińców? Tak, Ukraina jest państwem w dużej mierze wyniszczanym przez korupcję i utajone konflikty na szczytach władzy. Tak, prowadzimy z Ukrainą bardzo ostry spór o tranzyt jej żywności przez nasz kraj. To prawda, że prezydent Wołodymyr Zełenski bardzo wiele stracił w polskich oczach od czasów pierwszych tygodni pełnoskalowej agresji Rosji na Ukrainę. Ale czy suma tych czynników powinna nas skłaniać do swoistego spisania Ukrainy na straty i pouczania jej, że powinna pożegnać się raz na zawsze z Donieckiem, Ługańskiem czy Krymem?

KTO MA WIĘCEJ DETERMINACJI?

Bardzo wielu konserwatywnych publicystów jeszcze w czasach istnienia Związku Sowieckiego ubolewało, że Zachód trzymający się zasady kolejnych wyborów i wymian ekip rządowych jest zawsze na słabszej pozycji niż ekipy despotów na Kremlu, które mogą realizować swoją politykę przez dekady. Moje pokolenie zżymało się na słabość i chwiejność liderów niektórych państw na Zachodzie, którzy nie byli w stanie psychicznie wytrzymać sytuacji konfliktu z Rosją. Obserwowana przez nas wojna na Ukrainie trwa dziewięć lat, a w swojej ostrej fazie dwa lata. A tymczasem słychać głosy, które jawią się jako wezwanie do jak najszybszego powrotu do rozmów z Rosjanami. Nie dziwią one w przypadku przedstawicieli elit np. Republiki Federalnej Niemiec, w której duża część kręgów biznesowych marzy tylko, by wrócić do interesów z Rosją na zasadzie „business as usual".

Na koniec wczujmy się w postawę samych Ukraińców, którzy w obecnej wojnie odreagowują poczucie hańby z marca 2014 r., kiedy to kolejne garnizony ukraińskie na Krymie poddawały się bez strzału i opuszczały półwysep. We wspomnieniach wielu Ukraińców pozostała pamięć o tym, jak wówczas wielu ochotników szturmowało wojskowe komendy uzupełnień, a w odpowiedzi mówiono im: „Czekajcie. Kiedy będzie trzeba, zawiadomimy". Ukraińska pisarka Oksana Zabużko w jednej ze swoich książek odniosła się do opinii, że państwa Zachodu straciły już zainteresowanie konfliktem, w którym Ukraińcy walczą o swoją suwerenność. Oburza się na „zawzięte, jak refren, wsączanie (Ukraińcom) w masową świadomość pojęcia »zmęczenia« – a to Europa się nami zmęczyła, a to Ukraińcy zmęczyli się wojną (i dlatego niby trzeba co rychlej zgodzić się na wszystko, byle tylko się skończyła!), a w ostatecznym rachunku wmówienie całemu narodowi „zmęczenia sobą« – takiego według francuskiego wzorca z porażki (z 1940 r.), od którego to nastroju w nowych pokoleniach naród traci »zbiorowego Erosa«: wolę istnienia, chęć do życia".

Jak wskazuje Oksana Zabużko, Moskwie chodzi o to, aby taka wola istnienia rozluźniła się i »oddała niepotrzebny Krym, brzydki Donbas, co – jak powiadają – zupełnie nie będzie bolało, przeciwnie, będzie nam tylko lepiej".

Na razie większość Ukraińców na taki scenariusz nie ma ochoty. Skoro tak, to może my, którzy nie ponosimy na sobie ciężaru walki, nie podpowiadajmy tak szybkiej kapitulacji naszym sąsiadom ze wschodu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c7853be07a

CPK, czyli chcemy więcej

Zuzanna Dąbrowska

Kilkadziesiąt tysięcy osób podpisało petycję do rządu, w której domagają się kontynuacji budowy Centralnego Portu Komunikacyjnego. Społeczne poruszenie wokół inwestycji pokazuje coś ważnego – polityka ciepłej wody w kranie to już dla Polaków zdecydowanie za mało

Przeskalowana gigantomania, pusta łąka w Baranowie, PiS-owskie Bizancjum – używając tego rodzaju określeń najzagorzalsi przeciwnicy CPK próbują podważyć sens realizacji projektu. Ci mniej zajadli wskazują na konieczność przeprowadzania kolejnych audytów (choć raportów potwierdzających nie tyle potrzebę, ile konieczność budowy portu, za różnych rządów powstało już kilka) lub dostosowania planów do realiów (co zazwyczaj oznacza sprowadzenie CPK tylko do rozbudowy sieci kolejowej). Dyskusja na temat Centralnego Portu Komunikacyjnego wyszła poza kręgi polityków i ekspertów. Za sprawą społecznego ruchu „Tak dla CPK" kwestia kontynuacji inwestycji przez rząd Donalda Tuska stała się jednym z głównym tematów dyskursu publicznego. Co istotne – jest prowadzona oddolnie i z tego powodu rządzącym znacznie trudniej będzie ją zlekceważyć.

ODDOLNA SIŁA

„Jesteśmy grupą osób niezwiązanych z żadną partią polityczną i niemających indywidualnego interesu w realizacji przedmiotowej inwestycji. Postrzegamy się jako państwowcy i nasze działania motywujemy wyłącznie troską o rozwój naszego kraju. Rozumiemy, że w ostatnich latach na skutek niewłaściwej polityki informacyjnej wokół projektu CPK narosło wiele mitów oraz przylgnęła do niego łatka politycznej »gigantomanii«. W przestrzeni publicznej pojawia się jednak obecnie coraz więcej merytorycznych głosów niezależnych ekspertów oraz przedstawicieli świata nauki i biznesu potwierdzających zasadność kontynuacji projektu" – czytamy na stronie petycji skierowanej do liderów partii tworzących koalicję rządzącą.

Za utworzeniem petycji stoi aktywista Marcin Kwaśniewski. Jedną z głównych twarzy ruchu „Tak dla CPK", który niedawno został sformalizowany w ramach apartyjnego stowarzyszenia, jest Maciej Wilk, dyrektor operacyjny kanadyjskich linii lotniczych Flair Airlines, wcześniej wiceprezes PLL LOT do spraw operacyjnych. „Dowiadujemy się, że społeczny ruch #TAKdlaCPK to w istocie pisowski spisek na potrzeby wyborów samorządowych. Zastanawia mnie, jak bardzo ślepym (albo zaślepionym) trzeba być, aby w 3. miesiącu publicznej debaty na temat CPK nie dostrzegać radykalnie zmienionego społecznego postrzegania tego projektu i wciąż próbować grać takimi po stokroć obalonymi i obśmianymi »argumentami«" – tak ekspert do spraw lotnictwa skomentował wywiad, w którym poseł KO Małgorzata Niemczyk jako argument przeciw CPK podała możliwe braki betonu na inne projekty infrastrukturalne.

W otoczeniu polityczno-medialnym obecnej władzy pojawiają się zarzuty, że za akcję „Tak dla CPK" odpowiada PiS. I rzeczywiście, politycy partii Jarosława Kaczyńskiego chętnie podgrzewają ten temat. Z danych opublikowanych przez analizujący ruch w Internecie profil „Polityka w sieci" wynika, że w ciągu ostatnich trzech miesięcy największy wpływ na budowanie zasięgu tematu mieli Mateusz Morawiecki, Patryk Jaki oraz profile TVP Info (za poprzedniego kierownictwa). Na dalszych miejscach są jednak ekspert Szymon Janus, wspomniany Maciej Wilk, a także dziennikarz Krzysztof Stanowski. Ten ostatni zorganizował na swoim Kanale Zero prawie trzygodzinną debatę na temat CPK, którą obejrzało do tej pory ponad milion widzów. W sondzie, którą zorganizowano w trakcie transmisji, 90 proc. internautów opowiedziało się za budową CPK.

Ruch na portalach społecznościowych pokazuje ogromne zainteresowanie tematem zwykłych internautów (choć tak, to jasne, że politycy próbują uszczknąć coś dla siebie). Obserwując autentyczne społeczne wzmożenie, trudno się dziwić, że przedstawiciele obecnej koalicji mają z tą sytuacją problem. Sprowadzenie rozmowy na temat inwestycji do „PiS-owskiej megalomanii" stało się niemożliwe. „Sentyment odbioru tematu CPK jest zdecydowanie pozytywny. Najbardziej angażujące negatywne wzmianki w dyskusji otrzymują Maciej Lasek oraz Donald Tusk" – wskazuje „Polityka w sieci". Nie pomaga to, że na razie żaden przedstawiciel władz nie przyjął zaproszenia do debaty na temat CPK. Pełnomocnik rządu Maciej Lasek udziela jedynie wywiadów jeden na jeden.

PONAD PODZIAŁAMI

Poparcie dla CPK wykracza jednak poza myślenie stricte o infrastrukturze. Warto zwrócić uwagę na głos publicystów i komentatorów, którym z PiS

eprasa.pl c7853be07a

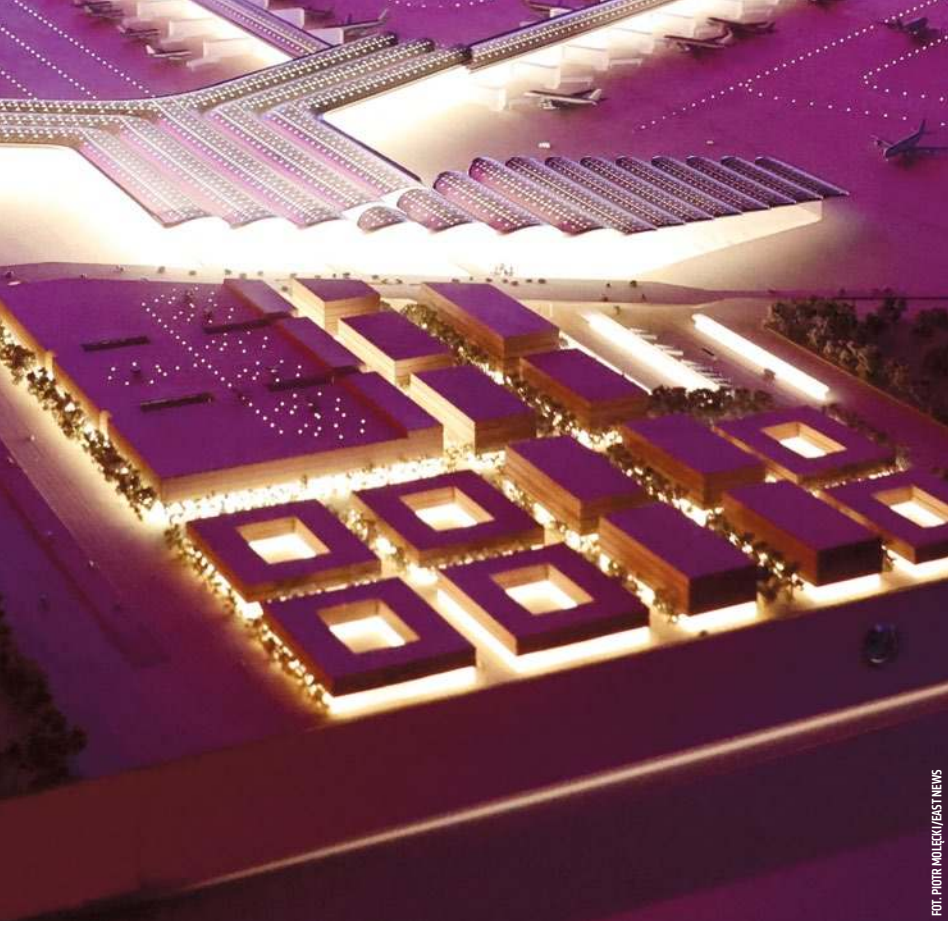

FOT. PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS

wcale nie jest po drodze. „Reakcję na próbę storpedowania przez polityków CPK uważam za jedno z ważniejszych doświadczeń społeczno-politycznych ostatniej dekady. 1,5 mln ludzi aktywnie uczestniczyło w necie, mimo że statystyczny Polak tylko raz w roku wsiada do samolotu. Zabicie projektu nie zmieni ich życia, nie wpłynie na ich karierę ani jakość życia. A mimo to aktywnie reagowali i protestowali, bo wiedzą, że rzecz nie jest w lotnisku ani sieci kolei, ale w pomyśle na Polskę" – ocenia Tomasz Wróblewski, prezes Warsaw Enterprise Institute. Jak wskazuje: „Polacy mentalnie wyszli z pułapki średniego rozwoju, oczekują czegoś więcej niż kolejnych dodatków do płacy, do niepracy, do dziecka, do kredytu, do renty, za które na koniec i tak sami muszą płacić".

Filozof Tomasz Markiewka, publikujący m.in. na łamach „Krytyki Politycznej", o CPK pisze tak: „Cieszy się takim poparciem nawet nie dlatego, że ludzie popierają ten konkretny projekt, ale dlatego, że popierają pewną ideę. Polskę stać na duże projekty modernizacyjne, nie musimy się niczego wstydzić, chcemy czuć się dumni. Politycy powinni wyciągnąć wnioski".

Im bardziej rząd kluczy w sprawie CPK, tym bardziej nasila się sprzeciw społeczny

Piotr Trudnowski z Klubu Jagiellońskiego dodaje, że obok wzbudzenia w Polakach aspiracji temat ten wywołuje inną społeczną emocję. „Nie warto orać projektów tylko dlatego, że pochodzą z nieprawego łoża, czyli kojarzą się z jednym z konkurencyjnych plemion" – wskazuje.

„CPK to nie »tylko« lotnisko, to może przede wszystkim opowieść o ambicjach i marzenie o wejściu do pierwszej ligi. Latanie jest tu metaforą nowych możliwości, oczekiwaniem czegoś więcej ponad ciepłą wodę w kranie i »500+« (choć obie te kwestie są ważne). Takiej jednoczącej idei nam trzeba" – przekonuje z kolei dziennikarz Jan Pawlicki.

To, że CPK jednoczy, widać wyraźnie na przykładzie nieformalnych sojuszy, które zawiązują się w polityce – projekt łączy posłów z dwóch krańców sceny politycznej. Do parlamentarnego zespołu „Tak dla rozwoju. CPK – Atom – Porty" należą posłowie PiS, Lewicy oraz Konfederacji (znamienne – nikogo z KO; Platforma Obywatelska jak ognia unika jednoznacznych deklaracji). Co ciekawe, Krzysztof Bosak z Konfederacji przystąpił do zespołu po zachęcie ze strony Pauliny Matysiak z partii Razem. „Mam nadzieję, że uda się zachęcić także kogoś z pozostałych klubów i będzie można dać przykład dobrej współpracy ponad podziałami!" – napisał wicemarszałek Sejmu.

RZĄD KLUCZY

Im bardziej rząd kluczy w sprawie CPK, tym bardziej nasila się sprzeciw społeczny. Oliwy do ognia dolał sam premier, który podczas ubiegłotygodniowego posiedzenia zwołanej przez prezydenta Rady Gabinetowej znowu postawił temat CPK pod znakiem zapytania. – CPK to inwestycja, która jest zaplanowana na minimum 155 mld zł. Wszystkie dotychczasowe ekspertyzy stawiają pod znakiem zapytania całą inwestycję. Wielki niepokój budzą te aspekty wśród województw, gdzie dobrze funkcjonują lotniska regionalne. Wykażemy najlepszą wolę z panem prezydentem do rozwoju infrastruktury komunikacyjnej, lotniczej i kolejowej, ale musimy mieć na uwadze racjonalizowanie wydatków finansów publicznych – mówił Donald Tusk.

Szef rządu szybko został naprostowany. W Internecie można znaleźć zbiór dokumentów dotyczących budowy CPK, począwszy od 2003 r. „Nie ma ANI JEDNEJ takiej ekspertyzy" – odpowiada Andrzej Banucha, jeden z ekspertów zaangażowanych w promocję CPK. „A można zobaczyć choć jedną?" – pyta z ironią poseł Lewicy Anna Maria Żukowska. „Wszystkie? Mogę dostać chociaż jedną? Mogę się wymienić 28 raportami i ekspertyzami, które mówią coś przeciwnego" – dodaje Szymon Janus. Ponadto internauci zwracają uwagę, że ekspertyza z 2010 r., czyli z czasu, gdy rządził Donald Tuska (wykonana przez globalną brytyjską firmę audytową PwC), potwierdza nie zasadność, ale wręcz konieczność budowy centralnego portu. Ubiegłotygodniowy sondaż opublikowany przez „Rzeczpospolitą" pokazuje, że budowy CPK chce 58,2 proc. Polaków.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c7853be07a

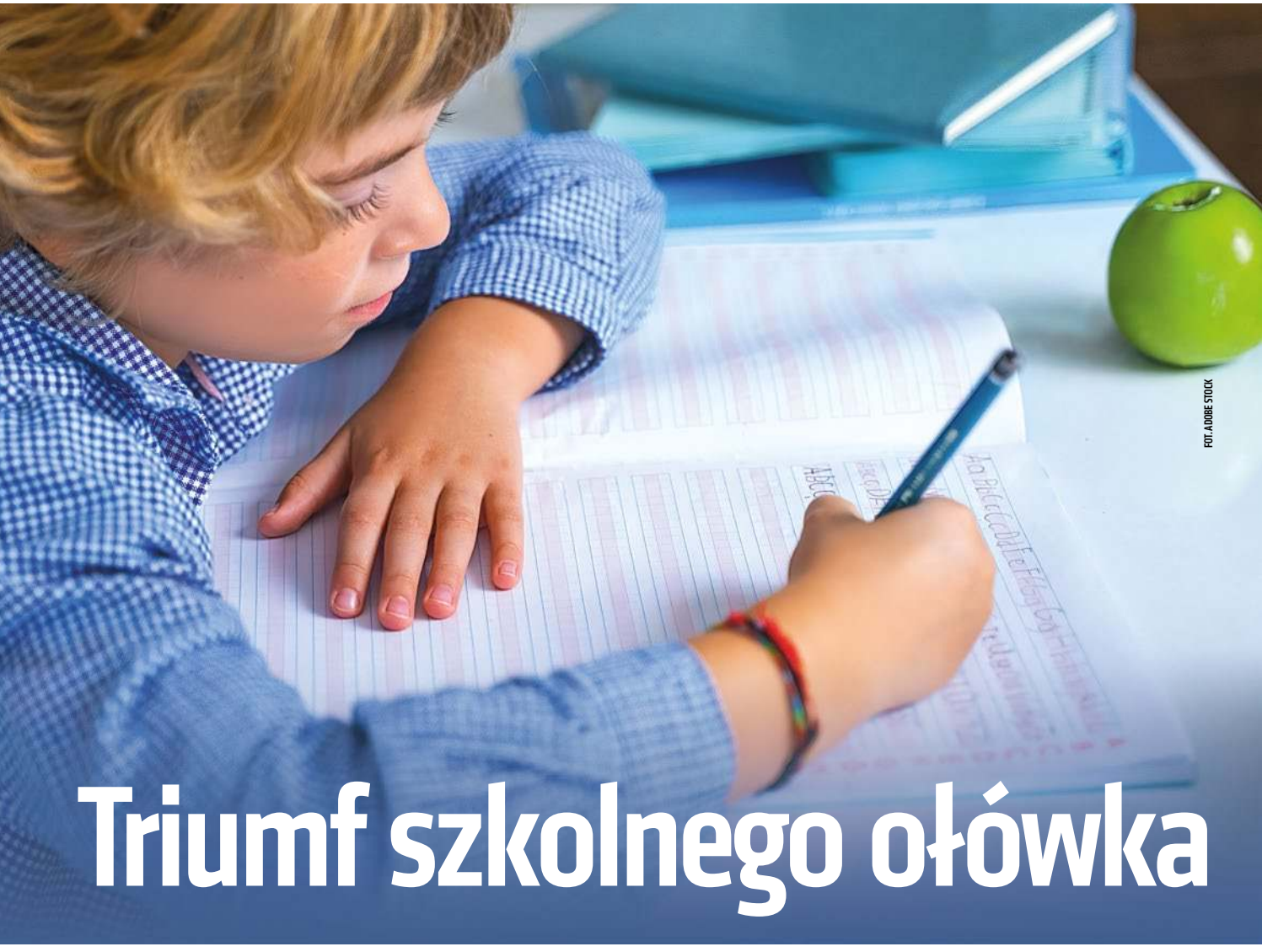

FOT. ADOBE STOCK

Triumf szkolnego ołówka

Łukasz Zboralski

Skandynawowie zbadali i zrozumieli – elektronika w szkołach nie pomaga. Lepsze są książki i zeszyty. Tymczasem w Polsce niedawno kupiliśmy wszystkim czwartoklasistom laptopy, a pragną je dać w ręce najmłodszych także dyrektorzy przedszkoli

W edukacji co kilka, kilkanaście lat eksperci na nowo odkrywają to, co wiadomo było już wcześniej. Nie tak dawno przecież, również w Polsce, nagle wszyscy zachłysnęli się sposobem nauczania przez doświadczanie świata przez uczniów. Powstawały wielkie centra, gdzie dzieci w rzeczywistości mogą obserwować np. prawa fizyki. Wydawać by się mogło, że to nowość. Tymczasem mój dziadek, dyrektor wiejskiej szkoły na Kociewiu w latach 60. ubiegłego wieku, uczył dzieci biologii na łące. Pokazywał im rośliny i zwierzęta. Po prostu o tym na pół wieku w edukacji – z niewiadomych powodów – zapomniano.

Teraz wydaje się, że edukatorzy na świecie zaczęli sobie zdawać sprawę z kolejnej rzeczy: iż cyfrowe narzędzia i ekrany nie uczą, a rodzą jedynie niebezpieczeństwo przestymulowania i rozpraszania dzieci. I że ćwiczenie ręki i mózgu w pisaniu ołówkiem jest korzystne.

POLSKA BRNIE W ZAUŁEK

Przez ostatnie lata wydawało się nam nad Wisłą, że edukacja stanie się lepsza, gdy w każdej klasie powieszona zostanie tablica multimedialna. I rzeczywiście, prawie w każdej klasie taka dziś wisi. Wydaliśmy na to miliony złotych. Czy nauczanie się poprawiło? Nie mamy takich dowodów. Pomijając już fakt, że każde narzędzie trzeba umieć wykorzystać w procesie dydaktycznym oraz to, jakie kompetencje cyfrowe mają dziś nauczyciele – wierzono, że „coś bliższego współczesnym dzieciom” zadziała lepiej.

eprasa.pl c7853be07a

Ba, wierzymy w to nad Wisłą do dziś. Tuż przed ostatnimi wyborami – pomińmy wątek politycznej użyteczności takiego zabiegu – rząd prawicy postawił na program, w którym wszystkim czwartoklasistom zakupiono laptopy.

– W szkołach jest ok. 800 tys. komputerów, z tym że, jak wiemy, prawie co drugi ma więcej niż pięć lat. To pokazuje, że szkoły nie radzą sobie z tym, żeby na bieżąco wymieniać ten sprzęt. Plan jest taki, żeby każdy uczeń dostał prawdopodobnie swój pierwszy komputer w życiu, i to jest prawdziwe wyrównywanie szans edukacyjnych – przekonywał ówczesny minister cyfryzacji Janusz Cieszyński. A pełniący wtedy stanowisko ministra edukacji Przemysław Czarnek dodawał, że tego sprzętu w ogóle uczniowie do szkół nie będą musieli przynosić.

Nowy rząd ten program na razie zawiesił. Jednak nowe MEN od cyfryzacji też nie stroni i na oficjalnym koncie na portalu X zamieściło w ubiegłym tygodniu zdjęcia wiceminister Katarzyny Lubnauer na konferencji wspieranej przez TikTok. Gdy dziennikarze zaczęli wytykać, że akurat te aplikacje stanowią dla dzieci raczej zagrożenie, wpis natychmiast przeredagowano i nazwa „TikTok" z niego zniknęła.

Zamierzamy też w Polsce schodzić z cyfryzowaniem nauczania na poziom przedszkoli, czyli do najmłodszych dzieci. Polscy badacze w zachwycie nowoczesnością zdają się uważać, że ten kurs jest prawidłowy. Dopiero co – bo w grudniu 2023 r. – Instytut Badań Edukacyjnych przedstawił raport „Cyfryzacja w przedszkolach: nowe wyzwania i perspektywy". W komunikacie dotyczącym tego badania eksperci napisali: „Wprowadzenie kompleksowego podejścia do cyfryzacji w edukacji przedszkolnej wydaje się nie tylko pożądane, ale i niezbędne, aby przygotować dzieci na wyzwania nowoczesnego świata. Dlatego inwestycje w odpowiednie szkolenia, narzędzia i programy edukacyjne są kluczowe dla rozwoju przedszkoli jako miejsc, gdzie cyfrowa rewolucja staje się rzeczywistością na rzecz edukacji najmłodszych".

Przebadano 1982 dyrektorów oraz 4637 nauczycieli przedszkolnych. Zdaniem badaczy wszyscy oni „zdają sobie sprawę z kluczowej roli cyfryzacji w procesie nauczania".

W szwedzkich podstawówkach wrócą papierowe testy rozwiązywane za pomocą długopisów

Choć – na szczęście – myślenia algorytmicznego w przedszkolach uczy się też, np. proponując zabawy klockami, to jednak wszyscy badani przez IBE uważają, że placówki trzeba doposażać w sprzęt elektroniczny. Najczęściej chcieliby mieć dla przedszkolaków maty interaktywne (74 proc.), roboty interaktywne (66 proc.), laptopy (55 proc.), maty do nauki kodowania (54 proc.), klocki (46 proc.), tablety (54 proc.).

SKANDYNAWSKI ODWRÓT

Tymczasem w Szwecji rząd przyjął właśnie pakiet zmian dotyczących edukacji i wstrzymał rządową strategię na lata 2023–2027, która zakładała zwiększenie wykorzystania nowoczesnych pomocy naukowych w kształceniu dzieci. Wciskanie większej liczby ekranów do przedszkoli skrytykowali bowiem tamtejsi psychiatrzy i pediatrzy.

Szwedzka minister edukacji przyznała w przedmowie do pakietu rządowych zmian, że nauka wskazuje, iż małe dzieci w otoczeniu cyfrowych narzędzi wcale nie uczą się lepiej. „Cyfrowe pomoce naukowe należy wprowadzać dopiero w późniejszym wieku, gdy zamiast rozpraszać, będą one wspierać uczniów. Badania naukowe potwierdzają, że środowisko pozbawione ekranów (telewizorów, monitorów oraz smartfonów) stwarza dzieciom lepsze warunki do rozwijania relacji oraz pomaga się skoncentrować" – napisała Lotty Edholm.

Polityka szwedzkiego rządu wobec przedszkolaków wraca więc do podstaw – do szkoły opartej na wiedzy, w której nacisk położony zostanie na podstawowe umiejętności, takie jak pisanie, czytanie i liczenie. W związku z tym zniesiony został obowiązek wykorzystywania cyfrowych narzędzi w edukacji przedszkolnej. U starszych dzieci takie narzędzia mają być wykorzystywane sporadycznie i tylko wówczas, gdy naukowo da się potwierdzić, że jest to korzystne dla procesu dydaktycznego. W szwedzkich podstawówkach egzaminy będą znów tradycyjne – czyli rozwiązywane w papierowej wersji za pomocą ołówka bądź długopisu.

Zmiana ma być na tyle głęboka, że rząd zmodyfikuje też proces kształcenia przyszłych nauczycieli. Już na studiach pedagogicznych będą uczeni powrotu do tradycyjnych metod nauczania. Szwecja wraca też do tradycyjnych podręczników. Tak jak w Polsce uczniowie mają je za darmo dostawać w placówkach.

Nie tylko Szwedzi dostrzegli pułapki cyfryzacji szkolnictwa. W tym samym czasie władze Danii opublikowały zalecenia, w myśl których w szkołach podstawowych co do zasady uczniowie nie powinni korzystać na lekcjach z laptopów. Mają to robić tylko wtedy, gdy ma to głębokie uzasadnienie dydaktyczne. Ze smartfonów korzystać zaś nie powinni w ogóle.

„Należy spakować telefony komórkowe, zablokować strony z grami, streamingiem oraz TikTokiem. Jeśli przenośny komputer nie będzie używany, to powinien być schowany do torby" – powiedział w oświadczeniu dla prasy duński wiceminister edukacji Mattias Tesfaye. Duńska Agencja do spraw Edukacji i Jakości wydała dla szkół jasne zalecenia. Nauczycielom radzi, by rzadko korzystali z cyfrowych narzędzi i skupili się na nauczaniu analogowym.

„Byliśmy zdecydowanie zbyt naiwni i zaślepieni tym, co udało się osiągnąć największym firmom technologicznym, a co w praktyce oznaczało zakłócenie procesu nauczania" – przyznał Tesfaye. I dodał: „Mam nadzieję, że przestaniemy rozdawać pierwszoklasistom tablety, a damy im ołówki i nauczymy pisać listy".

Wiele rzeczy wprowadzamy w Polsce z gigantycznym opóźnieniem. To zwykle niekorzystna sytuacja. Czasem mamy jednak szczęście w nieszczęściu – widzimy nie tylko, co się sprawdziło, lecz także to, co było ślepym zaułkiem. W sprawie cyfryzacji szkół i przedszkoli inni zrobili już krok w tył. Pytanie, ile polskim ekspertom od edukacji zajmie dojrzenie do zmiany kursu. Czy szybko zdamy sobie sprawę, że wprowadzanie laptopów czy tabletów do systemu edukacji przynosi zysk jedynie koncernom je produkującym?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c7853be07a

FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

Zero zdziwienia

Karol Gac

1 lutego oficjalnie wystartował na YouTube Kanał Zero. Jego twórca, dziennikarz Krzysztof Stanowski, nie ukrywa, że celem jest zmiana rynku medialnego i rzucenie wyzwania największym graczom. Już widać, że to pod wieloma względami projekt wyjątkowy, tworzony w myśl zasady „sky is the limit"

Krzysztof Stanowski to bez wątpienia jedna z najbardziej niesza-blonowych postaci w polskich mediach. Jedni go uwielbiają, inni wręcz nienawidzą, ale z pewnością nie można mu odmówić świetnego wyczucia trendów i smykałki do tworzenia kolejnych biznesów. Dziś jest jednym z najpopularniejszych dziennikarzy sportowych w kraju, choć w rzeczywistości jego działalność jest o wiele szersza. Od kilku tygodni z powodzeniem współtworzy internetowy Kanał Zero, którego pierwszym gościem był prezydent Andrzej Duda. Można wręcz powiedzieć, że najnowsze „dziecko" Stanowskiego jest pewnego rodzaju fenomenem. Fenomenem, który od samego początku wzbudzał ogromne emocje i zainteresowanie.

KANAŁ SPORTOWY

Żeby lepiej zrozumieć ten swoisty fenomen Kanału Zero, trzeba się nieco cofnąć w czasie. Końcówka 2019 r. Media lotem błyskawicy obiega informacja, że czterech znanych dziennikarzy sportowych – Michał Pol, Krzysztof Stanowski z Grupy Weszło oraz Mateusz Borek i Tomasz Smokowski z Telewizji Polsat – zakłada na YouTube Kanał Sportowy, czyli projekt z pogranicza telewizji internetowej i publicystyki sportowej. – Dzisiaj telewizje w głównej mierze są zainteresowane i „pokryte" transmisjami, więc bardzo często pewne pomysły giną na etapie koncepcji, przygotowania albo najczęściej na etapie analizowania kosztorysu – tłumaczył wówczas Borek.

Być może dziś ta informacja brzmi zwyczajnie, ale wówczas była prawdziwą rewolucją. Dlaczego? Według danych firmy analitycznej Pentagon Research Mateusz Borek był od września 2018 do września 2019 r. najbardziej popularnym w Internecie komentatorem zajmującym się piłką nożną. Jego wartość mediowa przekroczyła 10,9 mln zł. Na drugim miejscu znalazł się Michał Pol, na piątym zaś Krzysztof Stanowski. Mowa więc o najbardziej znanych dziennikarzach sportowych w Polsce, którzy mieli za sobą rzesze fanów. Nowa inicjatywa nie spodobała się jednak Telewizji Polsat, co ostatecznie doprowadziło do rozstania z Mateuszem Borkiem i Tomaszem Smokowskim.

Kanał Sportowy od samego początku był promowany głównie za pomocą prywatnych profili dziennikarzy w mediach społecznościowych (wówczas na Twitterze Borek miał 600 tys. obserwujących, Pol ponad 500 tys., Stanowski 250 tys., a Smokowski niemal 150 tys.). – Pojedyncze youtube'owe kanały dziennikarskie w pewnym momencie muszą osiągnąć swój sufit. Mamy wrażenie, że robiąc

eprasa.pl c7853be07a

wspólnie coś dużego, możemy być mocnym graczem na tym rynku – oceniał Stanowski. Zaledwie kilka dni po ogłoszeniu startu programu KS miał już ponad 50 tys. subskrypcji na YouTube, choć w tym czasie nie opublikowano na nim żadnego filmu.

Dziennikarze przekonywali, że atutami nowego kanału mają być różnorodność i nieograniczanie się do piłki nożnej. Szybko okazało się, że widzowie im zaufali. Oficjalny start Kanału Sportowego miał miejsce 1 marca 2020 r. Do tego czasu liczba subskrypcji wzrosła do 80 tys., a już dwa dni później przekroczyła 100 tys. Każdy kolejny dzień przynosił kolejne rekordy, transmisje na żywo zaś śledziło po 100 tys. osób. Podczas pandemii COVID-19 uruchomiono program „Hejt Park", podczas którego można było zadzwonić do studia oraz zadawać pytania gościom i prowadzącemu. Do KS zaczęli przychodzić nie tylko sportowcy. Przykładowo, w czerwcu 2021 r. najpopularniejsze były nagrania z Marcinem Najmanem, Jasiem Kapelą, Quebonafide, Sławomirem Mentzenem z Konfederacji czy Robertem Mazurkiem. Wraz z upływem czasu KS stawał się coraz lepiej funkcjonującą maszyną, która przynosiła coraz większe przychody. Szybko okazało się jednak, że nic nie trwa wiecznie.

PĘKNIĘCIE

Jesienią ubiegłego roku Krzysztof Stanowski dość niespodziewanie ogłosił, że odchodzi z Kanału Sportowego. W połowie października dziennikarz wypowiedział swoją umowę, a 25 proc. udziałów sprzedał Maciejowi Wandzelowi (m.in. byłemu współwłaścicielowi Legii Warszawa). „Od dłuższego czasu w przestrzeni publicznej pojawiały się domysły dotyczące mojego odejścia z Kanału Sportowego, a od miesiąca – gdy usunąłem KS z opisu w swoich mediach społecznościowych – temat stał się głośny" – napisał na platformie X (dawniej Twitter). Żeby zobrazować skalę sukcesu KS, warto dodać, że w ubiegłym roku jego przychody wyniosły 24 mln zł, a jego zysk netto poszedł w górę z 1,6 do 5,57 mln zł.

Z Kanału Sportowego szybko zaczęli odchodzić inni dziennikarze oraz osoby zaangażowane w jego budowę. Na taki krok zdecydował się także Robert Mazurek, który razem ze Stanowskim prowadził cotygodniowy cykl satyryczny. Jednocześnie obaj zasugerowali, że będą tworzyć nowy projekt internetowy. Z działań Stanowskiego mocno niezadowolony był zwłaszcza Mateusz Borek, który podczas transmisji na żywo w KS ostro skrytykował jego działania. – Kim jest dzisiaj dla Kanału Sportowego Krzysztof Stanowski, by rozmawiać o nim następne kilkadziesiąt minut? – pytał. – Rozmowa o biznesie z Krzyśkiem jest na poziomie podstawówki – dodawał.

Na tę wypowiedź kilka dni później zareagował Stanowski, który opublikował na YouTube godzinne oświadczenie. Do dzisiaj obejrzało je już 3,4 mln osób. – Decyzja o odejściu dojrzewała we mnie od wielu miesięcy. Mam podejście do pracy, że muszą się zgadzać albo atmosfera, albo biznes. Ale jeśli nie zgadza się ani jedno, ani drugie, a do tego dochodzą znaczące różnice w zakresie standardów zachowań akceptowalnych przeze mnie, to trzeba szukać wyjścia awaryjnego – tłumaczył widzom.

Stanowski wskazał m.in., że za rozpad KS odpowiada zła atmosfera, a także niesprawiedliwy – jego zdaniem – podział pieniędzy. Dziennikarz zdradził przy tym, że zyski w KS dzielone były po równo, niezależnie od włożonej pracy przez poszczególne osoby. – Dostawaliśmy raporty top 10 najlepiej oglądanych wideo w danym miesiącu. Na początku to było fajne, że 10 na 10 należy do mnie. A potem zaczęło mnie frustrować, że ktoś nie chce podjąć rywalizacji, że mu to nie przeszkadza […]. Żadna zdrowa firma nie może być tak zorganizowana, że wszyscy równają do najsłabszego. Ja też zacząłem tak równać – do osoby, która żyje sobie najbardziej komfortowo, nie robiąc za dużo […]. Mateusz mówił, że w firmie, w której jest wspólnikiem, nikt nigdy nie będzie zarabiał więcej od niego. To jest tak głupie, małostkowe, że trudne aż do skomentowania. Ale tu nie chodziło o logikę, a o czyste ego – mówił.

KANAŁ ZERO

Konflikt pomiędzy Krzysztofem Stanowskim a Mateuszem Borkiem został ostatecznie wyciszony. Niezależnie od wszystkiego bardzo szybko liczby zaczęły pokazywać, kto był dotychczasowym „silnikiem" Kanału Sportowego. Kiedy Stanowski na platformie X poprosił swoich fanów o subskrypcję nowego kanału – Kanału Zero – w kilkadziesiąt godzin zyskał ponad 100 tys. subskrybentów. „To nie jest żadna moja kariera solo, tylko największy projekt, który do tej pory sobie wymyśliłem. A już na pewno taki, który najbardziej mnie kręci. Zaangażowanych w niego będzie mnóstwo świetnych osób" – tłumaczył. Kredyt zaufania, którym obdarzyli Stanowskiego widzowie i sponsorzy, okazał się ogromny.

W inauguracyjnym programie, który do tej pory zanotował 1,5 mln odsłon, Krzysztof Stanowski opowiedział o idei Kanału Zero, który ma stać się jakościową alternatywą dla mainstreamowych mediów. – Chcemy być kamieniem w bucie mediów mainstreamowych. A potem głazem, o który ktoś sobie rozwali głowę. Po raz pierwszy mam uczucie, że naprawdę mogę coś zmienić. Media na pewno nie puszczą mi tego płazem. Będą szkalować, szukać haków, abym się wywrócił – zapowiedział. Jak przyznał Stanowski, siedziba Kanału Zero kosztowała ok. 2 mln zł, miesięczne wydatki na działanie kanału zaś mają wynosić ok. 1,3 mln zł. – Ten biznes zarabia od pierwszego dnia, zarabia dobre pieniądze. Dokładamy kolejne elementy, ale wiemy, dlaczego nas na to stać – mówił.

Obecnie Kanał Zero subskrybuje ponad 815 tys. osób (stan na 13 lutego). W ciągu pierwszego tygodnia wygenerował ok. 225 tys. zł z samych reklam na YouTube. Chociaż jego twarzą jest Krzysztof Stanowski, to zaangażowany w budowę zespół jest o wiele szerszy. Swoje programy mają na nim m.in. Robert Mazurek, Tomasz Rożek, Marcin Meller, Tomasz Raczek, Robert Gwiazdowski, Rafał Zaorski, Jarosław Wolski, Marcin Matczak, Bogusław Leśnodorski, Izabella Krzan, Rajmund Andrzejczak czy Sławomir Dębski. Widzowie znajdą na nim treści dotyczące niemal każdego obszaru – prawa, geopolityki, wojska, kultury czy nauki. Ponadto opublikowane zostały już także pierwsze reportaże (np. dotyczące Michała Wiśniewskiego).

W teorii wszystko się więc zgadza. Są ogromne zasięgi, duże pieniądze i znane nazwiska. Z kolei Kanał Sportowy systematycznie traci impet. Krzysztof Stanowski wielokrotnie krytycznie wypowiadał się na temat mediów mainstreamowych, którego w jego ocenie ogłupiają Polaków. Czy uda mu się realnie zmienić rynek medialny? O tym się dopiero przekonamy, ale jedno jest pewne – zaczął z naprawdę wysokiego C.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c7853be07a

Wiesław Chełminiak

Legenda umiera ostatnia

Wystawa „Vilnius, Wilno, Vilne 1918–1948. Jedno miasto – wiele opowieści" gościła w Krakowie i na Litwie. To kolejny objaw odwilży w stosunkach polsko-litewskich

Na wschodni, zdominowany przez nowoczesne budowle brzeg Wilii turyści zapuszczają się rzadko. Białą kładką można dojść do obiektów sportowych, kasyna i czterogwiazdkowych hoteli. Bliżej rzeki znajdują się inne atrakcje: japoński park i Narodowa Galeria Sztuki, czyli dawne Muzeum Rewolucji. Minimalistyczne wnętrza do 4 lutego gościły 270 eksponatów, które – jak oceniła Rasa Bitvilaité z miejscowej ASP – „emanują miłością do Wilna". Wcześniej wystawa gościła w Muzeum Narodowym w Krakowie, drugiej stolicy państwa Jagiellonów. To kolejny objaw odwilży w stosunkach polsko-litewskich. Oby trwała ona dłużej niż poprzednie.

RYZYKOWNY PROJEKT

Okrągłe słowa o „tyglu narodów", wieloetnicznym i wielokulturowym Wilnie, których tak lubią używać oficjele, są dyplomatycznym wybiegiem. Zanim doszło do masowych mordów i deportacji, w mieście tak naprawdę liczyły się tylko dwie nacje: polska i żydowska. Litwini, Rosjanie i Niemcy obecni byli w ilości śladowej. Chłopi z części Wielkiego Księstwa, przyłączonej do II Rzeczypospolitej na pytanie o narodowość zwykli odpowiadać: „My tutejsi".

Po wcieleniu Wileńszczyzny do ZSRS polska przeszłość stała się tematem tabu. Określano ją mianem okupacji. O Żydach też lepiej było nie wspominać. Nowym mieszkańcom wbito do głów tezę, że przed wojną Wilno wegetowało i dopiero oni zamienią gospodarczą i kulturalną pustynię w kwitnącą łąkę. Po upadku czerwonego imperium musiały minąć jeszcze trzy dekady, by „ryzykowny projekt", czyli wspólna, polsko-litewska ekspozycja sztuki skazanej na zapomnienie, mógł dojść do skutku.

Leon Kosmulski, „Krajobraz z postaciami", olej na płótnie, 1936 r. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

„Wystawa ma ostre momenty, stawia historyczne i polityczne pytania" – ocenia Algé Andriulyté z Litewskiego Muzeum Narodowego. Ilustracją tych słów są prace Piotra Rymszy, bardziej znanego jako Petras Rimša. Ten uczeń Piusa Welońskiego i Konstantego Laszczki w 1912 r. popełnił rzeźbę przedstawiającą walkę Pogoni z Orłem. Polska społeczność Wilna, dla której pamięć unicestwionej przez zaborców Unii była święta, uznała to za prowokację. Reagując na (niezasłużone jego zdaniem) ataki, artysta własnoręcznie rozbił gipsowy model ważący 230 kg.

Po ustanowieniu państwa litewskiego Rimša zamieszkał w Kownie, okrzyknięty „tymczasową" stolicą, i zaprzągł swój talent do rydwanu propagandy. Na zlecenie Związku Strzelców tworzył wściekle antypolskie plakaty, pocztówki i okolicznościowe medale. II RP portretował jako ladacznicę, groźnego insekta lub żarłoczną świnię. Karierę zakończył jako hołubiony „artysta ludowy" litewskiej republiki sowieckiej.

PRECZ Z MICKIEWICZEM!

Pierwsza połowa XX w. upłynęła w Europie pod znakiem szeroko ro-

eprasa.pl c7853be07a

zumianego modernizmu. Na Kresach przyjmował się on z oporami. Tu w cenie były tradycja, szlacheckie cnoty. Rewolucja przemysłowa kojarzyła się z rusyfikacją i napływem Żydów. Polscy malarze i autorzy przewodników programowo ignorowali istnienie prawosławnych świątyń, pomników carycy Katarzyny i „Wieszatiela" tudzież gmachów w stylu moskiewsko-petersburskim. Ich ulubionym obiektem był kościół św. Anny, arcydzieło gotyku, stylu jednoznacznie kojarzącego się z architekturą zachodniej Europy (podobnie jak wileński barok). Cierpieli, widząc, że cudzoziemców bardziej interesuje orientalna strona miasta: cerkwie i getto.

O literackim, teatralnym i muzycznym życiu Wilna napisano wiele. Malarze, rzeźbiarze i architekci znaleźli się w cieniu, mimo że 200-tysięczne miasto uchodziło za „najdalej na wschód wysunięty posterunek polskiej sztuki". Peryferyjne położenie rekompensował uniwersytet, który – jak w czasach młodości Mickiewicza – był sercem i mózgiem „Aten północy". Drugą co do znaczenia instytucją kulturalną była kawiarnia Rudnickiego przy placu Katedralnym, ulubione miejsce spotkań elit.

Stanisław Lorentz (na przełomie lat 20. i 30. wojewódzki konserwator zabytków i wykładowca USB) wspominał, że ówczesne Wilno wydało mu się „jedynym w Polsce miastem, w którym liczyła się przede wszystkim atmosfera życia kulturalnego i towarzyskiego". Opinię publiczną elektryzował spór o pomnik Mickiewicza wykonany przez Zbigniewa Pronaszkę, awangardowego artystę z Krakowa. W ceremonii odsłonięcia kubistycznego w formie monumentu wziął udział sam marszałek Piłsudski. Tak naprawdę była to makieta z otynkowanych desek. Docelowo posąg miał zostać odlany z brązu lub betonu, ale gdy prowizorkę zniszczyła powódź, wszyscy odetchnęli z ulgą.

Konkurs na nowy pomnik zakończył się skandalem, wygrał bowiem projekt Stanisława Szukalskiego rodem z meksykańskiego horroru. Nagiego wieszcza, siedzącego na piramidzie, nie chciał w Wilnie nikt. Protesty wywołał także koncept Henryka Kuny. W tym wypadku drażnił nie tyle Mickiewicz w stroju pielgrzyma, ile żydowskie pochodzenie autora. Wybuch wojny zakończył sprawę. Nie zdążono również postawić konnego monumentu Piłsudskiego pod katedrą. Z okazji wystawy model pomnika Pronaszki po 99 latach wrócił nad Wilię. Może tym razem zostanie na dłużej?

DIALOG Z PRZESZŁOŚCIĄ

Gdy Polska wybijała się na niepodległość, jedną z najważniejszych person w mieście był Ferdynand Ruszczyc. Wilnianin z wyboru, ceniony malarz i człowiek instytucja. Jako szef Wydziału Sztuk Pięknych USB projektował uniwersyteckie atrybuty, sztandary, kartki

Bronisław Jamontt, „Krajobraz – szkic do tapiserii", tempera na papierze, 1923 r.
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Pierwsza połowa XX w. upłynęła w Europie pod znakiem szeroko rozumianego modernizmu. Na Kresach przyjmował się on z oporami

żywnościowe, znaczki tudzież symboliczne klucze, które wręczono Piłsudskiemu. Jego przyjaciel Jan Bułhak z pasją dokumentował ojczyste zabytki i pejzaże. Razem z Ruszczycem przygotował album „The Polish Wilno", którego nasza dyplomacja używała jako argumentu na konferencji pokojowej w Wersalu.

Ambicje fotografika (Bułhak nie znosił słowa „fotograf") sięgały znacznie dalej. Stworzył wizję malowniczej Polski, która przetrwała dziejowe zawieruchy, zainspirowała kolegów po fachu i do dziś okupuje naszą wyobraźnię. Wiejskie krajobrazy z polami, drewnianymi domami oraz kapliczkami, na wpół baśniowe miasteczka – takie obrazy nosimy pod powiekami, nawet jeśli nigdy nie zetknęliśmy się z pracami założyciela Fotoklubu Wileńskiego.

Następcą Ruszczyca został Ludomir Sleńdziński, pianista i malarz w trzecim pokoleniu. Często odwiedzał Włochy, gdzie uwiodła go sztuka wczesnego renesansu. Zetknął się też z ruchem Novecento, postulującym powrót do tradycyjnej estetyki. Renesans sztuki figuratywnej był zresztą zjawiskiem ogólnoeuropejskim. Jak na ironię zaczął się w Paryżu, kolebce awangardy. Wileńscy fani neoklasycyzmu mieli też sojuszników w Warszawie.

eprasa.pl c7853be07a

Artyści, związani ze Stowarzyszeniem Rytm i Bractwem św. Łukasza, chcieli, by nowa polska sztuka czerpała z tradycji rodzimych i śródziemnomorskich (choć w praktyce zdarzało im się ulegać wpływom modnej art déco).

Sleńdziński, prezes Wileńskiego Towarzystwa Artystów Plastyków, dobrze notowany w sferach rządowych, dekorował gmachy państwowe. Wykonał plafon „Polonia" w gabinecie premiera i obraz „Cztery epoki" dla Senatu RP. W gabinecie Głównego Inspektora Sił Zbrojnych zawisł jego wielki obraz „Piłsudski pod Wilnem". Marszałek kpił ze śnieżnobiałej rękawiczki, w którą wyposażył go artysta, lecz malowidła się nie pozbył. Sleńdziński ozdabiał też sale operacyjne wileńskich banków, a przede wszystkim jako dziekan Wydziału Sztuk Pięknych wykształcił całą generację twórców, podzielających zwykle jego estetyczne poglądy.

W międzywojniu oprócz portretów największe wzięcie miały miejskie weduty w stylu, który dziś nazywamy magicznym realizmem. Nad Wilią hołdowali mu Bronisław Jamontt, Michał Rouba i Jerzy Hoppen. Zaniedbane podwórka i zaułki, wyboiste uliczki i nadgryzione zębem czasu kamienice potwierdzały famę o kiepskiej kondycji finansowej byłej stolicy Wielkiego Księstwa, jednak nie sposób było im odmówić uroku. Cykl 18 akwafort Hoppena, składających się na cykl „Stare Wilno", odniósł sukces międzynarodowy, stając się obiektem pożądania kolekcjonerów. Obrazy i grafiki jego studentów trafiały zaś nie tyle pod strzechy, ile do mieszkań ludzi, którzy przybywali na Kresy w celach turystycznych lub służbowych. Jak na ironię, najładniejszy z plakatów sławiących urodę „Aten północy" zaprojektował warszawiak Stefan Norblin.

WIDZIEĆ I NIE ROZUMIEĆ

Pierwszą jaskółką zmian była Wystawa Nowej Sztuki, zorganizowana w maju 1923 r. przez dwóch przyjaciół: Litwina Vytautasa Kairiūkštisa i Polaka Władysława Strzemińskiego. Niestety, wileńskim recenzentom konstruktywizm kojarzył się z bolszewizmem. Ruszczyc swoje wrażenia z wernisażu wyraził krótko: „To trzeba widzieć, by – nie zrozumieć". Ekspozycja okazała się chwilową sensacją. Zauważono ją za granicą, gdyż katalog rozesłano do redakcji pism sympatyzujących z awangardą. Kresowa elita pozostała niewzruszona. Zniechęcony Strzemiński opuścił Wilno i objął posadę nauczyciela rysunku w Szczekocinach.

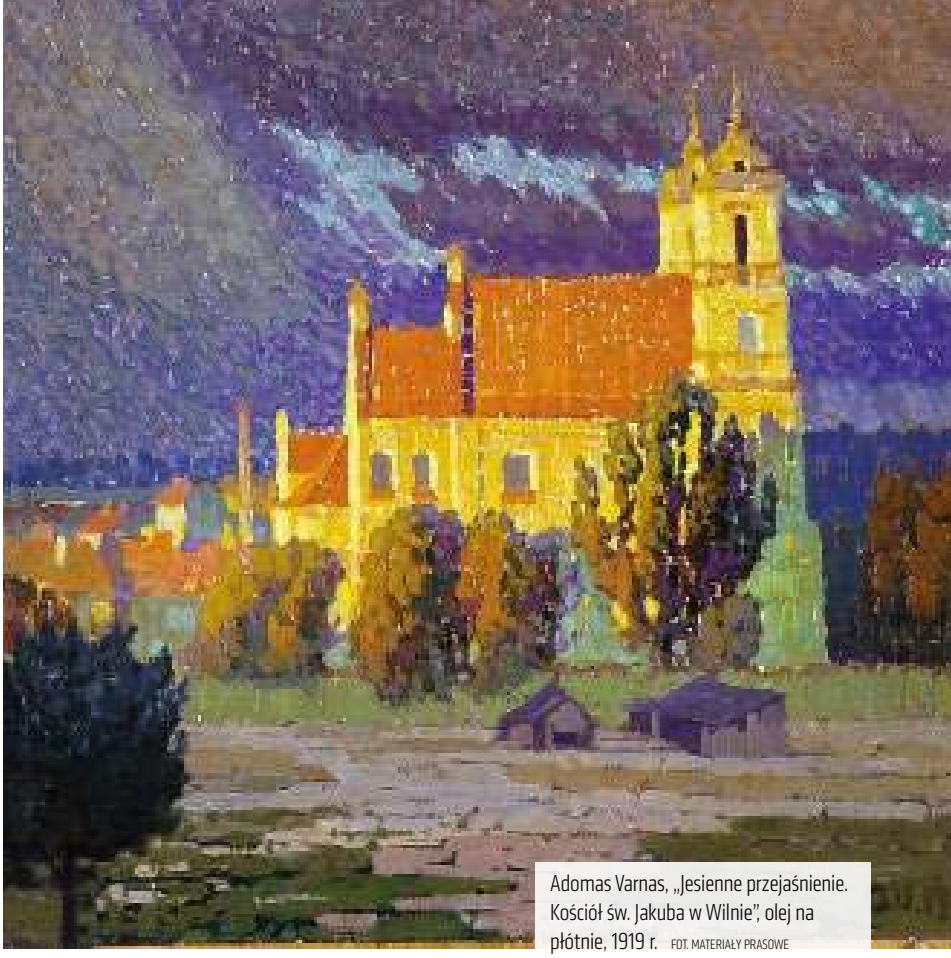

Adomas Varnas, „Jesienne przejaśnienie. Kościół św. Jakuba w Wilnie", olej na płótnie, 1919 r. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Konserwatyści wadzili się z młodzieżą, której bliższe były idee lewicowe tudzież niemiecki ekspresjonizm

Stanisław Woźnicki, propagator nowoczesnego budownictwa, też zrejterował, ale do Warszawy. Oskar Hansen, absolwent Państwowej Szkoły Technicznej, po latach miał zasłynąć jako autor teorii formy otwartej i projektów miast przyszłości. W Wilnie raczej nie rozwinąłby skrzydeł, zważywszy, że już w 1926 r. zlikwidowano katedrę architektury na uniwersytecie. Miasto finansowało głównie odnawianie zabytków. Owszem, w reprezentacyjnych arteriach wyrosły budynki w stylu monumentalno-modernistycznym, jednak żaden z nich nie stał się wizytówką Wilna. Powszechne uznanie zdobył tylko kolejny obiekt symboliczny: mauzoleum serca marszałka Józefa Piłsudskiego na Rossie.

NIEBEZPIECZNA NOWOCZESNOŚĆ

Odkryciem dla zwiedzających wystawę mogły być prace artystów żydowskich. Z wiadomych przyczyn przetrwało ich niewiele. W Wilnie, zwanym „Jerozolimą północy", działały instytucje oraz stowarzyszenia dokumentujące i wspierające kulturę jidysz. Podziały przebiegały wzdłuż tych samych linii, co u chrześcijan. Konserwatyści wadzili się z młodzieżą, której bliższe były idee lewicowe tudzież niemiecki ekspresjonizm. Gwiazdą żydowskiej awangardy był Mojżesz Worobiejczyk, uczeń Sleńdzińskiego. Studiując w Bauhausie, najnowocześniejszej w Europie szkole artystycznej, rozsmakował się w fotomontażu.

Najmniej widoczni byli Białorusini. Intelektualna elita dała zwabić się do ZSRS, gdzie wymordowano ich z rozkazu Stalina. Polskę wybrali malarze Józef Horyd i Michał Siewruk. Pierwszy z nich trafił do Wilna z oddziałami gen. Żeligowskiego. Zasłynął z optymistycznych fresków, zdobiących Kasyno Garnizonowe i siedzibę Izby Przemysłowo-Handlo-

eprasa.pl c7853be07a

wej. Horyda fascynowała nowoczesność, nikt lepiej od niego nie rysował aut i samolotów. W Paryżu zachwycił się art déco, sprowadził też nad Wilię Janinę Dłuską, portrecistkę i projektantkę, która obracała się w tych samych kręgach co Tamara Łempicka. Jej kariera miała zbliżoną trajektorię, lecz zakończyła się nagle z powodu miłości do awiacji. Podczas awaryjnego lądowania siedzący za sterami instruktor złamał szczękę. Ciężko ranna artystka zmarła w szpitalu. Została pochowana na cmentarzu Bernardyńskim, do nagrobka przymocowano śmigło.

W latach 30. neoklasycyzm stracił dominującą pozycję. Do głosu zaczęli dochodzić rówieśnicy Dłuskiej i twórcy jeszcze młodsi: urodzeni w XX w., wykształceni w niepodległej Polsce. Było wśród nich sporo kobiet: Hanna Milewska (współzałożycielka Spółdzielni Pracy Artystów Wileńskich), Placyda Bukowska, Zofia Wendorff-Serafinowicz czy Hadassa Gurewicz-Grodzka, córka dyrektora Gimnazjum Hebrajskiego. Na wystawie można było podziwiać również debiutanckie grafiki i obrazy Andrzeja Wróblewskiego. Odbijają one już inną, okupacyjną rzeczywistość.

ROZBITE SKRZYPCE

Horyd poległ pierwszego dnia wojny w okolicach Dęblina. Litwini podczas swoich krótkich rządów zamknęli Uniwersytet. Niemcy konfiskowali i niszczyli kolekcje sztuki żydowskiej, zabijając jej twórców i odbiorców. Ocalał Worobiejczyk, który już wcześniej wyjechał do Palestyny. W lipcu 1944 r. na chwilę miasto stało się polskie, biało-czerwone flagi powiewały na Górze Zamkowej. Szybko jednak zrozumiano, że Armia Czerwona z Kresów się nie wycofa. Perspektywa przyjęcia sowieckiego obywatelstwa i kolejnej wywózki na Sybir sprawiła, że zaczął się exodus. Do 1946 r. 100 tys. mieszkańców Wilna wyjechało na Zachód, a nie był to wcale koniec „repatriacji".

NKWD działało sprawnie. Aresztowany „przez pomyłkę" grafik Walenty Romanowicz zmarł w więzieniu na Łukiszkach, podobnie jak ostatni rektor USB Stefan Ehrenkreutz, który odmówił współpracy z komunistami, szykującymi się do przejęcia władzy w Polsce.

Ludomir Sleńdziński, „Gazeciarka (Dziewczyna z gazetami)", olej na płótnie, 1929 r. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Ruszczyc swego czasu porównywał Wilno do skrzypiec Stradivariusa, teraz zostały one roztrzaskane. Bułhak podczas walk o miasto stracił w pożarze majątek i dorobek artystyczny. Mimo to wykonał jeszcze wraz z synem dokumentację zniszczeń. Później fotografował ruiny Warszawy i Ziemie Odzyskane.

Sleńdziński wyjechał do Krakowa, żegnając się z ukochanym Wilnem zbiorowym portretem wież kościelnych. Wielu rozbitków zatrudnił Lorentz, który jeszcze przed wojną został dyrektorem Muzeum Narodowego w Warszawie. Dostały tam pracę matka Wróblewskiego i córki Ruszczyca. Bukowska wróciła do Białegostoku, gdzie stała się królową sztuk plastycznych Podlasia. Artyści przesiedleńcy z Wilna najchętniej osiedlali się w Trójmieście i w Toruniu. Obsadzili Wydział Sztuk Pięknych nowo powstałego uniwersytetu im. Kopernika. Jamontt został dziekanem, Hoppen kierował pracownią grafiki, formista Tymon Niesiołowski kierował katedrą malarstwa sztalugowego. Rzeźbiarz Stanisław Horno-Popławski, potomek zesłańca, nie

Ostatnia część ekspozycji dowodzi, że wizja Wilna, stworzona przez Polaków, przetrwała exodus

poprzestał na wykładach, angażując się w odbudowę gdańskiej starówki. Wendorff-Serafinowicz wybrała inną drogę. Wstąpiła do klasztoru Benedyktynek w Żarnowcu (warto dodać, że zakonnice przybyły na Pomorze z Wilna).

Ostatnia część ekspozycji, aczkolwiek emanująca nostalgią, dowodzi, że wizja Wilna, stworzona przez Polaków, przetrwała exodus. Co więcej, przyswoili ją artyści litewscy: Vladas Drėma, Antanas Gudaitis, Viktoras Vizgirda czy Jonas Kuzminskis. Szkoda tylko, że wiedza o tym pozostanie przywilejem nielicznych. W Krakowie wystawę zwiedziło ok. 11 tys. osób. Dla porównania: kilka miesięcy wcześniej w tym samym muzeum sprzedano 120 tys. biletów na pokaz dzieł kosmopolitki Łempickiej. Cóż, to kolejny sygnał, że w Polsce zainteresowanie Kresami stopniowo zamiera.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Vilnius, Wilno, Vilne 1918–1948. Jedno miasto – wiele opowieści" w Litewskiej Narodowej Galerii Sztuki w Wilnie była otwarta do 4 lutego.

Vytautas Kairiūkštis, „Kompozycja suprematystyczna", olej na papierze, 1922–1923 FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl c7853be07a

Być jak Larry

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Piotr Gociek

Bezczelny, irytujący, genialny, zabawny – Larry David przedstawia finał swojej wielkiej tragikomedii ludzkiej

Kim jest Larry David? Aby zrozumieć fenomen bohatera serii „Pohamuj entuzjazm" (który jest jednocześnie twórcą, tworzywem i własnym alter ego na małym ekranie), trzeba się cofnąć do innego fenomenu, mianowicie komediowego serialu „Kroniki Seinfelda" (w oryginale po prostu „Seinfeld"). David to trochę nasz człowiek – matka pochodzi z Tarnopola, gdzie przyszła na świat w rodzinie polsko-żydowskiej. Studiował historię, ale bardziej pociągała go komedia. Pisał żarty i występował w wieczornym komediowym show „Fridays" sieci ABC, potem został jednym ze scenarzystów legendarnego „Saturday Night Live".

To, co najważniejsze w jego karierze, wydarzyło się jednak dopiero wtedy, gdy połączył siły z komikiem Jerrym Seinfeldem, by stworzyć wspomniane „Kroniki Seinfelda" uznawane za jeden z najlepszych seriali wszech czasów, czasem wychwalany z lekkim szyderstwem jako najlepszy w dziejach serial o niczym. Dziewięć sezonów (1989–1998), 180 odcinków, grad nagród i światowa sława. Jerry Seinfeld stał się – i do dziś pozostaje – jednym z najbardziej rozpoznawanych komików świata. Ale współtwórcą tego sukcesu (niektórzy mówią nawet: mózgiem) był Larry David, który pisał scenariusze i był producentem całego przedsięwzięcia.

MISTRZ NARZEKANIA

„Kroniki Seinfelda" w perfekcyjny sposób łączyły dwa odmienne rodzaje humoru. Jerry Seinfeld był mistrzem wynajdywania absurdów w codziennym życiu, ale pokpiwał sobie z nich w sposób uroczy i lekki (to zresztą charakteryzowało jego występy jako komika stand-upowego). Pralnia chemiczna, rachunek w restauracji, otwarcie nowej cukierni – wszystko mogło niespodziewanie stać się obiektem inteligentnego żartu. Larry David wnosił do tego świata neurozy, znane doskonale z żydowskiego humoru w tradycji Woody'ego Allena, a jego odbiciem na ekranie była postać George'a Constanzy (Jason Alexander). George to mistrz wiecznego

eprasa.pl c7853be07a

narzekania na wszystko, którego nadmierna skłonność do analizowania rzeczy oczywistych nieustannie pakuje w tarapaty. Ważna uwaga: rzeczy oczywiste poddane dokładnej analizie nagle okazują się nieoczywiste i cała zabawa polega na tym, że nieoczekiwanie zaczynamy podzielać wątpliwości bohatera. Inaczej przecież musielibyśmy go uznać za postać skrajnie irytującą. A kto chciałby z takim gościem obcować przez 180 odcinków?

Prawdziwa sztuka wymaga, by artysta był bezlitosny także wobec siebie. Larry David jest więc prawdziwym artystą sztuki komediowej, bo wkrótce po zakończeniu emisji „Kronik Seinfelda" przestał ukrywać się za postacią Constanzy i niemiłosiernie wyszydził własne fobie w specjalnym programie komediowym dla HBO. A jednorazowe przedsięwzięcie, którym miało być mockumentary „Larry David: Curb Your Enthusiasm", zamieniło się w serial komediowy „Pohamuj entuzjazm" („Curb Your Enthusiasm"), którego 12. sezon trafił właśnie do HBO Max. Dwanaście sezonów w ciągu niemal ćwierćwiecza (2000–2024) – takie rzeczy nie dzieją się przypadkowo. W czym kryje się sekret sukcesu?

Choćbyśmy nie wiem, jak się zarzekali, że jesteśmy szczerzy i spontaniczni, to nie jesteśmy. Zawsze gramy jakąś rolę: ojca, matki, męża, żony, syna, córki, pracownika, szefa itd. Nie oznacza to, że ich tylko udajemy. Jesteśmy tymi postaciami naprawdę. Ale wiemy też doskonale (o ile nie jesteśmy socjopatami), co jest tu prawdziwą treścią, a co efektem społecznych oczekiwań w kwestii takich, a nie innych zachowań (nawet jeśli niektóre z nich uważamy za absurdalne). Larry David, który w „Pohamuj entuzjazm" gra jedynie lekko zmienioną wersję samego siebie, jest osobnikiem wyjątkowo kiepskim w społecznych interakcjach i trzymaniu się roli. Częściowo z przyczyn charakterologicznych (kiedyś mówiło się na takich „męczydusza"), częściowo z powodu wielkiej inteligencji (która każe mu kwestionować wszystko) połączonej z nikłą inteligencją emocjonalną (dlatego łatwo uznać go za zwykłego gbura).

DROGA DO KATASTROFY

Serialowy Larry David jest – podobnie jak ten prawdziwy – uznanym producentem i scenarzystą żyjącym w Los Angeles. Odniósł wielki sukces: wszyscy go znają, każdy chciałby z nim pracować, no i ma ogromne pieniądze. Niczego już nie musi, ale żeby nie zardzewieć, rozważa rozmaite projekty (niektóre się w trakcie serialu zrealizują, inne nie). Ale to on jest „tym legendarnym" Larrym Davidem, do którego drzwi każdy chciałby zapukać z nowym pomysłem. Ma jednak fatalną cechę (ma ich więcej, lecz skoncentrujmy się na jednej): zwykle mówi to, co myśli. Co oczywiście jest prostą drogą do katastrofy, zwłaszcza gdy żyje się w sercu politycznie poprawnej Kalifornii, gdzie poruszenie dosłownie każdego tematu jest wejściem na pole minowe. David, amerykański bogaty liberał, zna doskonale reguły gry, ale nie potrafi ich przestrzegać – taki ma charakter.

Doskonały przykład znajdziemy w drugim odcinku 12. sezonu „Pohamuj entuzjazm". Larry znalazł się w Atlancie, gdzie występował jako płatny gość specjalny na urodzinach kochanki południowoafrykańskiego milionera (jak się domyślacie, zakończyło się to katastrofą). Ponieważ musi zostać w mieście na kilka dni, jego przyjaciel i menedżer Jeff wynajmuje im przez Airbnb piękny dom. Przed domem stoi metrowa figura czarnoskórego dżokeja trzymającego lampę. Wszyscy zgodnie uznają, że jest to bardzo rasistowskie, a kalifornijskim liberałom nie przystoi tolerowanie takiej obrazy. Może więc wywalić dżokeja do śmietnika? No, ale wtedy utraci się depozyt wpłacony przy wynajmie (w końcu byłby to akt dewastacji). Larry i Jeff postanawiają na czas swego pobytu ukryć figurę, ale ponieważ jest bardzo ciężka, rozbijają ją podczas przenoszenia. Teraz, żeby nie stracić pieniędzy, trzeba znaleźć takiego samego czarnego dżokeja i podstawić go w miejsce rozbitego. I oto Larry, bogaty Żyd z Kalifornii, zagorzały sympatyk demokratów, jeździ po Atlancie, próbując kupić figurkę czarnego dżokeja, co we wszystkich sklepach uznawane jest za rasistowskie. Z kolei próby nabycia podróbki u białych mieszkańców stanu Georgia – którzy masowo trzymają podobne ozdoby na swoich trawnikach – spełzają na niczym, gdyż biali rasiści są do swoich czarnych dżokejów bardzo przywiązani. I tak dalej.

„POHAMUJ ENTUZJAZM" („CURB YOUR ENTHUSIASM")
SERIAL HBO

Podobnych zapętleń jest w serialu „Pohamuj entuzjazm" mnóstwo, Larry David nieustannie pakuje się w kłopoty – albo nie potrafi utrzymać języka za zębami, albo gubi go nadmierna chęć analizowania wszystkiego, albo dobre chęci obracają się przeciw niemu. Ale chwila – czy w sprawie czarnego dżokeja chodziło o dobre chęci czy o zwykłą chciwość? W końcu Larry i Jeff, oficjalnie współczujący liberałowie, bardziej martwili się perspektywą utraty pieniędzy niż uczuciami czarnoskórych mieszkańców Atlanty.

Larry David stworzył na potrzeby serialu idealny przykład protagonisty, który jest jednocześnie antagonistą (później genialnie udało się to Vince'owi Gilliganowi w „Breaking Bad" z Walterem Whitem). Larry jest bowiem swoim największym wrogiem i nie może mieć do nikogo o nic pretensji – wszystko, co go spotyka, sam ściągnął sobie na głowę. Czy mu współczujemy? Czasem, bywa bowiem bardzo żałosny, gdy cierpi, ale równie często nas irytuje.

BEZ TABU I KONWENCJI

Najważniejsza rzecz jest inna i powiedzmy ją głośno, choć to niepoprawne: my Larry'emu także zazdrościmy. Nie pieniędzy, ale właśnie tej bezceremonialności i szczerości. W świecie niezliczonych konwencji i tabu mamy pełne prawo czuć się zmęczeni koniecznością nieustannego tańca między niewidzialnymi linami. Każdy chciałby czasem być jak Larry David: po prostu palnąć to, co myśli. „Wszyscy mamy w sobie odrobinę Larry'ego" – pisze Mark Ralkowski we wstępie do książki „Curb Your Enthusiasm and Philosophy". „W pewnym sensie, na pewnym poziomie, także ty jesteś Larrym" – zwraca się wprost do czytelnika. „Larry często mówi i robi rzeczy, które większość z nas chciałaby mieć odwagę powiedzieć i zrobić. Możemy nawet spełnić niektóre ze swych życzeń, patrząc jak Larry spełnia swoje". Świat pełen Larrych byłby miejscem nie do wytrzymania, społeczeństwo, aby funkcjonować, potrzebuje przestrzegania zasad kontraktów społecznych. Ale świat bez Larrych byłby koszmarem, w którym wszyscy wszystko udają – także to, że im się owo udawanie podoba.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c7853be07a

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

★★★☆☆☆

REŻ. PHILLIP NOYCE
„SZYBKI CHARLIE" („FAST CHARLIE")
USA 2023

wyst. Pierce Brosnan, James Caan, Morena Baccarin

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

CANAL+ ONLINE

Siła gwiazd

Błahy i mało oryginalny film „Szybki Charlie" i tak przejdzie do historii kina. Powód jest oczywisty: dostajemy w nim ostatnią rolę Jamesa Caana. Jest kogo żegnać. Sonny Corleone w „Ojcu chrzestnym" Coppoli, hazardzista w „Graczu" Reisza, buntownik mimo woli w „Rollerballu" Jewisona, włamywacz w „Złodzieju" Manna – długo by wymieniać. W filmie Phillipa Noyce'a („Stan zagrożenia", „Polowanie na króliki") Caan żegna się z nami rolą dotkniętego demencją starego, Stana Mullena. Zdjęcia kręcono wiosną, Caan zmarł 6 lipca 2022 r. Na ekranie widzimy, jaki był już kruchy. Osiemdziesięciodwuletni gwiazdor miał za sobą niemal 60 lat kariery.

Po tym poznajemy prawdziwe gwiazdy, prawdziwą charyzmę – James Caan pojawia się w kadrze rzadko, ale za każdym razem kradnie scenę. A przecież partnera ma godnego. Tytułowego Charliego gra Pierce Brosnan (od lat pracuje dla Stana jako cyngiel). A jako że obaj są bandziorami starej daty, to mają zasady: Stan jest jak ojciec dla swojej gangsterskiej rodziny, a Charlie opiekuje się chorym szefem jak własnym ojcem. Tymczasem nuworysze przestępczego światka zasad nie mają, chodzi im tylko o kasę, więc wkrótce w mieście pojawi się bezwzględny bandzior, który chce przejąć interesy kulą i nożem. Szybki Charlie weźmie zemstę w swoje ręce.

Rutynowe to wszystko, chwilami na siłę zabawne, jak pastisz książek Elmore'a Leonarda, który przecież sam pisał pastisze czarnego kryminału. A jednak się ogląda, bo doświadczony Philip Noyce zaufał potędze gwiazd. Caan i Brosnan to duet, od którego oka oderwać się nie da, świetnie wypada Morena Baccarin jako nieoczekiwany sojusznik Charliego (jest między nimi ekranowa chemia, mimo różnicy wieku). Na drugim planie zabawna jest Sharon Gless jako upiorna teściowa. W starym Hollywood paru speców doszlifowałoby jeszcze scenariusz, dołożyło kilka komplikacji i stworzyło perełkę kina klasy B. Film Noyce'a kończy się w chwili, gdy zaczyna się rozpędzać, a niepotrzebna narracja z offu jest chyba tylko dowodem, że publiczności nie ufa się już za grosz. Charlie naprawdę nie musi częstować nas banałami w rodzaju „zdrada ma to do siebie, że uderza cię niespodziewanie". Na końcu zostaje w pamięci James Caan i ślady prawdziwej star power. Dobre i to. ©℗

NOWE SERIALE: „PAN I PANI SMITH"

prime video

Obcy ludzie (Maya Erskine i Donald Glover) udają małżeństwo na potrzeby tajnej mokrej roboty. Ona to odrzut z CIA, on jest ekszołnierzem. Wspólny żywot specagentów zbliży ich do siebie, ale paliwa nie starczyłoby na serial, gdyby miała to być tylko opowieść o relacjach damsko-męskich. Na szczęście każdy odcinek przynosi inną ryzykowną misję, scenariusz jest błyskotliwy, a gościnnie pojawiają się świetni aktorzy (John Turturro czy Ron Perlman). ©℗ ***Piotr Gociek***

- *sezon 1* ***„Pan i pani Smith" („Mr & Mrs Smith")****, USA 2024*

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *sezon 1* ***„Constellation"****, USA 2024* tv+
- *miniseria* ***„Czarny tort" („Black Cake")****, USA 2024* Disney+
- *sezon 1* ***„Jeden dzień" („One Day")****, Wielka Brytania 2024* N

eprasa.pl c7853be07a

Służba nie drużba

HBO max

Gdzie kończy się obywatelskie nieposłuszeństwo, a zaczyna zdrada ojczyzny? Amerykańskie media lubią sygnalistów, rząd wręcz przeciwnie. Dla złapanych domaga się surowych kar, co ma odstraszyć naśladowców. O Snowdenie słyszał każdy, sprawa Reality Winner nie zyskała wielkiego rozgłosu. Sześć lat temu zarzucono jej upublicznienie tajnego raportu o rosyjskich hakerach, próbujących wpłynąć na wynik wyborów prezydenckich w USA.

Film jest równie dziwny jak imię bohaterki. To ekranizacja ocenzurowanego stenogramu przesłuchania. Agenci FBI są mało efektowni: przemoc, pogarda dla procedur, poczucie humoru – to nie ich bajka. Lepsze efekty daje udawanie safandułowatych biurokratów, którzy mają problem z odblokowaniem komórki czy wyciągnięciem wystraszonego kota spod łóżka. Reality przyjmuje reguły tej gry. Wydaje się bardziej przejęta losem domowych pupili niż własną sytuacją. Z czasem jednak atmosfera w domu, otoczonym policyjną taśmą ostrzegawczą, zaczyna tężeć. Wnioski? Po pierwsze: źle się dzieje w państwie amerykańskim. Po drugie: Sweeney to naprawdę dobra aktorka. Kto zna ją tylko z serialu „Euforia", może być zaskoczony, bo introwertyczna tłumaczka z wojskową przeszłością jest całkowitym przeciwieństwem kochliwej i głupiutkiej Cassie. Niestety, w Hollywood taka zmienność nie popłaca. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★☆☆

REŻ. TINA SATTER
„REALITY"
USA 2023

wyst. Sidney Sweeney, Josh Hamilton, Marchant Davis

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

CELA PLUS

N

Alan Parker, gdyby żył, obchodziłby 80. urodziny. Z reżyserowaniem dał sobie spokój już w 2003 r., więc nigdy się nie dowiemy, czy na starość szybowałby wysoko jak Clint Eastwood czy nisko jak Ridley Scott. Najlepszy film Parkera, „Midnight Express", dostał nominację do Oscara. Na więcej nie miał szans, ponieważ wpływowi krytycy orzekli, że jest to dzieło zgoła rasistowskie. Protestował rząd w Ankarze, twierdząc, że warunki w tureckich więzieniach są mniej koszmarne, niż opisał je scenarzysta Oliver Stone (wówczas młody, zdolny i jeszcze niezmanierowany). Oburzano się, że film rehabilituje godny potępienia proceder przemytu narkotyków. Publiczność widziała jednak w Billym pechowca, który dostał się w tryby systemu tyleż bezdusznego, co skorumpowanego. Chcąc przetrwać w piekle, musisz stać się diabłem. Dla Brada Davisa była to rola życia (dość krótkiego, bo zmarł na AIDS, mając lat 41). ©℗

★★★★★☆

REŻ. ALAN PARKER
„MIDNIGHT EXPRESS"
USA 1978

wyst. Brad Davis, John Hurt, Randy Quaid

JEŚĆ ŚWIADOMIE

KINO

Ludzie rozpaczliwie pragną uwierzyć, w cokolwiek. Któż wie o tym lepiej niż autorka obsypanego nagrodami dramatu „Lourdes"? Tym razem ironistka z Austrii wzięła na celownik obsesję pokarmową. Wymyśliła elitarną szkołę, która oprócz nauki mandaryńskiego i baletu proponuje dzieciakom dodatkowe zajęcia ze zdrowego odżywiania. Pani Novak, dietetyczka, okazuje się jednak specjalistką z innej branży: prania młodocianych mózgów. Wmawia podopiecznym, że głodówka wzmacnia i oczyszcza organizm tudzież dodaje 10–20 lat życia. Ziarno pada na podatną glebę. Slogany o „redukowaniu konsumpcjonizmu", ratowaniu planety i samokontroli podobają się nastolatkom, zwłaszcza gdy są synonimem rebelii. Satyryczne paliwo rychło się wyczerpuje, stężenie absurdu osiąga stan krytyczny, lecz Hausner na to nie zważa. W efekcie, gdy próbuje spoważnieć i zejść na ziemię, jest już za późno. Zimne kino na gorący temat. ©℗

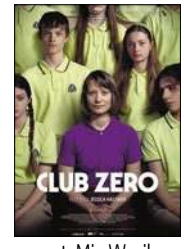

★★★☆☆☆

REŻ. JESSICA HAUSNER
„CLUB ZERO"
WIELKA BRYTANIA/ AUSTRIA 2023

wyst. Mia Wasikowska, Sidse Babett Knudsen, Amanda Lawrence

GRA TYGODNIA: „THE INQUISITOR"

Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały na to, że pierwsza gra osadzona w świecie wykreowanym przez Jacka Piekarę będzie niewypałem. Chciałbym w tym miejscu napisać „ale"... ale nie mogę. Bo to rzeczywiście jest niewypał. I nie chodzi tu o kwestie graficzne, lecz o całą resztę z drewnianym gameplayem i irytującym Nieświatem na czele. Trzeba dużo samozaparcia, by dobrnąć do końca opowiedzianej w grze historii. Szkoda, bo akurat fabuła jest dość ciekawa. Pozostaje trzymać kciuki i za kolejne gry w inkwizytorskim świecie, i za The Dust. ©℗

Radosław Wojtas

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★☆☆☆☆

- ***Gatunek:*** *przygodowe, TPP*
- ***Platforma:*** *PS5, XSX, PC*
- ***Producent; wydawca:*** *The Dust, Kalypso Media*

eprasa.pl c7853be07a

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Łacińska identyfikacja

Wielkanoc 2007 r. autor tego dziennika spędził w Rzymie. Zanotował wtedy: „Ogromne, najpiękniejsze kościoły świata, zbudowane dla tysięcy uczestników. Znak rozpoznawczy kościołów: są puste”.

Gdy jego włoski przyjaciel dziwił się, że tak chętnie przyjeżdża do Rzymu, a nie chce podróżować z nim dalej w świat, np. do Indonezji czy na Filipiny, odpowiedział: „Niespecjalnie gustuję w Azji, receptory mam europejskie. Tu są moje korzenie, łacińska kultura to jest moje ID, ja się czuję STĄD, do samego dna. Też podróżowałem, ale ja nie jestem rolling stone, jestem Sarmatą i Rzym to jest moja lipa przed domem”.

„– Całe Morze Śródziemne, z Libanem i Grecją, północną Afryką, Egipt, kultura fenicka… – kontynuuje – to jest kocioł, gdzie wszystko kipiało, to jest MOJE. Gdziekolwiek jedziemy, wciąż widzę, ile się stąd wzięło i poszło w świat, wszystko zawsze tu pierwsze, oryginalne, a ile mi jeszcze życia zostało? Na resztę szkoda czasu. Gdy w zeszłym roku w Apulii zobaczyłem tamte freski w Bitonto, to zrozumiałem, że nawet styl romański wcale nie jest z Niemiec, a stąd”.

Puenta jego rozmówcy jest bezcenna: „– No tak, gdy Niemcy były jeszcze puszczą, myśmy już mieli Katullusa, Cycerona, Cezara”.

Tyle że ciśnie się na usta pytanie: Coście uczynili z tym dziedzictwem, z tą wspaniałą przeszłością?

W tym tomie „Dziennika włoskiego” wraz z Grzegorzem Musiałem i dwojgiem jego przyjaciół, Włochem i Polką od 1981 r. żyjącą w Paryżu, zwiedzamy Umbrię „Cudowną… krainę całowaną przez Boga” i Toskanię, z jej sercem –

FOT. IGOR MACIEJEWSKI/FUNDACJA CLARTE

Sieną. Ale co to za serce – bez Boga? W katedrze nie odprawiają się msze w ogóle, za to niemal do każdego zakątka świątyni wykupić trzeba oddzielny bilet wstępu. Tak właśnie objawia się „bankierska dusza tego miasta”. A dlaczego nie ma nabożeństw? Ze względu na troskę o posadzkę, by wierni jej nie zadeptali… Na modlitwę gorliwcy odsyłani są do stojącego nieopodal małego budyneczku. Jest taka kapliczka, Santissima Annunziata… Pewnie niedługo znów chrześcijanie spotykać się będą w katakumbach…

Autor książki jest wybitnym znawcą sztuki, ale nie tylko dlatego retorycznie pyta: „Jak można nie być malarzem w takim kraju?” i przegania swoich czytelników po większych i mniejszych galeriach, gdzie oglądamy wraz z nim Botticellego i Rafaela czy arcydzieła Caravaggia, zatykające dech w piersi. A tu jeszcze Donatello, gdzie indziej Vasari… Autor wskazuje nam przy okazji włoskie ślady Tamary Łempickiej, o której właśnie pisze swą świetną powieść („Ja, Tamara”, 2020, i jej drugą część „Tamara, siostra wulkanu”, 2022). Niejeden portret – powiada – który wyszedł spod jej pędzla „wprost krzyczy o włoskich parantelach Łempickiej”.

Ale jak się mają, dajmy na to, freski Giotta do ulicy we Florencji, „utopionej dziś w śmieciach motłochu, zadeptywaczy miejsc świętych z kamerami zamiast oczu, przewidział to już w latach 20. ubiegłego stulecia Ortega y Gasset. Ale nie pisał nic o pladze tych potwornych motocykli, których teraz stoi przed nami szereg, gotowych do skoku. Czarne monstra z czarnymi jeźdźcami za szybami kasków, z goglami niby ślepiami olbrzymich chrabąszczy wbitymi w światła i gdy pojawi się zielone, ruszają z rykiem dziesięciu, dwudziestu machin i straszliwym pędem już na starcie. Jest w tym coś apokaliptycznego. Fellini to uchwycił w »Rzymie«”.

Wywołuje ta książka napięcie – jak zauważa w nocie pomieszczonej na okładce „Dziennika włoskiego” ks. Jan Sochoń. Autor – mówi ten ksiądz poeta – „stara się uchwycić wewnętrzny rytm własnej duszy, kiedy ta styka się z jednej strony z pięknem Włoch, z drugiej – z okrucieństwem realnego świata, silnie naznaczonego i mocą ludzkiego geniuszu, i nowoczesnym kalectwem. Wie, że żyjemy pod ciśnieniem myślenia, które wiedząc o nadprzyrodzonej rzeczywistości, paradoksalnie zniechęca do kontaktu z nią”.

A ja zachęcam do przeczytania „Dziennika włoskiego” Grzegorza Musiała. Zachęcam i tych, którzy wybierają się właśnie w podróż do Florencji, Sieny czy Asyżu, a także tych wszystkich, którzy usiłują odnaleźć się w coraz bardziej plugawej rzeczywistości, bo przecież jest „w nieszczęściu potrzebny jakiś ład czy piękno”, jak utrzymywał Miłosz. O którym zresztą Musiał, podobnie jak o Witoldzie Gombrowiczu czy o Romanie Polańskim, pisze – na marginesie relacji ze swoich peregrynacji – mocno krytycznie, za to jakże ciekawie! ©℗

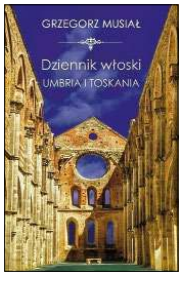

★★★★☆

GRZEGORZ MUSIAŁ „DZIENNIK WŁOSKI. UMBRIA I TOSKANIA” ZYSK I S-KA, POZNAŃ 2023

eprasa.pl c7853be07a

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Stąd zobaczysz jutro

Nadajemy zdarzeniom znaczenie, żeby zyskać poczucie panowania nad losem. Dzięki temu życie daje się znieść. Alternatywa jest zbyt przerażająca. Przypadkowość wydaje się banalna i nas umniejsza" – pisze Sam Knight. Na marginesie historii Johna Barkera, „psychiatry, który chciał przewidzieć przyszłość", zastanawia się nad chwilami z własnego życie, kiedy jakimś koincydencjom nadawał głębsze znaczenie. Każdy z nas mógłby przeprowadzić podobne ćwiczenie: telefony odbierane chwilę po tym, jak pomyśleliśmy o kimś – i akurat ta osoba zadzwoniła; przeczucia, które się sprawdzają.

Barker, wykorzystując pomoc gazety „Evening Standard", próbował rzecz zbadać naukowo. Zaprosił czytelników do nadsyłania swoich przepowiedni, by potem sprawdzać, które z nich (i czy w ogóle) się sprawdzają. Choć należał do Towarzystwa Badań Parapsychologicznych założonego pod koniec XIX stulecia, to nie był wariatem, lecz poważnym naukowcem. Swoje podejście do tajemniczych fenomenów umysłu określał Barker jako „świadomy racjonalizm". Miał w dorobku poważne prace i badania; po prostu jak wielu w owym czasie (i dziś nie brakuje) uważał, że prekognicja czy telepatia mogą być zjawiskami prawdziwymi, tyle że nauce jeszcze brakuje narzędzi, by się nimi poważnie zająć.

Historię jego nadziei, poszukiwań i rozczarowań Sam Knight opisuje w sposób barwny, a sama opowieść jest fascynująca. Nie tylko dlatego, że dzielimy przez chwilę z Barkerem marzenie o nowych zdolnościach ludzkiego mózgu, lecz także dzięki intrygującemu obrazowi epoki. Barker nie tylko chce stworzyć agencję przewidywania przyszłości, lecz także walczy o wielką reformę systemu opieki nad osobami z zaburzeniami psychicznymi. Shelton Hospital, w którym pracuje, niewiele różni się od wiktoriańskich azylów. Publikuje intrygującą książkę „Scared to Death", w której opisuje przypadki śmierci ze strachu lub – mówiąc językiem naukowym – „wskutek przeciążenia układu współczulnego i nadnerczy", które sami możemy w sytuacjach stresowych w sobie wytworzyć.

Wyniki jego badań nad przewidywaniem przyszłych katastrof okazały się więcej niż skromne, w dodatku nikt nie wiedział, jak nieprecyzyjne wizje przekładać na konkretne ostrzeżenia. Zmarł przedwcześnie. Panna Middleton, jeden z obiektów jego badań, uważa, że przewidziała jego śmierć. ©℗

★★★★★☆
SAM KNIGHT „BIURO PRZECZUĆ" WYDAWNICTWO CZARNE 2024

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Obszerny wybór w serii Biblioteki Narodowej ułożony został i opatrzony wstępem przez prof. Małgorzatę Mikołajczak (autorkę m.in. „Pomiędzy końcem i Apokalipsą. O wyobraźni poetyckiej Zbigniewa Herberta").

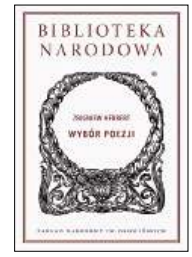

ZBIGNIEW HERBERT „WYBÓR POEZJI" OSSOLINEUM

Zaczęło się od halucynacji, potem wykryto guza mózgu, wreszcie przyszła operacja. Zmarły przedwcześnie węgierski pisarz opisał swoje doświadczenia z tego okresu. Powstała tak jego najpopularniejsza książka.

FRIGYES KARINTHY „PODRÓŻ WOKÓŁ MOJEJ CZASZKI" PIW

Gwiazda Peryklesa, Lwa z Aten, błyszczy coraz mocniej. Na horyzoncie – wojna z Persją. Mistrz powieści historycznej nie zawodzi i otwiera nowy cykl – poświęcony złotej epoce najważniejszego miasta Grecji.

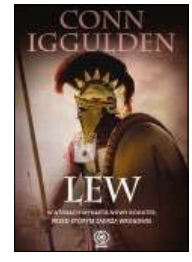

CONN IGGULDEN „LEW" REBIS

„Kwestia polska w rosyjskiej myśli, propagandzie i debatach politycznych epoki Wielkich Reform 1856–1866". Wznowienie doskonałej pracy ukazującej, jak problem Polski wpłynął na rosyjski nacjonalizm imperialny.

recenzuje Piotr Gociek

HENRYK GŁĘBOCKI „FATALNA SPRAWA" ARCANA

KOMIKS TYGODNIA: „HISTORIA SCIENCE FICTION"

Fantastyka w rozmaitych formach podbiła świat, autorzy komiksowej opowieści o dziejach gatunku odnotowują więc mnogość jego form, ale rzecz pozostaje przewodnikiem po najważniejszych postaciach i tematach. Do tej obszernej obrazkowej (i zabawnej, ze względu na narracyjne chwyty) publikacji dołączono szkic Tomasza Kołodziejczaka o polskiej SF.

Piotr Gociek

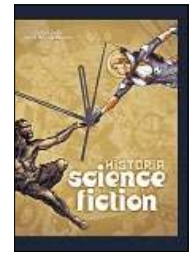

XAVIER DOLLO, DJIBRIL MORISSETTE-PHAN „HISTORIA SCIENCE FICTION" EGMONT 2024

eprasa.pl c7853be07a

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Bizantyjska nostalgia

Malarstwo Jerzego Nowosielskiego – któremu za sprawą niedawnej 100. rocznicy urodzin poświęcono kilka ciekawych wystaw – stało się punktem wyjścia do poszukiwań, których efektem jest wystawa „Bizantyjska nostalgia". Tytuł zaczerpnięto ze słów Tadeusza Kantora, który w ten właśnie sposób określił intencje twórczości Nowosielskiego, która jest – jak przypomina Victoria Burlaka, kuratorka wystawy – „fascynująco przedziwnym współistnieniem dwóch wymiarów – sacrum i profanum, duchowości i cielesności, mistyki i racjonalności, pragnienia absolutu i intensywnych doznań erotycznych".

Wystawa prac artystów polskich i ukraińskich poszukuje podobieństw sztuki z tych dwóch krajów i ich wspólnych źródeł. „Chodzi nie tyle o stylistykę ikony, o sposób malowania, ile o pociąg do metafizycznej ponadczasowej rzeczywistości – pisze Victoria Burlaka. – Wcześniej kierowanie ku niej było głównym zadaniem sztuki, dziś już tak nie jest". ©℗

FOT. CSW ZAMEK UJAZDOWSKI

GDZIE? *Warszawa, Zamek Ujazdowski*
KIEDY? *do 7 kwietnia*

FOT. KRZYSZTOF DECZYŃSKI

MISTRZ JIANG TONGLEI

W mieście Longquan ceramikę wytwarza się nieprzerwanie od ok. 1,6 tys. lat. Tradycję wciąż podtrzymują tacy ludzie jak mistrz Jiang Tonglei, który od blisko trzech dekad prowadzi manufakturę Sunkeng Yao. „Twórczość artysty charakteryzuje głębokie poszanowanie tradycji ceramicznych [...]. Przez lata swojej pracy próbował odtwarzać formuły szkliw oraz techniki wypału dawnych mistrzów" – piszą autorzy wystawy prac mistrza.

GDZIE? *Toruń, Muzeum Sztuki Dalekiego Wschodu w Kamienicy pod Gwiazdą*
KIEDY? *do 12 kwietnia*

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Warto rozmawiać

Żyjemy w czasach kulturowego recyklingu, stąd płyty oryginalne pod względem muzycznym pojawiają się z rzadka. Brittany Howard, była wokalistka zespołu Alabama Shakes, należy do tych nielicznych wykonawców, którzy nie boją się muzycznych poszukiwań.

Głównym tematem tej płyty jest autoanaliza. Brittany skupia się przy tym na ciemnych stronach miłości. Centralnym, a zarazem najdłuższym utworem na albumie jest „Samson". Opowiada o dojrzewaniu do zakończenia związku, który pod względem mentalnym, emocjonalnym i psychicznym już tylko rani.

„Moja mama jest biała, a ojciec czarny i jedyną rzeczą, w której byli zgodni, było uwielbienie dla Prince'a" – opowiada Howard. Duch księcia jest obecny na płycie, ale jednocześnie Amerykanka z łatwością przeskakuje między muzycznymi nurtami. Usłyszymy południowy soul, R&B, astralny jazz, psychodeliczny funk, staromodny doo-wop, garażowy blues i rap. Głos Howard płynnie przechodzi od łagodnej czułości do pouczającego wrzasku. Album wieńczy neurotyczna ballada „Every Color in Blue". To opowieść o depresji, która towarzyszy Howard od dzieciństwa. „Oto nadchodzi to uczucie, o którym nie rozmawiamy" – śpiewa.

Mimo trudnych tematów zachęcam do wysłuchania muzycznego przekazu tej wielce niebanalnej artystki. ©℗

★★★★★★
BRITTANY HOWARD
„WHAT NOW"
ISLAND

★★★★★☆
ADAM BAŁDYCH & LESZEK MOŻDŻER
„PASSACAGLIA"
ACT

Dialog między dwoma wybitnymi osobowościami został przełożony na rozmowę między skrzypcami i fortepianem. Obok oryginalnych utworów usłyszymy interpretacje tematów m.in. autorstwa Erica Satiego i Josquina des Preza.

★★★★☆☆
J MASCIS
„WHAT DO WE DO NOW"
SUB POP

W latach 80. liderował Dinosaur Jr. jednemu z najważniejszych zespołów alternatywnych. Mascis ma charakterystyczny chropowaty głos i lubi epicki styl gry na gitarze. Jego piąty solowy album jest bardziej wyciszony, choć tempa piosenek są żywe, a gitary świszczą należycie.

eprasa.pl c7853be07a

Głupota kroczy przez Polskę

FOT. ADOBE STOCK

Krzysztof Masłoń

Gdyby tak w ramach dokonującej się „odnowy” telewizji publicznej zlikwidowano choć część królujących w niej teledurniejów, pożytek z tego byłby ogromny. Bez żenady schlebiają one bowiem widzom najmniej wymagającym, których wprawiają w samozadowolenie, gdy – często w przeciwieństwie do grających – są w stanie odpowiedzieć prawidłowo na pytanie w skali trudności od jednego do dziesięciu zbliżonej do zera. Słabą pociechą jest to, że podobny, triumfalny przemarsz nieuctwa przez telewizyjne ekrany ma miejsce i gdzie indziej.

Grzegorz Musiał pooglądał np. telewizję we Włoszech: „W Rai Uno, Rai Due ta sama tragedia, co w Polsce: telekonkursy, wygrywanie niebotycznych sum za wiedzę o tym, jaka jest najdłuższa rzeka we Francji i ile stron świata pokazuje kompas. Jedna odpadła, bo nie wiedziała, co to jest kompas. Głupota kroczy przez Europę, tak jak niegdyś demon na rysunkach Kubina. Rozdeptuje cywilizację stalowymi buciorami, ślepy, zadufany w sobie, z zaciśniętymi ustami wlecze za sobą tłum błaznów z rechotem, śmiechem, figlami, który obłazi każde żywe stworzenie spotkane po drodze i obżera je do kości. Zostaje wtedy to, co właśnie widzę: dzielna ekipa konkursu, w którym trzeba zgadnąć, ile miesięcy ma rok, dwanaście, a może dwadzieścia cztery, i dostanie się za to jacht na Capri”.

Niedawno oglądając powtarzany odcinek „Familiady”, popadłem w zdumienie, obserwując erudycyjne popisy innej, równie dzielnej ekipy, tyle że znad Wisły, która to mordowała się z nazwaniem państw skandynawskich. Zbiorowy wytężony wysiłek znamionował pot oblewający te czoła myślą nieskażone, aż w końcu któryś z desperatów oznajmił: „Kanada!”.

Przed laty w niszowej, rzekłbym, Telewizji Puls był inny teledurniej z trafionym tytułem: „Czy jesteś mądrzejszy od 5-klasisty?”. Warto byłoby odwołać się do tamtych doświadczeń, ale prędko, bo po reformach edukacyjnych ministry Nowackiej skretynienie młodego pokolenia Polaków osiągnąć może taki poziom, że podobne pytanie straci swój sens. No ale wtedy można będzie zaserwować telewidzom program edukacyjny pod nazwą, przykładowo: „Czy znasz tabliczkę mnożenia?”. Za trafną odpowiedź na pytanie, ile to jest 7 razy 9, grający otrzyma tytuł Giganta Matematyki.

Najpopularniejsze nasze teledurnieje to, jakżeby inaczej, kalki formatów brytyjskich („Milionerzy”, „Jeden z dziesięciu”) czy amerykańskich („Va banque”). Rodzime pomysły jakoś się nie sprawdzają, czego dowiodły losy „Miliarda w rozumie”, wykoncypowanego w PWN, gdy ten w końcu minionego stulecia pod rządami Grzegorza Boguty królował na naszym rynku wydawniczym, mając zakusy na podbój Europy niczym Orlen kierowany przez prezesa Daniela Obajtka. Z planów nic nie wyszło, podobnie jak z uczynienia z „Miliarda w rozumie” flagowego produktu oficyny, wtedy jeszcze, z pałacu Morsztynów przy ulicy Miodowej w Warszawie. Dziś PWN dogorywa w biurowcu Libra Business Center, pałac Morsztynów, znany również jako pałac Młodziejowskiego, dawno został sprzedany, a „Miliard w rozumie”, mimo prób reaktywacji, nie zdobył uznania telewidzów ponoć dlatego, że uznano go za „zbyt wymagający”. Na pewno nadto skomplikowane były zasady gry, a i nie do końca sprawdził się w nim prowadzący – Janusz Weiss, pewnie też „zbyt inteligentny”. W każdym razie niegdysiejszy prześmiewca z „Salonu Niezależnych” i zabawny interlokutor z radiowego „Dzwonię do Pani, Pana w bardzo nietypowej sprawie”, nie stał się dzięki „Miliardowi…” (przed denominacją złotego) ulubieńcem mas. W przeciwieństwie do Przemysława Babiarza, a zwłaszcza Tadeusza Sznuka, których swoją drogą należy podziwiać, że ze spokojem znoszą, niestety coraz częstsze, przejawy nieuctwa prezentowane przez uczestników programów uważanych za kultowe, bo za takie uznaje się „Va banque” i „Jednego z dziesięciu”.

Polską produkcją jest za to „Gra słów. Krzyżówka szczęścia”, w której szczęście utożsamia się z wygraną mniej więcej 4 tys. zł. Zdaniem jednych jest to śmiesznie mało, zdaniem drugich – o wiele za dużo, zważywszy na poziom grających, z których większość zgłasza się do tego teledurnieju zachęcana chyba przez ciocie i wujków uważających ich za alfy i omegi. Choć w zdaniu tym są odosobnieni.

We wspominanej przez starców ze łzą w oku „Wielkiej grze” sprawdzano grających z wiedzy z takich dziedzin, jak np. „Dynastia julijsko-klaudyjska”, „Wielkie podboje Turków osmańskich” czy – z muzyki – „Słynne koncerty fortepianowe” lub „Gaetano Donizetti”. Z tej ostatniej dziedziny główną nagrodę „Wielkiej gry” zdobył Marek Krukowski, co udało mu się jeszcze poza tym 14 razy. A i tak sympatyczny bibliotekarz z Kwidzyna nie został rekordzistą tego teleturnieju z lat 1962–2006, bo Jan Wolniakowski, poznański ekonomista, wygrał w nim razy 18.

Dziś wiekopomną sławę zdobywają ci, którzy po pół dźwięku rozpoznają piosenkarskie szlagiery i zawsze wiedzą „Jaka to melodia?”. No jak to jaka? Niestety, wciąż ta sama. ©℗

eprasa.pl c7853be07a

Co nam mówi Putin

Wojciech Golonka

Prezydent Federacji Rosyjskiej w rozmowie z amerykańskim dziennikarzem dał znak, że wojna na Ukrainie trwać będzie do czasu kompromisu ze strony Waszyngtonu

Tchnący atmosferą skandalu wywiad wiodącego amerykańskiego konserwatywnego publicysty Tuckera Carlsona z prezydentem Federacji Rosyjskiej Władimirem Putinem zrodził u mnie dość mieszane i niespójne odczucia. Im więcej przed publikacją wywiadu pojawiało się histerii, a nawet gróźb pod kątem samego publicysty – sugerowano przecież objęcie go sankcjami przez Komisję Europejską – tym bardziej, siłą rzeczy, człowiek przekorny „nakręcał się", aby ten wywiad zobaczyć. Duża więc w oglądalności tej rozmowy „zasługa" technokratów z Brukseli (i ich pudeł rezonansowych), którzy chcą także regulować nasze prywatność i myślenie, z czym w zasadzie się nawet nie kryją. Owszem, Carlson cieszył się u konserwatystów w Polsce zasłużoną, choć nie ślepą i bezkrytyczną sympatią, ale to właśnie reakcja „establishmentu" zrobiła temu wydarzeniu największą reklamę.

Pod tym względem reakcja na wywiad, który się jeszcze nie ukazał, powiedziała nam dość dużo o jednej ze stron tego konfliktu: dość prawdopodobne, że obawiano się, iż podważy on i tak nadwyrężoną wiarę w sens dotychczasowej polityki sojuszników Kijowa w postaci bezapelacyjnego wspierania wysiłku wojennego Ukrainy. Zachodzi przy tym jeszcze jedna okoliczność: otóż od początku wojny byliśmy karmieni przez media informacjami o kolejnych zawałach, rakach, zamachach i innych zejściach Władimira Władimirowicza z tego łez padołu, a tu nagle się okazuje, że udzieli on znanemu amerykańskiemu publicyście wywiadu zagrażającego światowemu bezpieczeństwu…

Ironia na bok, zarówno zasadna wątpliwość co do skuteczności zachodniej strategii w kwestii ukraińskiej, jak i wątpliwość co do uczciwości mediów w tym kryzysie – tak, to z pewnością zachęcało do wysłuchania, co dwa lata po rosyjskiej inwazji na Ukrainę ma do powiedzenia w tej kwestii jeden z głównych, choć niejedyny decydent w tym konflikcie.

KREML NIE SKORZYSTAŁ Z OKAZJI

Tymczasem, po tak niezdrowo wyśrubowanej na różne sposoby ciekawości, po obejrzeniu wywiadu Tuckera Carlsona z Władimirem Putinem mogło nastąpić uzasadnione „rozczarowanie". Po pierwsze, w tym niewspółmiernie długim w stosunku do meritum wywiadzie stara wyga z sowieckich służb bez problemu ograła skądinąd doświadczonego dziennikarza, który w tym wypadku nie zapanował nad wywiadem, pozwolił się sprowadzić do roli grzecznego ucznia, a w dodatku nie kontrolował swych sangwinicznych reakcji, wybuchając raz po raz śmiechem, tak jakby wywiad dotyczył nie krwawej wojny, a jakiejś groteski.

Przy czym wywiad, który wedle żywionych obaw miał być groźną propagandą Kremla, przede wszystkim okazał się nudny jak flaki z olejem, z tym zastrzeżeniem, że była to prawdopodobnie „nuda" zaplanowana i zamierzona ze strony rosyjskiej – dość przypomnieć czterogodzinny wywiad Oliviera Stone'a z Władimirem Putinem, mający oczywiście wymiar propagandowy, ale cechujący się właśnie właściwą dla propagandy atrakcyjną dynamiką.

Tymczasem w tym wypadku Kreml nie skorzystał z okazji zrobienia prawdziwego show, puszczenia w obieg sensacyjnych informacji czy propagandowego ogłoszenia przełomów na froncie. Dlaczego?

Następujące po tym wywiadzie, a raczej monologu Putina reakcje bynajmniej

eprasa.pl c7853be07a

Tucker Carlson podczas rozmowy z prezydentem Władimirem Putinem
FOT. KREMLIN.RU

nie ułatwiały mi poukładania sobie tych mieszanych odczuć i odczytania samego meritum. Z jednej strony portal X Elona Muska (dawniej Twitter) zalał wysyp (dez)informacji z zupełnie nieznanych kont, proponujących dostęp do tej rozmowy w najróżniejszych językach świata, zachwalających rzekomo przełomowy wywiad i jego znaczenie dla zakończenia wojny, a przynajmniej uniknięcia trzeciej wojny światowej – rosyjskie służby były najwyraźniej bardzo aktywne, aby wokół tego wywiadu zrobić jak najwięcej, choćby tandetnego i nachalnego szumu. Z drugiej strony, przynajmniej w Polsce, skupiono się z pełną energią na polemice z wybrzmiewającymi w wywiadzie manipulacjami historycznymi, począwszy od karykaturalnego przedstawienia rywalizacji terytorialnej Polski i Rosji, a skończywszy na przypisaniu naszemu państwu roli sprawczej w wybuchu drugiej wojny światowej.

Oburzenia, oświadczenia, merytoryczna polemika – wszystko to było w tych reakcjach po stronie polskiej zrozumiałe, sęk w tym, że nie o tym był w rzeczywistości ten wywiad, a przynajmniej my, Polacy, z pewnością nie byliśmy jego adresatami, chyba jedynie żeby przypomnieć nam, że jesteśmy w stanie zimnej wojny z Rosją, która w konsekwencji kieruje się taką, a nie inną polityką historyczną.

INTENCJE TUCKERA

W rzeczywistości o wiele bardziej znaczące i przydatne wydawały mi się mniej liczne wypowiedzi komentatorów próbujące wywnioskować, na podstawie słów Władimira Putina, jak postrzega on perspektywę pokoju na Ukrainie, stosunki z Zachodem w ogóle oraz bieżącą rywalizację geopolityczną na świecie. Zanim jednak poruszę te wątki, przedstawię pokrótce samą intencję Tuckera Carlsona, którą omówił on w ostatnich dniach na Szczycie Rządów Świata w Dubaju, gdzie został zresztą ciepło przyjęty przez emira Muhammada bin Raszida Al Maktuma i publiczność. Tak się bowiem składa, że jeśli na Zachodzie jego posunięcie było mainstreamowo postrzegane w formie moralnej zdrady, to już w świecie arabskim (i gdzie indziej) odebrano je najwyraźniej jako pozytywne działanie na rzecz uniknięcia eskalacji konfliktu tudzież osiągnięcia pokoju.

Oddajmy jednak głos samemu Carlsonowi. Na oskarżenie Hillary Clinton, że okazał się „pożytecznym idiotą", odpowiedział: „Informacja medialna w wolnym kraju jest przeciwwagą dla ugruntowanej władzy, nie tylko władzy rządu, lecz także władzy ekonomicznej, biznesu. W moim kraju tak właśnie ujęto konstytucyjnie informację medialną, jako przeciwwagę dla nich. A zatem jeśli źródła informacji, środki masowego przekazu dostosowują się do władzy, wówczas mamy bezsilne społeczeństwo i totalitaryzm. I w tym kierunku zmierzają właśnie bardzo szybko Stany Zjednoczone […]. Jest to niebezpieczna chwila. Jesteśmy rzekomo demokracją, a jednym z jej założeń jest informacja, aby wyborcy mogli wyrobić sobie zdanie i zdecydować, kogo wybrać. A zatem jeśli nie ma dostępu do informacji, to nie ma demokracji. My zaś znajdujemy się w jakieś dziwnej spirali, w której przywódcy głoszą raz po raz, jak święta jest demokracja, jednocześnie dusząc ją, dusząc ją na śmierć".

W Polsce skupiono się na polemizowaniu z manipulacjami historycznymi Putina

Wywiad Carlsona wpisywał się zatem najwyraźniej w nadchodzące wybory prezydenckie, w których, jak wiadomo, główny oponent rezydującego prezydenta Joe Bidena, Donald Trump, stanowczo krytykuje działania obecnej administracji Białego Domu w kwestii wojny ukraińsko-rosyjskiej i oskarża ją o sprowadzanie na świat ryzyka trzeciej wojny światowej.

Carlson bez wątpienia podziela to stanowisko. Jak stwierdził w komentarzach do swego wywiadu, przedstawiciele amerykańskiego rządu deklarują nieosiągalne cele, jak np. odbicie Krymu z rąk Rosjan, a ci – jak twierdzi dziennikarz – prędzej użyliby broni atomowej, niż na to pozwolili. Przedstawiciele amerykańskiego rządu są zatem, w oczach Carlsona, nieodpowiedzialni i nieobliczalni.

W końcu bardziej osobisty, choć niebagatelny wątek: amerykański publicysta twierdzi, że był on nielegalnie inwigilowany przez CIA, która przekazała jego SMS-y amerykańskiej prasie, kiedy już w przeszłości próbował zorganizować wywiad z Władimirem Putinem (służby zatem jedynie wzmocniły jego determinację). Nawiasem mówiąc, zrozumienie tych deklarowanych motywacji amerykańskiego publicysty, spójnych zresztą z jego światopoglądem (stąd nie widać podstaw, aby odmawiać mu szczerości), może być na gruncie polskim dość skomplikowane, by wspomnieć zapalczywą reakcję obecnego obozu władzy, kiedy prezydent Andrzej Duda pozwolił sobie, w końcu, na nieco realizmu w kwestii zdolności Ukrainy właśnie do odbicia Krymu. Innymi słowy: skoro w naszym kraju „zdusić" można nawet tak podstawową i – wydawałoby się – oczywistą dyskusję, to tym bardziej nie będzie miejsca na refleksję nad tym, co może wynikać dla nas z wypowiedzi władcy Kremla.

eprasa.pl c7853be07a

Rzecz zrozumiała, w Polsce najbardziej przykuto uwagę do słów prezydenta Federacji Rosyjskiej dotyczących perspektyw konfrontacji militarnej z NATO, w tym właśnie, explicite, z Polską. Władimir Putin zadeklarował, że podobny atak miałby miejsce jedynie w przypadku uprzedniego ataku ze strony NATO na Rosję.

Czy należy wierzyć jego deklaracjom? Co do zasady – nie, tym bardziej w dobie panującej między naszymi krajami zimnej wojny i przy zerowym obopólnym zaufaniu, niemniej można wskazać, po pierwsze, na pewną wiarygodność argumentacji, kiedy w oczach rosyjskich elit bezpośrednia konfrontacja NATO – Rosja oznacza w ostateczności czas apokalipsy: „Nie trzeba być analitykiem: to wbrew zdrowemu rozsądkowi wciągnąć się w pewnego rodzaju globalną wojnę. A wojna globalna zaprowadzi całą ludzkość na skraj destrukcji; to oczywiste".

Jednak ze słów Władimira Putina można nie tyle wywnioskować, że nie dojdzie w ogóle do konfrontacji NATO – Rosja, ile że w tej wojnie ostatecznie nie byłoby wygranych (casus zaś płk. Kuklińskiego powinien nam przypomnieć, że perspektywy obrócenia Polski w zgliszcza atomowe nie są czysto teoretyczne).

Po drugie, deklarację tę mogą jednak traktować na poważnie kraje partnerskie wobec Rosji, które bynajmniej nie muszą być a priori wrogo nastawione do Zachodu, z Chinami na czele, którym w pierwszej mierze zależy na „business as usual" i stabilizacji w naszym regionie. Zważywszy na lewar polityczny tych krajów partnerskich, choćby Chin, można jak najbardziej wywnioskować, że ewentualne przerodzenie się wojny rosyjsko-ukraińskiej w otwartą wojnę Rosja – NATO miałoby jednak zupełnie inne powody niż mityczna „odbudowa sowieckiego imperium", która jest najczęściej podawanym po stronie zachodniej argumentem na rzecz takiej perspektywy.

CENA POKOJU

Choć była to kwestia istotna, to nie to było jednak w samym wywiadzie najważniejsze. Przywódca Federacji Rosyjskiej przede wszystkim dał do zrozumienia, że byłby gotów zawrzeć pokój na Ukrainie, nie tyle z Kijowem, który wycofał się, jak twierdził, z praktycznie gotowych ustaleń pokojowych z Istambułu i w ogóle zakazał ustawowo rozmów pokojowych z Moskwą, ile z Waszyngtonem, który jest tu dlań głównym decydentem i potencjalnym partnerem do rozmów.

Władimir Putin sugerował również rozwiązania, które pozwoliłyby NATO „wyjść z twarzą" z tej wojny, a zatem możliwość kompromisu, choć nie wiadomo na jakich warunkach. Jednocześnie rosyjski przywódca zastrzegł sobie prawo do prowadzenia wojny ad Kalendas Graecas, pod pretekstem potrzeby denazyfikacji Ukrainy (którego to pretekstu, chcąc nie chcąc, dostarcza mu nadal sam ukraiński nacjonalizm, niezdolny zerwać ze swymi historycznymi korzeniami z okresu drugiej wojny światowej).

Ze słów Putina można nie tyle wnioskować, że nie dojdzie do wojny z NATO, ile że w tej wojnie nie byłoby wygranych

Innymi słowy: zdaniem Władimira Putina wojna na Ukrainie trwać będzie albo do czasu kompromisu ze strony Waszyngtonu, albo do czasu zupełnej denazyfikacji kraju, to jest bezterminowo. Prezydent Federacji Rosyjskiej wskazał przy tym, że Rosja, w przeciwieństwie do Zachodu, jest gotowa na dalszą długoterminową konfrontację zbrojną na Ukrainie: jej partnerstwo ekonomiczne z Chinami jest silne jak nigdy dotąd (z tymi Chinami, które, notabene, przedstawił on między wierszami jako większe zagrożenie dla Zachodu niż sama Rosja), jej gospodarka wykazuje wystarczającą odporność na sankcje, które z kolei nadwyrężają zachodnie gospodarki. Wskazał przy tym, że używanie dolara jako właśnie broni ekonomicznej w ostateczności obraca się również przeciw samej Ameryce, kiedy kraj pokroju Rosji zmuszony jest do dedolaryzacji swej wymiany handlowej, co przyspiesza i tak zachodzący na świecie trend, najbardziej widoczny w obszarze krajów BRICS. Ostatecznie odejście od amerykańskiej hegemonii na rzecz wielobiegunowego porządku światowego jest nieuniknione, od Ameryki natomiast zależy, na ile proces ten będzie dla niej (i jej sojuszników) kosztowny i niebezpieczny w formie globalnej konfrontacji.

NA RYNEK WEWNĘTRZNY

Prezydent Federacji Rosyjskiej w zasadzie nie powiedział nic nowego z punktu widzenia rosyjskiej narracji i oficjalnego stanowiska, w pierwszym rzędzie jednak, ze swym ponadpółgodzinnym monologiem o charakterze historycznym, najwyraźniej zwrócił się do własnego narodu i ewidentnie wykorzystał wizytę sławnego amerykańskiego publicysty, by w przededniu rodzimych wyborów prezydenckich mocno uderzyć w struny dumy narodowej, cementując poparcie dla swojej polityki.

W drugim rzędzie przekazał światu informację, że zakończenie wojny na Ukrainie leży w gestii amerykańskiej dyplomacji, a skoro Biały Dom pod rządami Joe Bidena nie widzi oficjalnie innego rozwiązania tej wojny, jak pobicie Rosjan na polu walki, to Władimir Putin wysłał również czytelny sygnał amerykańskim wyborcom, że ostatecznie zakończenie tej wojny leży po ich stronie. W końcu prezydent Rosji przekazał jasno państwom trzecim, wyczekującym rozstrzygnięcia konfliktu na Ukrainie, że zaangażowanie Rosji i Chin na rzecz podważenia amerykańskiej hegemonii jest zdeterminowane i nieodwracalne, a jej skutek – nieunikniony.

W zasadzie każdy z tych wątków mógłby zostać odrębnie omówiony, choć wątpię, by w mainstreamowej polskiej polityce było zapotrzebowanie na ich przedyskutowanie. Jako dotychczasowa forpoczta interesów Waszyngtonu, a obecnie także Berlina i Paryża, pozwolimy, w razie potrzeby, naszym partnerom dogadać sprawy, na które i tak nie mamy innego pomysłu niż „ani kroku wstecz", mimo że Ukraina okazała się dotychczas niezdolna do osiągnięcia militarnego przełomu. Jakkolwiek wizyta Tuckera Carlsona w Moskwie miała jak najbardziej prawo rozzłościć walczącą Ukrainę i zostać odebrana jako akt wrogiej propagandy, myślę, że nad Wisłą o wiele bardziej obrazoburcze jest odmawianie sobie dyskusji o tym, co z jego rozmowy na Kremlu dla nas wynika.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c7853be07a

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Komitet Antyalkoholowy

Ponura rzeczywistość Polski Ludowej miała też czasem jaśniejsze, czyli humorystyczne strony, choć mało kto jeszcze o tym pamięta. Powszechną cechą sowieckiego stylu życia było pospolite pijaństwo. Jedni pili siwuchę, Vistulę, Bałtyk i wszelkie inne odmiany berbeluchy (po jej spożyciu ponoć schodziła skóra z dłoni). Ale bywały też bardziej szlachetne trunki. Należał do nich koniak (importowany, ma się rozumieć, z bratniego Związku Sowieckiego). Dla niepoznaki, aby się nie różnić zbytnio od tzw. klasy robotniczej, wymyślono nawet na propagandowy użytek określenie, że koniak to jest napój klasy robotniczej pity ustami jej przywódców.

Takie i inne żarty niezbędne były dla higieny umysłowej, aby jakoś żyć w świecie absurdów. A było ich wiele, bardzo wiele. Oto np., aby przeciwstawić się potężnej fali alkoholizmu, ekipa Wojciecha Jaruzelskiego wymyśliła odpowiednie przeciwdziałanie. On sam podobno pił „mało i rzadko" (jak np. Jacek Kuroń), ale jego otoczenie za kołnierz nie wylewało, tym bardziej że wielomiesięczne szkolenia w Moskwie wymagały odpowiedniego poświęcenia.

Jaruzelski, wychodząc z założenia, że pijane wojsko jest niepełnowartościowe (a nawet wręcz bezwartościowe), wymyślił odpowiednią akcję, która miała zaradzić tej potężnej przecież pladze. Oddelegował zatem odpowiednich towarzyszy – wyższych oficerów ludowego WP, m.in. z pionu politycznego. Czy oni akurat nie pili (czy mało pili), trudno już dziś to stwierdzić. Faktem jest, że mieli nazwiska bardzo odpowiednie do zajęcia miejsc „na froncie antyalkoholowym". Tak powstał specyficzny twór, być może niemający odpowiednika w bratnich armiach, w tym oczywiście w Armii Sowieckiej. Zapewne sam herszt, jako oficjalnie niepijący, dobierał skład personelu, który miał otrzeźwić komunistyczne wojsko.

Na czele Komisji Centralnej ds. Działalności Przeciwalkoholowej w Wojsku Jaruzelski postawił odpowiedniego politruka. Był nim gen. Marian Żyto! A żyto to był synonim w PRL wódki, mającej na etykietce pokaźny kłos żyta. Nie był to przypadek typu: „chcieliśmy dobrze, ale wyszło jak zawsze", o czym świadczą kolejni funkcjonariusze. W skład Komitetu weszli bowiem generałowie: Włodzimierz Oliwa, Józef Baryła i Teodor Kufel. Dopełnieniem tego absurdu był wyznaczony sekretarz owego ciała. Został nim płk Marian Spirytus, wywodzący się z sowieckiej instytucji, którą była zbrodnicza Informacja Wojskowa.

Dziś możemy się już śmiać z takich absurdów, ale przecież trwały one dziesięciolecia i kształtowały „etos" komunistycznego wojska. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Na miłość nie jest za późno...

Karol Strasburger przez długie lata uchodził za bardziej przystojnego niż uzdolnionego. Wprawdzie był członkiem zespołu Teatru Dramatycznego, który pod wodzą Gustawa Holoubka uchodził za najlepszy w Polsce, na scenie grywał jednak epizody i mówiono o nim ironicznie „halabardnik", gdyż raczej statystował, niż grał.

Był jednak człowiekiem bardzo wysportowanym (w młodości uprawiał gimnastykę artystyczną), dzięki czemu odkryli go filmowcy. Popularność zdobył w filmie „Agent nr 1" (premiera 25 lutego 1972 r.) i serialu „Karino", ale prawdziwą sławę przyniosła mu dopiero rola Władysława Niwińskiego w „Polskich drogach".

Dzięki temu przestano opowiadać za jego plecami, że przed kamerą najlepiej wychodzi mu brodzenie w bajorze po nenufary, co faktycznie robił w „Nocach i dniach".

Reżyser „Polskich dróg" niemal od samego początku widział go w głównej roli i uczynił doskonały wybór. Pan Karol podbił serca Polaków (a Polek w szczególności) i do dzisiaj jest to najbardziej rozpoznawalna jego rola.

Wprawdzie aktor później już nigdy nie zagrał tak wielkiej roli jak w „Polskich drogach", ale na brak propozycji filmowych nie narzekał. Poznał też Irenę Morcińczyk, z którą miał spędzić ponad 30 lat życia. Była wówczas „kobietą po przejściach", żoną kierowcy rajdowego Andrzeja Jaroszewicza („słynnego czerwonego księcia"), miała też za sobą małżeństwo z rzeźbiarzem Andrzejem Kendą. Pochodziła z bardzo zamożnego domu, jej ojciec był właścicielem kilku pralni na Śląsku, dlatego w środowisku nazywano ją „piękną praczką".

Jaroszewicz nie był wiernym parterem, wdał się w romans z Marylą Rodowicz i małżeństwo rozpadło się, a rozwód orzeczono ostatecznie w 1983 r. Irena znała już wówczas Strasburgera i niebawem wyszła za niego za mąż, co miało okazać się znakomitym rozwiązaniem dla obojga.

Niestety, nic nie trwa wiecznie, małżonka aktora ciężko zachorowała i zmarła w listopadzie 2013 r. Pan Karol czuwał przy jej łóżku w szpitalu do końca i po śmierci partnerki się załamał. Nie mieli dzieci, a Irena była dla niego wszystkim.

Życie nie znosi jednak próżni i po kilku latach związał się z młodszą od siebie o 40 lat Małgorzatą Weremczuk. Znali się od dawna, Weremczuk była jego menedżerem, a z czasem zastąpiła zmarłą żonę. Para kompletnie nie przejmuje się plotkami na temat różnicy wieku i niedawno doczekała się dziecka. Najwyraźniej na wielką miłość nigdy nie jest zbyt późno... ©℗

eprasa.pl c7853be07a

Nowy język, nowy świat

Teresa Stylińska

Rekrutka, psycholożka, onkolożka i oczywiście ministra z gościnią – takimi smaczkami językowymi „19.30", główny program informacyjny nowej TVP, karmił widzów – a także, ma się rozumieć, widzki – w jednym tylko tygodniu lutego

FOT. ADOBE STOCK

Nie brakowało oczywiście starych, dobrych, utrwalonych w języku form żeńskich, nimi jednak nie ma potrzeby się zajmować. Nowych żeńskich terminów z pewnością byłoby więcej, gdyby na ekranie pojawiało się więcej kobiet. Niestety, jednak nadal przewagę mają tu mężczyźni, co skądinąd świadczy o karygodnym braku czujności ideowej szefów nowej telewizji.

Problem nie sprowadza się tylko do tego, że ministry i gościnie stały się nowotelewizyjnym standardem. Rzecz także w tempie. Zastosowano mocne uderzenie, zamiast czekać, by zmiany, lansowane przez siły postępu od dłuższego czasu, w końcu zyskały akceptację i się utrwaliły, jak to bywa od wieków z nowościami słownymi. Nowe żeńskie formy wdarły się jednak do programu na rozkaz, wraz z nastaniem nowej telewizyjnej władzy.

O czym to świadczy? Po pierwsze: o braku cierpliwości. Każdy powinien już, natychmiast widzieć, że wszędzie, również na polu językowym, nastało nowe. Po drugie: o braku wiary w mądrość ludu. Lud sam przecież mógłby z czasem zaakceptować gościnie, biskupki, burmistrzynie i co tam jeszcze. Niestety, decydenci nie mają chyba pewności co do tego, że tak się kiedyś stanie. Po trzecie: o tym, jak bardzo język może pozostawać pod wpływem ideologii, w tym wypadku podkreślania, że kobiety stanowią byt odrębny i wcale nie gorszy od mężczyzn. Dysponują przecież własną, odrębną terminologią! Gdyby nie ministrowie i ministry, goście i gościnie, chirurdzy i chirurżki, nikt by się przecież tego nie domyślił.

Sprawa wykracza więc, jak widać, poza obszar czysto lingwistyczny. Nowy język ma kształtować nowe postrzeganie rzeczywistości – a tym samym ma tworzyć nowy świat.

W CIENIU IDEOLOGII

Ideologiczny wymiar języka nie jest niczym nowym, a ideowe sugestie bywają skuteczne. Czy nie dlatego praktycznie wyszła z użycia końcówka „-owa", niegdyś powszechnie stosowana przez mężatki? Dziś pań, które przedstawiają się jako Nowakowa, Kowalczykowa czy Mickiewiczowa, jest jak na lekarstwo. Argument, że ta dzierżawcza końcówka podkreśla, że żona należy do męża, z powodzeniem przebił się do świadomości społecznej, nawet jeśli wiele kobiet po prostu bezrefleksyjnie uległo nowemu zwyczajowi.

A „gej"? To sztuczne słowo, angielskie „gay" (wesoły) miało zdjąć odium z homoseksualistów. Fachowy, neutralny termin „homoseksualizm" zainteresowanym wydawał się nieprzyjemny, by nie wspomnieć o medycznym określeniu „pederasta" i jego popularnym skrócie. Słowo „wesoły" do opisywanych realiów ma się wprawdzie nijak, ale za to miło się kojarzy.

Najświeższą językową nowinką obyczajową są próby wprowadzenia nowych zaimków i form zapisu na oznaczenie tych, którzy – jak twierdzą – nie mieszczą się w naturalnym układzie „mężczyzna – kobieta". Chociaż „gej" się przyjął, to tego rodzaju nowym lingwistycznym zabiegom trudno wróżyć powodzenie. Są bowiem, delikatnie mówiąc, cudaczną ekwilibrystyką słowną i w dodatku nikogo, poza osobami zaangażowanymi osobiście, nie obchodzą.

A polityka? Weźmy termin „populizm", neutralne z pozoru określenie działań, które podejmowane są z myślą o przypodobaniu się wyborcom – co w mniejszym lub większym stopniu praktykują wszystkie ugrupowania polityczne jak

eprasa.pl c7853be07a

świat długi i szeroki. Czy plan obniżenia podatków lub podniesienia zasiłków to przejaw populizmu? Nie, jeśli proponują je partie centrum czy lewicy, one bowiem, to oczywiste, działają w poczuciu odpowiedzialności za państwo i społeczeństwo. Tak, jeśli w swym programie umieszcza je prawica.

Zarzut „populizmu" stał się niczym więcej niż użytecznym narzędziem, służącym piętnowaniu partii prawicowych i konserwatywnych. Gdy sukcesy odnoszą włoska Liga i Bracia Włosi, holenderska Partia Wolności, węgierski Fidesz, hiszpański Vox czy Szwedzcy Demokraci, lamenty przerażonych mediów (w tym BBC, która dawno już zerwała z wymogiem bezstronności) szybko wszystkim uświadomią, że „do głosu dochodzą populiści".

FEMINIZOWANIE NA SIŁĘ

Czy używanie żeńskich form na określenie zawodów, stanowisk i funkcji jest niewłaściwe? Oczywiście, że nie, choć dobrze byłoby mieć świadomość, że nie każde słowo, uzupełnione o konieczne „-ka", „-yni" czy „-yca", brzmi dobrze. Biskupka i gościni brzmią zgoła komicznie, sekretarzyni i kierowczyni niezgrabnie. Proponenci zmian wierzą pewnie, że ludzie przywykną, że niejeden uzna, iż trzeba iść z postępem, a opornym znudzą się z czasem drwiny i protesty.

Ciekawe jednak, że na polu nazw kobiecych bywało odwrotnie niż dziś. Za czasów PRL niemało kobiet mówiło o sobie w formie męskiej nawet wtedy, gdy żeńska była oczywista – jestem lekarzem, dziennikarzem, nauczycielem – podkreślając w ten sposób wyłącznie wykonywany zawód. Była to maniera irytująca prawie tak samo jak współczesne, feminizowane na siłę naukowczynie i premierki.

Problem jest na tyle widoczny, że dwukrotnie ustosunkowała się do niego Rada Języka Polskiego, ciało istniejące przy Prezydium Polskiej Akademii Nauk. Rada nie widzi zagrożenia dla języka polskiego, który, w jej przekonaniu, bardzo dobrze daje sobie radę z homonimami czy nagromadzeniem spółgłosek.

Właściwie trudno się z tym nie zgodzić, bo język polski istotnie funkcjonuje sprawnie, niestraszna mu zatem chirurżka, pilotka czy marynarka, która nie jest ubraniem. A jednak kiedy przegląda się opinie formułowane przez Radę czy jej członków, trudno oprzeć się wrażeniu, że bardziej niż o zastany porządek językowy dba ona o to, by nie pozostać w tyle za duchem czasów. Sztandarowym tego przykładem jest głośna przed kilku laty sprawa Murzyna, czyli pytanie, czy można tak mówić czy też raczej tego słowa unikać. Jeden z członków Rady, który formułował opinię w tej sprawie, zalecał, by z Murzynem się rozstać, bo słowo to ma dziś wydźwięk negatywny, a przy tym jest przestarzałe. Co rodzi pytanie, czy Rada – która w tym akurat wypadku zdystansowała się od opinii – ma stać na straży języka polskiego czy też subiektywnych odczuć tej czy innej grupy?

Sęk w tym, że rola strażnika języka ojczystego nie wydaje się wcale pierwszoplanowa. Ze strony internetowej Rady – archaicznej, mało przejrzystej i po prostu brzydkiej – tylko w zakładce „Regulamin" można doszukać się informacji, w jakim celu Radę powołano. Możemy więc przeczytać m.in. o dokonywaniu analizy stanu języka, wyrażaniu opinii, współpracy z administracją itp. Na stronie nie brakuje informacji o konferencjach i spotkaniach – aż za dużo, prawdę mówiąc – nie ma za to ani słowa o tym, czym jest dla Polaków język ojczysty, jak wiele dla nas znaczy, jak się rozwijał, jak zmieniał, co współcześnie może mu zagrażać i jak się przed zagrożeniem bronić. Zresztą zamiast cytować ustawę, czy nie lepiej byłoby opisać zadania Rady w sposób, który samą formą zaprezentuje polski od najlepszej strony? Wśród członków Rady są przecież ludzie, którzy piórem władają znakomicie.

JAK ODDZIELIĆ ZIARNO

Co za kontrast z dwiema najbardziej znanymi instytucjami językowymi świata! Obie zostały stworzone po to właśnie, by dbać o czystość i dobrą formę języka, i nie stało się to wczoraj ani w nieodległej przeszłości, lecz aż cztery wieki temu. Palma pierwszeństwa należy do Włoch, ściślej: XVI-wiecznej Florencji, gdzie w 1582 r. powstała Accademia della Crusca, najstarsza na świecie instytucja zajmująca się językiem ojczystym. W 1612 r. Crusconi, jak nazywali siebie jej członkowie, opracowali pierwszy słownik języka włoskiego, który stał się wzorem dla analogicznych wydawnictw w innych językach.

Nazwa akademii brzmi intrygująco, bo słowo „crusca" w języku włoskim oznacza „otręby". A wyjaśnienie jest proste. Tak jak w procesie mielenia zboża oddziela się ziarno od otrąb, tak też w języku to, co czyste i ważne, i co stanowi jego esencję, musi być oddzielone od zanieczyszczeń. Taki plastyczny obraz przemawia chyba do każdego.

Inspirację do powstania akademii stanowiły słowniki. W ślady Florentyńczyków pierwszy poszedł kard. Richelieu. W 1635 r. powołał Akademię Francuską, powierzając jej pracę nad słownikiem francuskim. Trzecia, w 1713 r., powstała Królewska Akademia Hiszpańska.

Na stronie internetowej Akademii Francuskiej w tekście opisującym ewolucję i znaczenie języka francuskiego – dialekty średniowiecza, rolę języka światowego, problemy ostatnich lat – można przeczytać, że zasady, na których Akademię oparł kard. Richelieu, przetrwały do dzisiaj bez zmian. Na przykład ta, która mówi, że jedność państwa – dawniej królestwa – znajduje wyraz także w języku i że władzom politycznym nie wolno ingerować w sprawy językowe, bo taka ingerencja stanowiłaby nadużycie.

Choć początki były podobne, to dzisiaj akcenty rozkładają się różnie. Akademia Francuska na pierwszym miejscu stawia kwestie poprawności i regulacji językowych, a na jej stronie można znaleźć długą listę słów, zwrotów i wyrażeń, które mogą rodzić pytania, wymagają uściślenia lub podlegają zmianom – rzecz bez wątpienia bardzo przydatna. Włosi z kolei dużo uwagi poświęcają badaniom językowym, których przedmiotami są m.in. historia i specyfika włoskiego. We włoskim bowiem nie mniej niż język literacki liczą się lokalne dialekty.

Jest też element wspólny. To ostrożność w podejściu do sugerowanych zmian, takich jak wspomniana feminizacja nazw zawodów. Akademie językowe przystały ostatecznie na upowszechnienie form żeńskich, ustąpiły jednak po wielu latach oporu i zastrzeżeń. O akceptacji dla języka genderowego – nowych zaimków, nowej pisowni, której życzą sobie tzw. osoby niebinarne – oczywiście nie może być mowy. Skarb, którym jest język, musi pozostać czysty.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c7853be07a

Nowa pornokracja?

Paweł Chmielewski

Pontyfikat papieża Franciszka pełen jest poważnych skandali. Podobnie w historii papiestwa już bywało

Pornokracja. Tym mianem niechętni Kościołowi pisarze protestanccy określili kilkudziesięcioletni okres w historii papiestwa X w., kiedy wokół Tronu św. Piotra dochodziło do nieustannych i poważnych skandali obyczajowych, a na podejmowane przez papieży decyzje niemały wpływ miały kobiety o wyjątkowo luźnej moralności. Nawet jeżeli w kolejnych wiekach również zdarzały się w Rzymie podobne ekscesy, wydawało się, że tak źle już nigdy nie będzie. Cóż, może i wydarzenia z lat 904–964 nie powtarzają się dosłownie, ale obecny pontyfikat jest niewątpliwie pełen poważnych skandali.

Najbardziej rażącym przykładem jest postać nowego prefekta Dykasterii Nauki Wiary, kard. Victora Manuela Fernándeza. Kiedy papież ogłosił jego nominację, media ujawniły, że w 1995 r. opublikował dwuznaczną książkę o całowaniu. Chodzi o zbiór katechez zatytułowany „Wylecz mnie swoimi ustami. Sztuka pocałunku". Książka, oprócz wielu wyrazistych ilustracji, szokowała też specyficznym ujęciem tematu, niepozwalającym zbyt dokładnie rozstrzygnąć, czy chodzi o pocałunki między mężem i żoną albo choćby narzeczonymi czy między kochankami po prostu, dowolnej płci. Dociśnięty przez skonsternowanych i oburzonych dziennikarzy Fernández tłumaczył, że napisał to „dla młodzieży" i chodzi o incydentalną publikację, której nie godzi się umieszczać pomiędzy jego licznymi i poważnymi publikacjami naukowymi.

BŁĘDY MŁODOŚCI?

Ledwie ucichła tamta dyskusja, media ujawniły kolejną publikację… Okazało się, że rzekomy „incydent" jednak miał kontynuację; i to nie byle jaką. W 1998 r. Fernández – ponownie w formie „katechezy dla młodzieży" – opublikował książkę pt. „Pasja mistyczna: duchowość i zmysłowość". W środku: kilkadziesiąt stron traktatu o orgazmie jako mistycznym przeżyciu, który pozwala ogarnąć i odczuć Boga; naturalistyczne opisy dźwięków wydawanych przez partnerów przeżywających intymne doznania; opis „wizji" kilkunastoletniej dziewczyny (sic!), która „mistycznie" pieściła nogi samego Pana Jezusa; sugerowanie, że wewnętrzne doznania Boga przez niektórych katolickich świętych mogły być ściśle związane z doznaniem orgazmu. Całość została zwieńczona wyjątkowo plastycznym cytatem ze średniowiecznego islamskiego autora (!), który wychwala moc męskich narządów płciowych „toczących wojnę" z narządami żeńskimi.

Jakby tego było mało, w książce znajduje się też szczególny passus na temat… homoseksualizmu. Fernández przekonywał, że homoseksualista, chociaż popełniając czynność seksualną z osobą tej samej płci obiektywnie grzeszy, to wewnątrz może być jednak „bez winy" i pozostać w stanie łaski.

Jak tłumaczył się kardynał? W 1998 r. „był młody", „dzisiaj by już tego nie napisał", a krótko po publikacji uznał, że jest ona „nietrafiona". Cóż, pisząc książkę, miał 36 lat… Jeżeli nawet ktoś uwierzył w te wyjaśnienia, to szybko musiał zmierzyć się z własną naiwnością. Wkrótce włoskie media opisały kilka artykułów Fernándeza z lat późniejszych: w 2002 r. pisał o zmieniającym się wraz z wiekiem guście erotycznym wyrażającym się upodobaniem w kształcie dłoni, o „zmysłowości opalonych ramion" oraz o pociągającej nagości szyi ozdobionej naszyjnikiem; w 2004 r. wrócił do tematu orgazmu i mistycznych przeżyć; w innym tekście z tego samego roku przekonywał, że potężne i radosne doświadczenie seksualne jest przeżywaniem „uczestnictwa w pełni życia Zmartwychwstania", oraz zalecał „duchowe" ćwiczenie świadomości ciała polegające na „wczuwaniu się" w najlżejsze poczucia każdego organu, w tym narządów płciowych. Z tych tekstów Fernández nawet się już nie tłumaczył. Bo i po co? Mając w roku 2004 44 lata, do „młodych" niewątpliwie już nie należał; a i o „incydencie" trudno już mówić.

Prefekt Dykasterii Nauki Wiary tłumaczył się za to, kiedy media podały, że w roku 2019 – miał wtedy 57 lat – jako arcybiskup La Platy w Argentynie otoczył opieką księdza oskarżonego o wykorzystywanie seksualne chłopaków. Rok 2019 to czas, kiedy na całym świecie trwa niezwykle ożywiona debata o tuszowaniu przestępstw seksualnych. Zaledwie rok wcześniej wszyscy biskupi w Chile podali się do dymisji ze względu na systemowe ukrywanie takich czynów. Czy Fernández nie wiedział, co należy robić z księżmi wykorzystującymi nieletnich, i dlatego oskarżonego kapłana pozostawił w aktywnym duszpasterstwie, specjalnie do niego jeździł, by odprawiać z nim Mszę Świętą i bronił aż do samego smutnego końca? Smutnego, bo ksiądz ostatecznie popełnił samobójstwo. „Nie zachowałem się najlepiej" – mówi teraz Fernández. No, tak. Nie najlepiej.

WIĘCEJ PRZYKŁADÓW

Franciszkowi to wszystko jednak nie przeszkadza. I jakkolwiek to zabrzmi: wcale mnie to nie dziwi, bo Fernández to jak na standardy tego pontyfikatu bynajmniej nic wyjątkowego. Kilka przykładów.

eprasa.pl c7853be07a

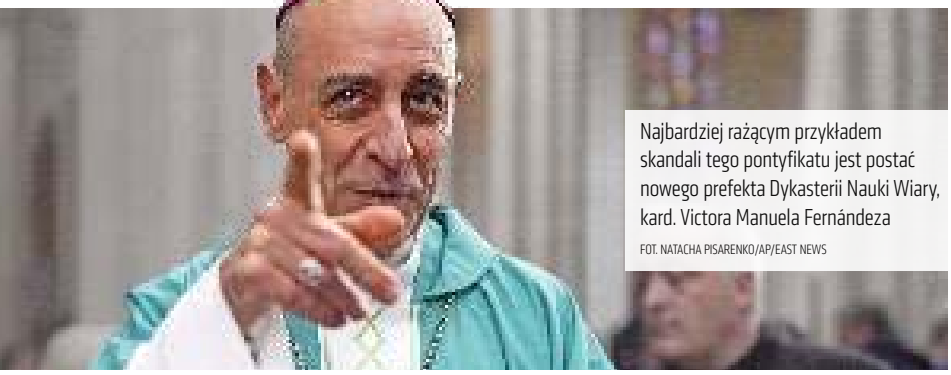

Najbardziej rażącym przykładem skandali tego pontyfikatu jest postać nowego prefekta Dykasterii Nauki Wiary, kard. Victora Manuela Fernándeza

FOT. NATACHA PISARENKO/AP/EAST NEWS

W grudniu 2023 r. papież podjął decyzję, która ułatwi pociągnięcie do odpowiedzialności słoweńskiego jezuity, słynnego artysty Marka Rupnika, którego mozaiki szpecą dziś kościoły na całym świecie, także w Polsce. Rupnik jest oskarżany o wykorzystywanie zakonnic, którym miał wmawiać, że seks z nim to wyraz mistycznych doświadczeń (czyżby czytał książki Fernándeza?); udzielił też rozgrzeszenia zakonnicy, z którą spółkował. Postawa Franciszka, umożliwiającego ukaranie, mogłaby pocieszać, gdyby nie… fakty. Informacje dotyczące działań Rupnika zaczęły wyciekać w 2020 r. Pomimo tego Franciszek przyjął go w tamtym roku na audiencji prywatnej oraz poprosił o wygłoszenie rekolekcji wielkopostnych dla Kurii Rzymskiej. Rok później pseudoartystyczne dzieła Rupnika uczynił logo Światowego Spotkania Rodziny. Choć Rupnik został w międzyczasie wyrzucony z Towarzystwa Jezusowego, to Franciszek latem 2023 r. nagrał film zachwalający jego sztukę. Dzieła Rupnika promowały Synod o synodalności. Jeszcze we wrześniu papież spotkał się z dyrektorką centrum artystyczno-teologicznego, które założył Rupnik; kobieta broniła eksjezuity do upadłego. Dopiero po komentowanym w mediach na całym świecie liście ofiar „artysty" papież podjął decyzję, o której pisałem. Czy do ukarania w ogóle dojdzie – zobaczymy; przy takich protektorach nie jest to bynajmniej pewne.

Mało? Idziemy dalej. W 2015 r. na Synodzie o rodzinie – proszę dobrze odnotować tematykę! – pojawił się kard. Godfried Danneels, prymas Belgii. Otrzymał osobiste zaproszenie Franciszka. Danneels jest członkiem grupy z Sankt Gallen i stąd jednym z głównych elektorów Franciszka. Problem w tym, że kilka lat wcześniej belgijskie media ujawniły rozmowę, którą kardynał odbył z ofiarą molestowania seksualnego. Chodzi o mężczyznę, który będąc nastolatkiem, został wykorzystany przez swojego wujka – bp. Rogera Vangheluwe. Danneels polecił ofierze milczeć i nie informować opinii publicznej o sprawie. Vangheluwe ustąpił i został skierowany do klasztoru. Później okazało się, że wykorzystywał jeszcze jednego bratanka.

Biskupi kraju poprosili Watykan, żeby ostrzej ukarał zwyrodnialca, usuwając go ze stanu kapłańskiego. Zrobili to pierwszy raz w 2017 r., ale Watykan nie odpowiedział. Ponowili prośbę w roku 2019 – to samo. Poprosili ponownie w roku 2023 – znowu cisza. Belgijscy biskupi otwarcie krytykują Franciszka, wskazując, że nie chce nic więcej zrobić, a sprawa pedofilskich czynów biskupa poważnie dyskredytuje Kościół w Belgii. Dlaczego Franciszek milczy? Czy chodzi o pamięć o Danneelsie? Być może.

Włoskie media ujawniły, że ks. Ricca ma barwną przeszłość, nieco przypominającą nieodległą orgię księżowską z Sosnowca

W 2013 r. papież mianował prałatem Instytutu Dzieł Religijnych ks. Battistę Riccę. Instytut jest inaczej zwany Bankiem Watykańskim i chyba każdy słyszał o potężnych aferach finansowych ciągnących się już od lat 70. (opisywałem je w „Do Rzeczy" nr 33/2023). Problem w tym, że funkcja prałata Instytutu to formalnie ważna praca kontrolna. Tymczasem włoskie media ujawniły, że Ricca ma barwną przeszłość, nieco przypominającą nieodległą orgię księżowską z Sosnowca: pracując w nuncjaturze w Urugwaju, odwiedzał kluby gejowskie, w jednym z nich został ciężko pobity, musieli ratować go inni księża; obmacywał się też z młodym mężczyzną w windzie, o czym wiemy, bo scenę nagrano... W Urugwaju Ricca przebywał zresztą ze swoim „przyjacielem", wojskowym ze Szwajcarii.

KOŚCIÓŁ PRZETRWA

Kapłan został wyrzucony z nuncjatury, ale krzywda mu się nie stała. Najpierw trafił do Watykanu (decyzją okrytego złą sławą kard. Angela Sodano), a później uzyskał względy Franciszka. Papież miał rzekomo nie znać jego przeszłości i dlatego dał mu dobre stanowisko. Problem w tym, że gdy przeszłość poznał… nie wyciągnął żadnych konsekwencji; Ricca pozostał tam, gdzie był. Pytany o sprawę księdza przez dziennikarzy mówił o „nawróceniu" oraz – uwaga – o „grzechach młodości". Ricca do Urugwaju przyjechał, mając 44 lata. Młodość…

Nie chcę zanudzać czytelnika opisywaniem kolejnych podobnych przypadków, dlatego, obiecuję, to już będzie ostatni. W 2013 r. Franciszek nominuje swojego znajomego Gustava Zanchettę biskupem Orán w Argentynie; Zanchetta wykorzystuje tam seminarzystów (daje im prezenty za seks, woli tych o jaśniejszej karnacji). W 2017 r. sprawa wychodzi na jaw, publikowane są intymne zdjęcia. Franciszek zaprasza Zanchettę do Watykanu i daje mu dobrą posadę (co ciekawe, znowu przy finansach; Zanchetta pracuje w Administracji Dóbr Stolicy Apostolskiej). W 2022 r. zostaje skazany na więzienie, ale „ktoś" wstawia się za nim i ostatecznie trafia do wygodnego domu księży emerytów.

O wsparciu dla wielokrotnego seksualnego „drapieżcy", byłego kardynała Theodore'a McCarricka, słyszeli wszyscy; mniej osób o osobistej decyzji Franciszka, by przeciąć śledztwo watykańskie w sprawie kard. Cormaca Murphy'ego-O'Connora, oskarżanego o tuszowanie przestępstw podległego sobie księdza (kulisy sprawy opisywał watykanista Marco Tosatti)… Dużo? A przecież nie wspomniałem ani słowem choćby o współpracy Franciszka z byłym Theodore'em McCarrickiem ani o ochronie, którą roztoczył nad kard. Cormakiem Murphym-O'Connorem, innym z jego elektorów…

Szkoda, że przyszło nam na to wszystko patrzeć, ale cóż… Kościół przetrwał średniowieczną „pornokrację", przetrwa i teraźniejsze wydarzenia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl c7853be07a

Polski chłop jako menel i morderca Żydów

Piotr Gontarczyk

Barbara Engelking to laureatka prestiżowych nagród, ostatnio otrzymała doktorat honoris causa Uniwersytetu w Tel Awiwie. Światowa opinia publiczna nie wie, że jej publikacje to hucpa. Dowodem na to jest manipulowanie treścią cytatów i przedstawianie fałszywych oskarżeń i plotek o rzekomych zbrodniach Polaków jako dowodów

Jednym z głównych negatywnych bohaterów publikacji Barbary Engelking są polscy chłopi, z którymi z oczywistych względów spotykali się żydowscy uciekinierzy w czasie Holokaustu. O nich w książce „Jest taki piękny słoneczny dzień…" autorka pisze tak: „W oczach Żydów chłopi byli, jak już pisałam, przede wszystkim chciwi, a ponadto prymitywni i gwałtowni. Nie bez znaczenia były tu także różnice klasowe, które miały wpływ na postrzeganie i opisywanie chłopów. Jednego z nich sportretowała Ada Schwerdt: »Był to między innymi też człowiek zupełnie prymitywny. Był prymitywny jak zwierzę [...]. Chlubek bił i maltretował swoją żonę oraz dwie córki. To było istne zwierzę. Od rana dom cały trząsł się od krzyków. Łamano deski, meble, kłócono się i bito. Poza tym nikt w tym domu, przez miesiące całe, nie mył się. Wszyscy i wszystko było tu brudne«" (s. 136). Ze słów o prymitywizmie Chlubka autorka uczyniła wręcz motto artykułu i główną oś swoich rozważań.

USUWANIE KONTEKSTU

Kłopot w tym, że z wypowiedzi Ady Schwerdt Engelking usunęła zdanie, które zmienia sens jej wypowiedzi: „Rodzina cała należała do prawdziwych wyrzutków społeczeństwa". Schwerdt nie portretowała więc typowego rolnika, tylko przedstawiciela patologii. Jednak omawiana autorka usunęła z wypowiedzi świadczące o tym zdanie za pomocą nożyczek i przedstawiła typowego polskiego chłopa jako brudne, prymitywne zwierzę.

Z kolei w artykule opublikowanym w książce „Zarys krajobrazu. Wieś polska wobec Żydów 1942–1945" Engelking sięgnęła po inne żydowskie świadectwo, budując generalny opis postaw chłopów wobec Zagłady: „Jeden z ukrywających się na wsi w pobliżu Łapanowa Żydów, pisząc o postawach polskich chłopów wobec Zagłady, zanotował: »w swojej ciemnocie i nieuświadomieniu, zatruci jadem nienawiści hitlerowskiej, przyznawali rację gnębicielom«" (s. 267). Zellner zanotował coś innego. Przywróćmy więc wcześniejsze jego słowa, które tu z jego relacji wycięto: „Na ogół w ich rozmowie przebijała się litość dla biednych prześladowanych Żydów. Byli wśród nich

Barbara Engelking jako fakty przedstawia pomówienia, których nie potwierdzono w procesach FOT. PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS

eprasa.pl c7853be07a

tacy, którzy głęboko nawet przeżywali tragedię Żydów, ale byli niestety i tacy, którzy w swojej ciemnocie…. [itd.]".

Żydowski świadek opowiedział i o życzliwych, ale generalnie zróżnicowanych postawach chłopów. Autorka ucięła połowę jego słów i zacytowała tylko tę negatywną część, przenosząc jej treść na całą wiejską społeczność.

W podobny sposób ze świadectw żydowskich autorka na dużą skalę wycina te fragmenty, które świadczą o życzliwości i pomocy udzielonej Żydom przez chłopów, i nazwiska tych, którzy ich ratowali. Na przykład we wspomnianej już książce autorka zamieściła taki cytat z relacji Margot Dranger: „Przez przypadek wyszło na jaw, że jakiś chłop, którego nazwiska nie pamiętam, zamordował dwie ukryte u niego kobiety żydowskie. Morderstwo owego chłopa miało charakter czysto rabunkowy. Zabił on obydwie kobiety, ażeby zdobyć pierścionki, które kobiety te posiadały. Chilek Wodzisławski razem ze Schreiberem postanowili śmierć tych kobiet pomścić. Udali się więc do owego chłopa, by się z nim rozliczyć. Chłop zrozumiał cel wizyty, kiedy ich zauważył zbliżających się w jego kierunku. Chwycił znienacka siekierę, dobiegł do Chilka i kilkoma silnymi uderzeniami położył go trupem na miejscu. Schreiber uciekł i zginął później […], pochowaliśmy go w lesie" (s. 223).

Jakie słowa w miejscu, gdzie znajduje się symbol skrótu, zostały usunięte? Oryginalny fragment cytatu brzmi następująco: „Chwycił znienacka siekierę, dobiegł do Chilka i kilkoma silnymi uderzeniami położył go trupem na miejscu. Schreiber uciekł i zginął później, nie pamiętam jednak więcej, w jakich okolicznościach. Chilek Wodzisławski, tak lubiany także przez chłopów polskich, zginął z ich ręki. Pochowaliśmy go w lesie niedaleko domku Hanki Bereta".

Po co nowej wersji historii słowa o sympatii życzliwości chłopów dla Chilka Wodzisławskiego? Na co tu komu ratująca ich Hanka Bereta? Nożyczki, ciach i sprawa załatwiona.

POLSCY CHŁOPI MORDUJĄ ŻYDÓW

Pisząc o denuncjacjach i zabójstwach Żydów, Barbara Engelking na dużą skalę korzysta z powojennych akt sądowych i śledczych, tzw. sierpniówek. W nich zawarta jest mieszanina informacji prawdziwych i fałszywych zeznań, często też informacji pochodzących z anonimowych donosów – sporządzane na ich podstawie akty oskarżenia upadały w sądzie. Jak powstały zawarte w tych aktach liczne fałszywe informacje?

Oskarżenie kogoś o wydanie lub zamordowanie Żydów było po wojnie jednym ze sposobów załatwiania zadawnionych porachunków, sąsiedzkich swarów, a nawet rodzinnych konfliktów osobistych i majątkowych. Po co było skarżyć kogoś o kradzież, zaoranie skiby ziemi albo szukać innej drogi zemsty za to, że ktoś poinformował władze o kradzieży, na skutek czego kuzyn trafił do więzienia? Dobrymi narzędziami rozprawy były donos albo zeznanie własne lub (podstawionego) świadka. Ze względu na wysokie kary grożące za wojenne przestępstwa wobec Żydów (do kary śmierci włącznie) regułą było aresztowanie podejrzanego, a potem wyjaśnianie sprawy w śledztwie. Obroni się podejrzany przed zarzutami albo nie, to jego problem. Najmniej parę miesięcy „posiedzi".

Akta takich spraw zwykle zawierały prawdziwe informacje i doprowadzały do ukarania sprawców. Jednak mnóstwo jest też tam anonimowych donosów, złośliwych kłamliwych oskarżeń i danych pochodzących z krążących opowieści lub zwykłych plotek. Takie informacje Barbara Engelking na dużą skalę wyciąga ze wspomnianych spraw i przedstawia wszystko, co znajduje, jako fakty.

W „Jest taki piękny słoneczny dzień..." czytamy np.: „Franciszka i Jakub Żakowie we wsi Hucisko (pow. Przeworsk) ukrywali w swojej zagrodzie Meilecha Roisa tak długo, aż skończyły mu się pieniądze i odzież. Potem postanowili go zabić. Franciszka Żak »utrąciła« mu rękę siekierą, jej mąż dusił go i kopał. Potem zmasakrowanego przywiązali do wozu i odwieźli na posterunek gestapo do Kańczugi" (s. 228).

Z akt wynika, że w marcu 1951 r. do prokuratury w Rzeszowie wpłynął anonimowy donos, którego fragmenty pokrywają się z treścią książki Engelking. W czasie śledztwa ustalono jednak, że ta opowieść jest zmyślona: Mejloch Rojs rzeczywiście ukrywał się we wsi, ale nie u Żaka, a feralnego dnia w pobliżu jego gospodarstwa Mejloch natknął się na miejscowego kolaboranta Stanisława Piątka, który w pościgu za Żydem wpadł do zabudowań Żaków. Ci nic ze sprawą wspólnego nie mieli, Mejlocha nie wykorzystywali, potem go nie bili, Żakowa nie „trąciła" go siekierą i oboje nie odwozili uciekiniera na posterunek. Prokuratura umorzyła sprawę, uznając, że to fałszywy donos ludzi, z którymi Żak miał nawet sprawy w sądzie.

Dlaczego autorka posłużyła się w tej sprawie anonimowym donosem, ignorując wyniki śledztwa? Po analizie wielu podobnych przypadków widać, że jak zwykle liczyło się tylko to, co można „przykleić" Polakom, i każde „trącenie siekierą", zabicie kołkiem czy pchnięcie widłami Żyda przez Polaka (choćby nigdy nie miało miejsca) były na wagę złota.

W tej samej książce najwięcej drastycznych opisów topienia, dźgania nożami i mordowania innymi narzędziami Żydów autorka zaczerpnęła z powojennej sprawy sądowej braci Hryć z powiatu Bielsk Podlaski (s. 211–212, 230–233). Przeczytałem te akta. Wynika z nich, że oskarżenia wobec braci były mistyfikacją, a obszernie opisywanych przez Barbarę Engelking scen dręczenia i mordowania Żydów nie było. Opisałem sprawę najpierw w „Sieci", a potem w prestiżowym piśmie naukowym „Dzieje Najnowsze" (4/2018). Minęło kilka lat, a odpowiedzi autorki nie ma. O innych, podobnych sprawach z publikacji Barbary Engelking można by napisać oddzielną książkę.

JAK POLACY RADOŚNIE ŁAPALI ŻYDÓW?

Warto zaznaczyć, że kreatywność wspomnianej autorki w budowie „nowej historii" polskich chłopów daleko wykracza poza to, co już opisałem. W książce „Jest taki piękny słoneczny dzień…" czytamy np.: „Pochodząca z Bełżca sześcioosobowa rodzina Smule [Szmule] ukrywała się w lesie w kolonii Borkowizna (gm. Niedrzwica, pow. Lublin). Złapał ich i zaprowadził na posterunek żandarmerii Władysław Boguta, który »po zastrzeleniu jeszcze żywych dobijał i odzierał z odzieży. Żydzi ci wcześniej dali mu dużo towarów i złota, żeby się wykupić«" (s. 176). W toku śledztwa okazało się, że przeciwko

eprasa.pl c7853be07a

Bogucie (typowy przypadek wiejskich porachunków z okupacyjnym sołtysem) nie było żadnych dowodów i został on uniewinniony. Barbara Engelking zamieściła jednak cytat z akt o jego rzekomej zbrodniczej działalności i powołała się na zeznanie „świadka Antoniego Lisika". W sprawie zeznawał Antoni Plesik, nie Lisik, i w jego zeznaniu takich słów nie ma. Skąd więc ten cytat? Przywołane słowa przypominają anonimowy donos z akt sprawy, ale jest on mniej drastyczny w treści niż to, co zacytowano. Zachodzi podejrzenie, że autorka oparła się na tym dokumencie, ale jego treść „podkręciła", pisząc własny cytat i wkładając go w usta świadka „Lisika". Gdyby ktoś miał wątpliwości, czy profesor z PAN mogła dopuścić się czegoś takiego, warto przytoczyć dwa inne przykłady równie wątpliwych przypadków.

We wspomnianym już artykule z książki „Zarys krajobrazu..." autorka sięgnęła po zeznanie Anieli Bielskiej brzmiące tak: „Daty nie pamiętam, było to w roku 1943, będąc w domu, zauważyłam, jak ludzie z całej wioski lecieli, i pytając się tej ludności, gdzie lecą, na co odpowiedzieli, że idą do Sarnackiego Jana, że tam jest »Żyd« zabity na placu. Więc poszłam na miejsce do Sarnackiego Jana i widziałam, jak leżał na placu Sarnackiego ten »Żyd« zabity...". Nikt tu nie woła, nikt nie krzyczy, a ówczesny zwrot „lecieli" oznacza tyle, co „udawali się" w jakieś miejsce, gdzie „poszła" i Bielska.

Engelking wzięła dokument i wykorzystała do budowy takiej historii: „»Jest Żyd zabity!« – wołali sąsiedzi do Anieli Bielskiej, gdy ta w lutym lub marcu 1943 r., będąc w domu we wsi Brok (pow. Wysokie Mazowieckie), zauważyła, że »ludzie z całej wioski lecieli«. Zapytała się »tej ludności, gdzie lecą«. »Jest Żyd zabity u Sarnackiego!« – wołali, więc i Bielska poleciała ze wszystkimi, by zobaczyć, co wydarzyło się na podwórzu sąsiada" (s. 287). Pozmieniano tu treść cytatów, powklejano do nich nieobecne w źródłach wykrzykniki i zestawem zabiegów werbalnych zbudowano atmosferę gonitw i krzyków, gdzie epatuje okrzyk: „Jest Żyd zabity!". To mistyfikacja. Tak samo sfabrykowano w tym tekście „dynamiczną" scenę („jest Żyd!") chłopskich działań w celu złapania i oddania Niemcom żydowskiego uciekiniera znalezionego we wsi Stara Łomża (s. 275).

Niektóre prawdziwe tragedie, takie jak schwytanie i przekazanie w ręce Niemców przez przerażonych wizją spalenia wsi chłopów grupy 10 lub 11 uciekinierów żydowskich we wsi Oleksin (powiat Bielsk Podlaski), Engelking omawia kilka razy innymi słowy i za pomocą kolejnych zeznań świadków żydowskich, dzięki czemu udaje się jej „dociągnąć" do liczby ok. 50 ofiar. Stosując opisane tu wyżej (tylko niektóre) zabiegi, autorka napisała książkę „Jest taki piękny słoneczny dzień...", w której po kilkuset stronach narracji podsumowała swoje dokonania: „Pracując nad tą książką, sięgnęłam do wielu źródeł. Przeanalizowałam 300 spraw sądowych, w których była mowa o 281 przypadkach denuncjacji (ofiarą tych doniesień padło 701 Żydów) oraz o 139 mordach, w których zginęło 473 Żydów" (s. 258). Te opisy, te badania, te wyliczenia autorki – to wszystko mistyfikacja.

Można by tu opisać jeszcze setkę kolejnych przypadków, w których Barbara Engelking zmieniła treść i wymowę cytowanych źródeł, kompilowała je z różnych dokumentów lub poprzez serię innych niedozwolonych w nauce metod budowała choćby historię polskich chłopów.

Tymczasem takie intelektualne kuriozum, którym jest książka „Jest taki piękny słoneczny dzień...", zostało przetłumaczone na angielski i wydane przez Instytut Yad Vashem w Jerozolimie. To wskazuje, że rzeczowa kontrola jakości publikacji w tej instytucji, powołanej przecież do strzeżenia prawdy i pamięci o Holokauście, nie istnieje.

Za swoje historyczne i matematyczne dokonania Barbara Engelking dostała ostatnio doktorat honoris causa Uniwersytetu w Tel Awiwie. Kabaret.

KONTROLA JAKOŚCI Z IPN

Barbara Engelking oraz inni pracownicy PAN piszą ostatnio różne artykuły i listy w „Gazecie Wyborczej" o IPN jako instytucji niepotrzebnej i zakłamującej historię. Zanim to uczynili (sama Engelking czy Dariusz Libionka, którego podobne metody działalności opisałem w ostatnim „Glaukopisie"), powinni jednak odpowiedzieć na stawiane im publicznie zarzuty. Czyli sprawę widzę tak: najpierw odpowiadamy na powszechnie znane, a przemilczane krytyczne teksty, a potem organizujemy publiczną debatę „Kto zakłamuje historię Polski?". Jako tylko szeregowy pracownik IPN rzucam rękawicę po raz kolejny: Kto ma rację? Ile pracownicy PAN znajdą w publikacjach IPN przypadków manipulacji przy wykorzystywaniu źródeł, włącznie z konfabulacjami i ordynarnymi przeróbkami za pomocą kleju i nożyczek, a ile ja pokażę na stosownych tablicach na dużym ekranie, co oznaczałoby, że te wzywanie o likwidację IPN to tylko takie „na złodzieju czapka gore"?

Dopóki jest IPN, prowadzi badania i przygotowuje różne publikacje na temat polskiej wsi, dopóty fala falsyfikowania elementarnych faktów i zjawisk dotyczących niemieckiej okupacji w Polsce, w tym także postaw polskich chłopów wobec Zagłady, będzie spotykała się z rzeczową repliką w postaci wyników badań, wystaw, artykułów edukacyjnych i innych form (także w przestrzeni międzynarodowej) publicznych wypowiedzi.

Niektóre tragedie Engelking omawia kilka razy i tak z 10 ofiar udaje się jej dociągnąć do ok. 50

Jan Grabowski, Barbara Engelking, Dariusz Libionka et consortes dziś chyba nie mają co liczyć na to, że parlament poczyni jakąś poważniejszą krzywdę tak ważnej instytucji państwa polskiego, którą jest IPN. W Sejmie są co prawda pogrobowcy Urbana, Kiszczaka i Jaruzelskiego z lewicy, ale z drugiej strony, oprócz PiS, jest chociażby PSL.

Gdy nie będzie Instytutu Pamięci Narodowej, w omawianym obszarze badań naukowych Polsce „ostanie się jeno" Centrum Badań nad Zagładą Żydów PAN. Żeby potem nie było, że nie uprzedzałem: dopuszczenie do nieskrępowanego narzucania „nowej wersji historii Polski" przez ten naukowy nowotwór spowoduje, że za kilka lat polscy chłopi uzyskają w przestrzeni publicznej status zbliżony do strażników Treblinki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem IPN.
Artykuł odzwierciedla wyłącznie jego poglądy.

eprasa.pl c7853be07a

Poznaj najważniejsze wydarzenia mijającego tygodnia na polskiej scenie politycznej. Na rozmowy w Telewizji Republika zaprasza Rafał Ziemkiewicz.

REPUBLIKA

Salonik POLITYCZNY

RAFAŁA ZIEMKIEWICZA

Niedziela
11:00

RepublikaTV | @RepublikaTV | Telewizja Republika | @RepublikaTV

Telewizję Republika oglądać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz w lokalnych multipleksach naziemnych MUX w: Katowicach, Warszawie, Trójmieście, Wrocławiu, Częstochowie, Tomaszowie Mazowieckim, Jeleniej Górze, na Śląsku i w części woj. opolskiego i małopolskiego. Aktualna lista MUX dostępna jest na serwisie www.tvrepublika.pl – gdzie także obejrzysz TV Republika na żywo. Wszystkie programy znajdziesz na kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

Dehumanizacja wroga

Izraelskie wojsko nagrywa „śmieszne" filmy z bombardowania Strefy Gazy

FOT. MIDDLE EAST EYE

Witold Repetowicz

Wojna w Strefie Gazy trwa już prawie cztery miesiące, a nie tylko nie widać przełomu militarnego, lecz także wciąż nie wiadomo, co się stanie z jej mieszkańcami. Tymczasem mnożą się doniesienia wskazujące na to, że Izrael chce uniemożliwić Palestyńczykom powrót do domów

Światowa opinia publiczna zwraca się coraz bardziej przeciwko Izraelowi, a ten zdaje się tym nie przejmować. W Internecie pojawiają się liczne nagrania wrzucane przez izraelskich żołnierzy pokazujące, jak kpią sobie z ogromnych zniszczeń Strefy Gazy. W surrealistycznym wręcz filmiku izraelski żołnierz wyskakuje w przebraniu dinozaura, ładuje pociski do czołgu, po czym następuje wystrzał. Towarzyszą temu dyskotekowa muzyczka, rytmiczne „bum, bum, bum", tak jakby chodziło o studencki melanż z odpalanymi fajerwerkami. Takich nagrań jest oczywiście więcej i władze izraelskie ani ich nie potępiają, ani tym bardziej nie każą swoim żołnierzom usuwać ich z mediów społecznościowych.

Neutralnego widza może to szokować, zwłaszcza jeśli zestawi te filmiki z materiałami reporterskimi z drugiej strony, na których widać cierpiących Palestyń-

eprasa.pl c7853be07a

czyków, pozbawionych dachu nad głową, lamentujących nad zwłokami swoich bliskich, a także płaczące i zakrwawione dzieci. Z jednej strony horror, z drugiej zaś farsa. Kontrast nie może być większy. Tyle że za tymi obrazami kryje się druga rzeczywistość – brutalnej, wręcz cynicznej wojny informacyjnej.

KPINY JAKO AMUNICJA

Trudno uwierzyć, że władze Izraela, w tym w szczególności dowództwo wojskowe, nie są w stanie zaprowadzić wśród swoich żołnierzy dyscypliny i zakazać im robienia sobie żartów z wojny. Należy zatem uznać, że kpiny te są nie tylko tolerowane, lecz także wręcz pożądane przez polityczne i wojskowe przywództwo Izraela. Po co? Z jednej strony wojna stanowi obciążenie psychiczne dla żołnierzy, więc dehumanizacja wroga sprzyja ich efektywności. Izrael zaś nie ma w tym zakresie żadnych dylematów. Życie i zdrowie jego żołnierzy są na pierwszym miejscu, bez względu na koszt. A dobre samopoczucie jest elementem zdrowia psychicznego, bez względu na to, jak bardzo szokujące byłoby to dla zewnętrznego obserwatora. Kpiny ze zniszczeń i odpalanie pocisków w stroju dinozaura nie są zresztą zakazane przez konwencje genewskie. A wojennej propagandzie zawsze towarzyszyła muzyka. To, że przyzwyczailiśmy się do nieco innego jej stylu, nie oznacza, że Izraelczycy nie mogą mieć w tym zakresie swoich innowacji.

Taka forma propagandy jest bowiem dość charakterystyczna dla Izraelczyków. O ile po drugiej stronie dominują patetyczne pieśni, o tyle Izraelczycy mają skłonność do prowokowania swoich przeciwników kpinami z ich przywódców.

Dobrym przykładem tego podejścia jest nagrany w czasie wojny z Libanem w 2006 r. klip Nadava i Assafa Frishmanów noszący tytuł „Yalla ya Nasralla", co można przetłumaczyć jako „No, dawaj, Nasrallahu". Tytułowy Nasrallah to oczywiście szef Hezbollahu, główny antagonista Izraela w Libanie. W piosence, która stała się przebojem w Izraelu, pokazany jest „jeden dzień z jego życia" – od momentu, gdy odgrywający jego karykaturę aktor wstaje z łóżka w podziemnym bunkrze, mając na sobie czarny turban, wyraźnie doklejoną brodę, kobiecą halkę, a w ręku pluszową przytulankę, poprzez nagrywanie przez niego rytualnych pogróżek pod adresem Izraela oraz oddawanie się infantylnym rozrywkom, do fake'owego wywiadu i komicznej ucieczki. Towarzyszy temu skoczna muzyczka, a sam Nasrallah nazywany jest hipopotamem o ptasim móżdżku, szumowiną, megalomańskim idiotą i orangutanem, a na koniec zapowiadane jest, że wkrótce zostanie dorwany i zabity.

To jednak nie tylko specyficzne poczucie humoru oraz skontrowanie i wykpienie patosu drugiej strony. To również prowokowanie jej i obniżanie morale. Palestyńczycy nie są obecnie zdolni do odpowiedzi w konwencjonalny sposób, a jakiekolwiek odwołanie się do terroryzmu daje Izraelowi argument, że nie może się zgodzić na to, by stworzyli państwo, i musi się przed nimi bronić. Brak odpowiedzi oznacza natomiast bezsilność, która w warunkach bliskowschodnich jest niewybaczalna. W tym sensie Izraelczycy chcą złamać Palestyńczyków i skłonić ich do opuszczenia Gazy, a następnie być może też Zachodniego Brzegu. Śmiejąc się ze zniszczeń, wysyłają komunikat, że mieszkańcy nie mają do czego wracać. Tyle że tylko w przypadku Gazy chodzi o niemal 2,5 mln ludzi.

CELEM JEST WYGNANIE

Sygnałów, że opcja wygnania Palestyńczyków z Gazy, lub przynajmniej z jej znacznej części, jest rozważana na poważnie, jest coraz więcej. Oficjalnie Izrael tego nie deklaruje, ale zapowiedział już stworzenie „strefy buforowej" o szerokości kilometra. Zważywszy, że szerokość Strefy Gazy w części północnej i środkowej to niewiele ponad 6 km, to jest to bardzo dużo. Media izraelskie podały przy tym, że w planowanej „strefie buforowej" do końca stycznia zniszczono ok. 3 tys. budynków, czyli 40 proc. wszystkich zabudowań. Ale pozostałe tereny objęte działaniami wojennymi nie wyglądają lepiej. Zniszczone tam zostały praktycznie cała infrastruktura i wszystkie ważniejsze budynki użyteczności. Z całą pewnością przyczynia się do tego również wysadzanie tuneli, ale kwestią otwartą pozostaje, czy wszystkie zniszczenia były konieczne. Jedno jest pewne, Izrael wcale nie zamierza ukrywać tych zniszczeń, bo celem jest przekonanie Palestyńczyków, żeby znaleźli sobie inne miejsce do życia.

O konieczności wygnania Palestyńczyków ze Strefy Gazy otwarcie mówią syjonistyczno-ortodoksyjni ekstremiści związani ze środowiskiem osadników z Zachodniego Brzegu. 28 stycznia ich czołowy przedstawiciel, minister bezpieczeństwa narodowego Itamar Ben-Gewir zorganizował ogromną konferencję z udziałem aż 12 ministrów izraelskiego rządu, na której argumentował, że konieczność żydowskiego osadnictwa w Strefie Gazy wynika z Tory, a Palestyńczycy powinni być „zachęcani" do wyjazdu. Uczestnicząca w tym zgromadzeniu Daniela Weiss, weteranka ruchu osadników, w przeszłości wielokrotnie aresztowana przez izraelską policję za organizowanie zamieszek, przekonywała, że jeśli odetnie się Palestyńczyków od jedzenia, to sami wyjadą, a „świat będzie musiał ich przyjąć".

Izrael zapowiedział już utworzenie „strefy buforowej" o szerokości jednego kilometra

To, co jest rozumiane przez ów „świat", jest równie szerokie, co niejasne, i pojawiało się tu już wiele, często wręcz kosmicznych, pomysłów. Prasa izraelska donosiła np., że prowadzone są rozmowy z Demokratyczną Republiką Konga w sprawie przesiedlenia tam Palestyńczyków, ale kraj ten później zdementował te rewelacje. Z kolei na spotkaniu szefa izraelskiej dyplomacji Israela Katza z ministrami spraw zagranicznych państw UE ni stąd, ni zowąd zademonstrowany został projekt sztucznej wyspy na Morzu Śródziemnym, która miałaby być hubem handlowym łączącym Strefę Gazy z resztą świata, ale na którą również miałaby być przesiedlona przynajmniej część jej mieszkańców.

Za tymi szokującymi pomysłami czają się jednak dwa znacznie bardziej oczywiste. Jeden to wysiedlenie do państw arabskich, na co się one nie zgadzają i raczej nie zmienią zdania. Drugi to wygnanie do Europy, która jest wszak znacznie bardziej podatna na zewnętrzne naciski. Na razie wydaje się to wykluczone, a zarówno

eprasa.pl c7853be07a

USA, jak i Unia Europejska podkreślają, że o żadnym wygnaniu mowy być nie może, i starają się wymyślić taki sposób zarządzania Strefą Gazy po wojnie, by uniemożliwić odrodzenie się Hamasu przy jednoczesnym powrocie mieszkańców do domów i ich odbudowie. Na razie rozwiązania takiego jednak nie ma.

STRASZAK LUDOBÓJSTWA

Czym innym jest jednak przebieranie się za dinozaura w celu odpalania pocisków, a czym innym popełnianie zbrodni wojennych czy też ludobójstwo. To, co głoszą tacy ludzie jak Daniela Weiss, można zakwalifikować jako nawoływanie do ludobójstwa. Z drugiej jednak strony Weiss to nie cały Izrael, a obecny rząd cieszy się rekordowo niskim poparciem. Ekstremiści mogą liczyć na 12 miejsc w Knesecie (10 proc.), a rządzący Likud na 16, natomiast większość Izraelczyków popiera opozycyjne ugrupowanie Jedność Narodowa Benny'ego Gantza. Gantz, a także inny polityk i ekswojskowy z Jedności Narodowej, Gadi Eisenkot, są członkami „gabinetu wojennego", ale ich ugrupowanie przystąpiło do rządu tylko na czas wojny i nie chce mieć nic wspólnego z ekstremistami Ben-Gewira. Obaj politycy, którzy są jednocześnie generałami IDF, ostro skrytykowali konferencję Ben-Gewira. Warto przy tym wspomnieć, że syn Eisenkota zginął w obecnej wojnie w Gazie, a Ben-Gewir nie był nigdy w wojsku.

O ile Izrael zdaje się nie przejmować tym, co światowa opinia publiczna sądzi o takich filmikach jak ten z dinozaurem, o tyle już kwestia prawnomiędzynarodowej odpowiedzialności za ludobójstwo ma dla niego istotne znaczenie. W grudniu 2023 r. RPA wniosła do Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości skargę przeciwko Izraelowi o naruszenie konwencji przeciwko ludobójstwu. Miesiąc później Trybunał wydał zarządzenia tymczasowe, które obie strony przyjęły jako swoje zwycięstwo (choć do zasadniczego rozstrzygnięcia jest jeszcze bardzo daleko). Z jednej bowiem strony Trybunał uznał, że niektóre działania Izraela opisane w skardze RPA mogą podpadać pod wspomnianą konwencję, ale z drugiej strony nie nakazał Izraelowi przerwania operacji w Gazie, a jedynie podjęcie działań zapewniających przestrzeganie konwencji. Netanjahu zareagował zapewnieniem, że Izrael od początku wojny dochowuje najwyższych starań w tym zakresie.

Trybunał wyraził też zaniepokojenie losem zakładników. I tu Izrael zarzuca światu, że zapomniał o tym, co się stało 7 października, że ignoruje to, że w czasie ataku doszło do masowych gwałtów na niewinnych kobietach, a los zakładników nie obchodzi tych, którzy krzyczą o domniemanych zbrodniach izraelskich. Hamas i jego zwolennicy, w tym z przeżartej antysemityzmem radykalnej lewicy europejskiej, gloryfikowali ten atak, a popełniane wówczas bestialstwa bagatelizowali. W szczególności sprawa gwałtów była przemilczana, a kobiety pochodzenia żydowskiego noszące transparenty przypominające o tej zbrodni były wyganiane z odbywających się w Europie marszów feministycznych.

W końcu stycznia okazało się natomiast, że w tym terrorystycznym ataku brali udział również pracownicy UNRWA, czyli agencji ONZ odpowiedzialnej za udzielanie pomocy humanitarnej Palestyńczykom. Działalność tej organizacji oparta jest na finansowaniu międzynarodowym, jednakże po ujawnieniu tego skandalu wiele państw, m.in. USA, Niemcy i Francja, ogłosiło, że nie będzie już udzielać jej wsparcia. Ujawnienie, że pracownicy UNRWA uczestniczyli w barbarzyńskim akcie terroryzmu, nie było zresztą zaskoczeniem, bo od dawna padały pod jej adresem zarzuty, że jest zinfiltrowana przez Hamas, który dzięki temu kontrolował dystrybucję pomocy międzynarodowej. Znaczna jej część trafiała na potrzeby Hamasu. Oczywiście powstaje pytanie, kto w takim razie zapewni pomoc dla mieszkańców Gazy, bo bez niej nie są oni w stanie przeżyć. No chyba że właśnie o to chodzi.

CHWALĄCY HITLERA

Po drugiej stronie tej wojny informacyjnej jest propaganda Hamasu, w której trupy są paliwem napędzającym spiralę nienawiści i budowanie wzorców dla kolejnych pokoleń „szahidów", czyli osób gotowych oddać swoje życie w walce o zniszczenie Izraela. Tu dehumanizacja wroga, czyli nie tylko Izraela, lecz także Żydów w ogóle, rozpoczyna się na etapie szkolnej edukacji. Już w zakładanych przez Hamas przedszkolach uczy się dzieci, że Żydzi są winni całemu złu tego świata, wychwala się Adolfa Hitlera i wbija się małym Palestyńczykom do głowy, że Żydów trzeba wymordować. Są nagrania ze szkolnych przedstawień, na których maluchy z atrapami kałasznikowów wyrażają swoją gotowość do walki.

Hamas nie chce pokoju, gdyż stanowi on zaprzeczenie sensu jego istnienia, a jego celem jest całkowite zniszczenie Izraela i ustanowienie islamskiego reżimu. Do czasu osiągnięcia tego celu im więcej przelanej krwi palestyńskiej, im więcej zniszczeń, tym lepiej dla propagandy Hamasu. Ponadto o ile dehumanizacja Palestyńczyków w propagandzie izraelskiej spotyka się również z krytyką po stronie izraelskiej, o tyle po drugiej stronie brak takich reakcji.

Ogromna tragedia Strefy Gazy jest faktem, ale należy pamiętać, że Hamasowi nigdy nie zależało, by jej mieszkańcom żyło się lepiej. To stłumiłoby ducha walki. Tocząca się obecnie wojna spowodowała ogromne zniszczenia i wydaje się, że część z nich była niepotrzebna. Strona palestyńska mówi też o prawie 30 tys. ofiar, w tym ponad 10 tys. dzieci. Trudno to zweryfikować, ale na pewno liczba ta jest wysoka.

Każdej wojnie towarzyszy też dezinformacja, a w tym również Hamas był bardzo dobry. Izrael wielokrotnie oskarżał Palestyńczyków o inscenizowanie scen z miejsc po bombardowaniach izraelskich, a „trupy" miały być po prostu ucharakteryzowanymi, żywymi osobami. Tej praktyce nadano nawet miano „Pallywoodu". Na ile jest to stosowane również w tej wojnie, pozostaje pytaniem otwartym, gdyż niezależni dziennikarze nie są wpuszczani do Strefy Gazy, więc trudno to zweryfikować. Faktem jest natomiast, że w walkach zginęło już ponad 100 palestyńskich dziennikarzy. Również to, że izraelscy żołnierze zastrzelili „przez pomyłkę" trzech izraelskich zakładników, choć byli oni rozebrani do pasa i machali białą flagą, uprawdopodabnia zasadność palestyńskich oskarżeń o strzelanie do cywilów próbujących przedostać się do stref wskazywanych przez Izrael jako „bezpieczne". Problem z „pomyłką" nie polegał bowiem na tym, że nie dostrzeżono białej flagi, ale na tym, że myślano, iż są to Palestyńczycy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c7853be07a

Z Riccardem Casciolim, włoskim dziennikarzem, dyrektorem katolickiego dziennika internetowego „La Nuova Bussola Quotidiana" i pisarzem
rozmawia Olivier Bault

Rozczarowanie Giorgią Meloni

OLIVIER BAULT: Poza granicami Włoch premier Giorgia Meloni jest chwalona przez liberalno-lewicowe media, natomiast rozczarowuje konserwatystów, szczególnie z uwagi na jej porażkę w walce z nielegalną imigracją i decyzję o zwiększeniu legalnej imigracji. Jednak w samych Włoszech jej partia Fratelli d'Italia wydaje się nie tracić popularności i oczekuje się, że wygra najbliższe wybory do Parlamentu Europejskiego. Jak to wyjaśnić?

RICCARDO CASCIOLI: Musimy pamiętać, że we Włoszech, podobnie jak we wszystkich krajach europejskich, zwłaszcza w Europie Zachodniej, system medialny znajduje się w rękach lewicy. Tak więc główne źródła informacji są w rękach lewicy i dają określoną interpretację faktów. Przez tę interpretację same fakty stają się niezrozumiałe i w tym świetle trudno zrozumieć zachowania wyborców.

Inna kwestia, o której należy pamiętać, to władza, którą ma obecnie Unia Europejska. Pole manewru poszczególnych partii lub koalicji jest zawsze ograniczone. Nie jest tak, że dana partia dochodzi do władzy i robi, co chce. Są europejskie zobowiązania i jest cała seria traktatów międzynarodowych, a poza tym mamy bardzo silną presję ze strony Brukseli. Jak pokazuje historia Berlusconiego [którego rząd upadł w 2011 r. na skutek presji ze strony Brukseli, Berlina i Paryża, którym towarzyszyła spekulacja na włoskich papierach dłużnych – przyp. O.B.], jeśli ktoś stanie temu na drodze, to zostanie w jakiś sposób usunięty.

Trzecim czynnikiem, o którym należy pamiętać, jest to, że nawet w ramach rządzącej większości prawicowej istnieją różnice i konflikty, więc nawet na tym poziomie nie jest łatwo znaleźć rozwiązanie.

To powiedziawszy, dla katolickiej części społeczeństwa, a ściślej mówiąc – dla tej bardziej konserwatywnej czy ortodoksyjnej części włoskich katolików, ten rząd jest z pewnością rozczarowujący pod wieloma względami. Ostatecznie w ważnych kwestiach, takich jak obrona życia (aborcja, eutanazja), związki homoseksualne itd., nie ma większych różnic w porównaniu z lewicą. Oczywiście prawicowy rząd jest jednak lepszy w tych obszarach, ale prawdą jest, że można było oczekiwać od niego więcej.

Rzecz jasna, kwestia imigracji jest dużym problemem. W 2023 r. było więcej imigrantów niż w roku poprzednim. Sytuacja pogorszyła się z wielu powodów, ale przede wszystkim z powodu presji i szantażu, które nasiliły się właśnie dlatego, że mamy we Włoszech prawicowy rząd. Rząd ma przeciwko sobie organizacje pozarządowe i lewicę z jednej strony, a Brukselę z drugiej.

Czy możliwa jest jeszcze zmiana polityki rządu w zakresie walki z nielegalną imigracją?

Już w ubiegłym roku nastąpiła zmiana, ponieważ Meloni odebrała część uprawnień decyzyjnych ministerstwu spraw wewnętrznych i stworzyła zespół mający nadzorować i koordynować politykę rządu w tym zakresie. Zmieniło się zatem to, kto kieruje polityką migracyjną. Porozumienie z Albanią [kktóre ma umożliwić Włochom wysyłanie do Albanii i przetrzymywanie tam w danym czasie do 3 tys. imigrantów wnioskujących o azyl na czas rozpatrzenia ich wniosku – przyp. O.B.], którego celem jest robić mniej więcej to, co Wielka Brytania chciałaby zrobić z Rwandą, nie jest łatwą drogą. Zakładając nawet, że premier Meloni uda się wysłać 3 tys. imigrantów do Albanii, nie rozwiąże to problemu. Prawdziwym wyzwaniem dla tego rządu powinno być dążenie do robienia tego, co robił Matteo Salvini, gdy był ministrem spraw wewnętrznych: sprawić, by ludzie nie wypływali z wybrzeży Afryki Północnej.

Przed wyborami Giorgia Meloni obiecywała blokadę morską. Może nie było to zbyt realistyczne. Ale dlaczego zostawiła włoskie porty otwarte dla statków z nielegalnymi imigrantami, w przeciwieństwie do Matteo Salviniego, kiedy ten był ministrem spraw wewnętrznych?

eprasa.pl c7853be07a

Ponieważ prawdopodobnie wystraszyła się międzynarodowej presji. Chciała zachować możliwość sprawowania rządów, wiedząc, że we Włoszech, niestety, jak to się stało z Salvinim, jeśli próbujesz zatrzymać statek organizacji pozarządowej, to zostajesz postawiony przed sądem. Od razu znajdą się sędziowie, którzy wytoczą ci proces. Trzeba więc oprzeć się zarówno wewnętrznym, jak i zewnętrznym naciskom.

Kiedy minister spraw wewnętrznych Matteo Piantedosi ogłosił nowe działania, u wybrzeży Apulii miał miejsce tragiczny incydent, w którym zginęli ludzie, i w tym momencie uruchomiono bardzo silną kampanię propagandową, a rząd ostatecznie ustąpił we wszystkim. Wokół tego incydentu było wiele niewyjaśnionych okoliczności. Statek z migrantami wypłynął spokojnie z Turcji, przepłynął przez greckie wody i wydaje się, że nikt go nie zauważył, a potem, gdy dotarł w pobliże Włoch, zatonął. Zamiast oskarżyć o to Turcję i Grecję na szczeblu międzynarodowym i krajowym, o tragedię oskarżono Włochy. To stworzyło warunki do dalszego prowadzenia polityki otwartych portów.

Nie mówię tego, by usprawiedliwiać rząd, ale by wyjaśnić pewien kontekst. Myślę, że rząd postąpił źle, ponieważ jeśli kapitulujesz w takich okolicznościach, to potem jesteś szantażowany i nie masz od tego ucieczki. Niestety, jedyna słuszna polityka to tzw. pushbacki lub zawarcie umów z krajami Afryki Północnej, aby nie dopuszczać do wyjazdów nielegalnych imigrantów. A jeśli już przybywają oni do Włoch, to trzeba zrobić wszystko, aby zostali szybko odesłani. Niestety, w tej kwestii rząd się ugiął i nie sądzę, abyśmy doczekali się istotnych zmian, przynajmniej przed wyborami europejskimi.

Przed objęciem władzy Giorgia Meloni potępiła postępującą wymianę ludności w Europie i obiecała promować przyrost naturalny, a nie napływ imigrantów. Jako premier ogłosiła zamiar sprowadzenia setek tysięcy imigrantów spoza Europy legalną drogą. Skąd ten zwrot?

Jest to zwrot tylko do pewnego stopnia. Ma to być bowiem również sposób na złagodzenie presji nielegalnej imigracji. W rzeczywistości, niestety, tak to nie działa.

FOT. MONDADORI PORTFOLIO/GETTY IMAGES

Ponadto wiele mówi się we Włoszech o wskaźnikach urodzeń i polityce urodzeń. Z pewnością ten rząd o tym mówi i podjął również działania w tym kierunku. Problem polega na tym, że działania te są absolutnie niewystarczające. Są to rzeczy, które nie mogą zmienić trendu. Dawanie 1 tys. euro więcej nie rozwiąże problemu. Jest to działanie, które może być pomocne, ale nie jest tak, że pary decydują się na dziecko tylko dlatego, że dostaną 1 tys. euro rocznie.

Potrzebne jest szersze podejście, w tym podejście kulturowe. Decyzja o sprowadzaniu dzieci na świat, o dawaniu życia, jest zawsze decyzją związaną z kulturą i religią. Ponadto, aby zwiększyć wskaźnik urodzeń [obecnie na poziomie 1,22 dziecka na kobietę we Włoszech – przyp. O.B.], konieczne jest działanie na rzecz tych, którzy już mają dzieci lub chcą je mieć. Bardzo trudno jest przekonać tych, którzy nie chcą mieć dzieci wcale, aby je mieli. Łatwiej jest pomóc tym, którzy mają dwoje dzieci, by chcieliby mieć troje lub czworo, ale być może mają trudności związane z domem, pieniędzmi, samochodem itp., tj. ze wszystkimi tymi rzeczami, które uniemożliwiają posiadanie większej liczby dzieci.

We Włoszech nie podchodzi się do tej kwestii w sposób strukturalny. W tym właśnie tkwi problem.

Podczas kampanii wyborczej Giorgia Meloni obiecywała również, że da kobietom, które rozważają aborcję z powodów społeczno-ekonomicznych, możliwość urodzenia dziecka dzięki wsparciu ze strony państwa. Co w tej sprawie zrobiono?

W tej kwestii działania podjął jeden region – Piemont, tworząc możliwość obecności centrów pomocy dla życia w klinikach i szpitalach. To rozwiązanie istnieje również w Lombardii, ale to dzięki poprzedniej władzy samorządowej.

We Włoszech istnieje bardzo silna ideologiczna blokada, również wśród większości parlamentarnej. Na przykład w drugiej połowie stycznia w Izbie Deputowanych przedstawiono argumenty za tym, że aborcja powinna być uważana za nielegalną we wszystkich przypadkach, a więc także w przypadku gwałtu. Wybuchła burza. Wszyscy na lewicy podnieśli krzyk, że kwestionowane jest prawo do aborcji itp., itd. Praktycznie wszyscy w rządzie zajęli podobne stano-

eprasa.pl c7853be07a

Kiedy we Włoszech mówimy o Europie, bardzo często robimy to tylko po to, aby toczyć wewnętrzne bitwy w kraju

wisko. Liga Salviniego była w pierwszym szeregu, żeby mówić, że prawo do aborcji nie może zostać naruszone, że wolności wyboru dla kobiet nie można ograniczać. Jeśli takie jest stanowisko partii prawicowych, z Ligą na czele, a także Fratelli d'Italia premier Meloni podobnie jak i centroprawicowej Forza Italia, to jasne jest, że wszelkie inicjatywy mające na celu zapobieganie aborcji mogą pochodzić jedynie od poszczególnych radnych w regionach lub poszczególnych parlamentarzystów na szczeblu krajowym. Jest to z pewnością rozczarowujące, ale tak naprawdę już wcześniej wiedzieliśmy, że taki jest, niestety, poziom polityki we Włoszech. Partie polityczne są również pewnym odzwierciedleniem tego, co dzieje się w społeczeństwie.

Giorgia Meloni obiecała również sprzeciw wobec ideologii gender i LGBT. W przeszłości we Włoszech dochodziło do skandali w szkołach, w których uczniom rozdawano broszury niemal pornograficzne, o czym donosiła „La Nuova Bussola Quotidiana". Czy skandaliczne Standardy Edukacji Seksualnej w Europie WHO są stosowane we włoskich szkołach?

Na to pytanie nie ma prostej odpowiedzi. Z pewnością można powiedzieć, że w niektórych miejscach tak. Co prawda, istnieje przeciw temu ogólny opór, pojawiają się kontrowersje, gdy wdrażane są tego typu programy, ale trwa pewien proces i w niektórych szkołach te programy już są. Tak naprawdę we Włoszech wiele zależy od poszczególnych szkół i niestety istnieją grupy nacisku mające na celu wprowadzanie do szkół określonych treści.

Z tego punktu widzenia istnieje również wiele sprzeczności w rządzie właśnie dlatego, że prawicowe partie tworzące rządzącą koalicję, którą we Włoszech nazywamy zbiorowo centroprawicą, nie mają jasnego, jednolitego stanowiska kulturowego, a niektórzy ministrowie robią rzeczy, które mogą wydawać się dziwne. Przykładowo: niedawno minister edukacji zdecydował o wprowadzeniu, w związku z morderstwami popełnianymi na kobietach, pewnego rodzaju kursu edukacyjnego dla uczniów płci męskiej. Tyle tylko, że na czele komisji mającej nadzorować tego typu kursy postawił przedstawicielkę lobby LGBT, zadeklarowaną lewicową lesbijkę. Wywołało to tak mocny bunt, że w końcu minister musiał wycofać tę nominację. Był to pewien sukces, ale absurdalne jest, że to minister prawicowego rządu w ogóle robi takie rzeczy.

Nawet teraz prezydent Wenecji Euganejskiej, który należy do Ligi, poparł projekt ustawy mającej zalegalizować wspomagane samobójstwo. Ustawa przepadła jednym głosem, ale jest to jednak oznaka kulturowej słabości czy sprzeczności występującej w partiach prawicowej koalicji.

Jaka jest postawa Kościoła we Włoszech? Czy skłania się on raczej ku nurtom lewicowo-liberalnym czy konserwatywnym?

Wydaje mi się, że zwłaszcza za obecnego pontyfikatu włoski Kościół zasadniczo stał się lewicowy i jest mu bardzo blisko do Partii Demokratycznej (głównej partii centrolewicy we Włoszech – przyp. O.B.). To jeszcze bardziej utrudnia zadanie politykom, którzy są konserwatystami w prawdziwym tego słowa znaczeniu.

Oczywiście Kościół ma dziś znacznie mniejsze wpływy we Włoszech, tym bardziej że zajmuje się teraz tylko wybranymi tematami. W kwestii imigracji jest zwolennikiem otwartych drzwi również dlatego, że istnieje cały biznes organizacji katolickich związany z nielegalną imigracją. Widać też istotny nacisk papieża na Kościół włoski, który powoduje, że we wszystkich kwestiach Kościół we Włoszech zajmuje pozycje bardzo lewicowe, zgodne z duchem tego świata. Z pewnością u nas Kościół nie kontrastuje już z otaczającą go postępową mentalnością.

Giorgia Meloni obiecała również bronić włoskiej suwerenności w Brukseli. Czy we Włoszech mówi się o reformie traktatów europejskich, której domaga się Parlament Europejski, co pociągnęłoby za sobą znaczne przeniesienie suwerenności do Brukseli? Czy rząd w Rzymie zablokuje tę reformę?

Nie widziałem żadnego jasnego stanowiska rządu w tej sprawie. Prawdziwym problemem jest to, że we Włoszech się o tym nie dyskutuje. Z tego punktu widzenia Włochy są naprawdę bardzo prowincjonalnym krajem. Kiedy mówimy o Europie, bardzo często mówimy o niej po to, by toczyć wewnętrzne bitwy w kraju, a nie żeby powiedzieć, co zamierzamy zrobić w Europie i czego chcemy od Europy.

Ludzie nawet nie zdają sobie sprawy z tego, co się dzieje. Teraz będą wybory europejskie i mówi się tylko o tym, kto kandyduje – zawsze w kontekście polityki wewnętrznej Włoch. Tak naprawdę nie rozmawiamy o problemach, nie rozmawiamy o reformie traktatów. Na ten temat są tylko sporadyczne artykuły prasowe, które niestety nikogo nie interesują.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

FATTI PER

Riccardo Cascioli – włoski dziennikarz, dyrektor katolickiego dziennika internetowego „La Nuova Bussola Quotidiana", autor lub współautor kilku książek, m.in. wydanej w języku polskim książki „Katastrofizm i koniec czasów".

eprasa.pl c7853be07a

Polityczna armia Zełenskiego

Maciej Pieczyński

Nowy głównodowodzący Sił Zbrojnych Ukrainy ma opinię rzeźnika, który traktuje żołnierzy jak mięso armatnie. Jego pierwszą poważną bitwą po rozpoczęciu pełnowymiarowej wojny była bitwa o Kijów

Zełenski podkreśla, że Syrski ma doświadczenie zarówno w obronnych, jak i zaczepnych operacjach

FOT. PRESIDENT.GOV.UA

O konflikcie na linii prezydent – naczelny wódz mówiło się nad Dnieprem od dawna. Wszystko zaczęło się, gdy gen. Wałerij Załużny na łamach zachodnich mediów wykazał zbyt daleko idącą szczerość. Przyznał, że źle ocenił przeciwnika. Mylnie zakładał, że wystarczy wykrwawić armię rosyjską, aby Putin się cofnął. Ponadto de facto potwierdził porażkę tak hucznie zapowiadanej kontrofensywy. Co więcej, ocenił, że wojna przeszła w fazę pozycyjną. Chciał w ten sposób zmotywować zachodnich partnerów do zintensyfikowania pomocy militarnej dla Ukrainy. Ba, nawet szczegółowo wymienił, co powinni dostarczyć, żeby kolejna kontrofensywa tym razem już na pewno się udała.

BEZ SKANDALU

Dymisja Załużnego od jakiegoś czasu wisiała w powietrzu. Media donosiły, że zaproponowano mu objęcie innego stanowiska, na co miał się jednak nie zgodzić. W końcu jednak do zmiany na stanowisku doszło. Obeszło się bez skandalu. Dymisję eufemistycznie określono jako „reorganizację dowództwa sił zbrojnych". Obaj panowie na pożegnanie rzucili się sobie w ramiona, Załużny otrzymał zaś tytuł Bohatera Ukrainy.

Uzasadniając wybór Syrskiego, Zełenski podkreślił, że ma on doświadczenie w planowaniu i przeprowadzaniu zarówno obronnych, jak i zaczepnych operacji. Bardziej niż poprzednik skłonny jest do ryzyka. Podobno nie toleruje jakichkolwiek sugestii, jakoby wojna miała zakończyć się rezultatem innym niż zwycięstwo Ukrainy.

Gdy w 2014 r. Rosja anektowała Krym, Syrski już dowodził wojskami na wschodzie Ukrainy. Jego pierwszą poważną bitwą po rozpoczęciu pełnowymiarowej wojny była bitwa o Kijów. Udało mu się naprędce przygotować skuteczną obronę stolicy, która w pierwszych tygodniach inwazji była realnie zagrożona.

We wrześniu 2022 r. zaplanował i przeprowadził brawurową kontrofensywę, zakończoną wyzwoleniem obwodu charkowskiego. Błyskawiczny rajd udał się dzięki efektowi zaskoczenia oraz miażdżącej przewadze liczebnej. Sukces jednak pozostaje sukcesem. Przy czym Syrski nie zawsze był dowódcą zwycięskim. Kierował również obroną Bachmutu, która po wielu miesiącach ciężkich walk zakończyła się zdobyciem miasta przez Rosjan. Była to najdłuższa i najkrwawsza operacja, w której też Ukraińcy ponieśli największe straty. Jednakże mocno wykrwawiła się również armia rosyjska. Jednym z błędów, do których przyznał się publicznie Załużny, było niedocenienie determinacji Moskwy. Poprzedni głównodowodzący łudził się, że ciężkie straty zmuszą agresora do wycofania się. Tymczasem historia wielokrotnie pokazywała, że w armii rosyjskiej życie ludzkie nie znaczy nic. Również straty agresora pod Bachmutem nie mogły sprawić, że Putin przemyśli sensowność specoperacji. Niewątpliwie jednak spowolniły rosyjską ofensywę na zachód. Pod tym względem danina krwi była opłacalna. Ostatecznie w bitwie zginęło więcej Rosjan niż Ukraińców.

Pod Bachmutem Syrski w pewnym sensie zastosował rosyjską taktykę walki do końca, bez względu na straty. To zaś raczej nie przysporzyło mu sympatii podkomendnych. W armii zyskał niezbyt pochlebny przydomek Rzeźnik. Nazywany jest również „Generałem 200". To nawiązanie do sowieckiej terminologii, w której „ładunkiem 200" określano poległych. Syrski traktuje żołnierzy jak mięso armatnie.

Być może takiej „filozofii dowodzenia" nauczył się w Moskwie. W 1986 r. ukończył tamtejszą Wyższą Szkołę Dowodzenia. Urodził się zresztą w Rosji. W ówczesnej rosyjskiej republice sowieckiej. Ojciec Syrskiego był

eprasa.pl c7853be07a

zawodowym żołnierzem. Ołeksandr marzył, by pójść w jego ślady. Tak też się stało. W latach 70. Stanisława Syrskiego oddelegowano do służby na terenie sowieckiej Ukrainy. Tak późniejszy wódz naczelny armii, broniącej się przed rosyjską agresją, trafił do swojej nowej ojczyzny. Do szkoły chodził w Charkowie. To miasto uznał za swoją małą ojczyznę. Część rodziny Syrskich pozostała w Rosji.

Gdy Ołeksandr został głównodowodzącym, agencja TASS poprosiła o komentarz jego brata. „Nie rozmawiam z nim, nawet nie wiem, gdzie on jest… Nic o nim nie wiem" – zapewniał w rozmowie z rosyjskim medium Oleg Syrski.

STANDARDY NATO

Poza studiami w Moskwie Ołeksandr Syrski całą swoją służbę wojskową odbył na Ukrainie – najpierw sowieckiej, następnie niepodległej. W 1996 r. ukończył Akademię Sił Zbrojnych Ukrainy, a w 2005 r. Narodową Akademię Obrony Ukrainy. Obronił też doktorat z nauk wojskowych. W ostatnim dla Ukrainy pokojowym roku 2013 Syrski został pierwszym zastępcą naczelnika Głównego Centrum Dowódczego SZU. Na tym stanowisku odpowiadał m.in. za współpracę armii ukraińskiej z NATO i wprowadzanie zachodnich standardów w SZU.

Po wybuchu konfliktu w Donbasie został szefem sztabu sił operacji antyterrorystycznej przeciwko prorosyjskim separatystom. Koordynował odwrót oddziałów ukraińskich z Debalcewa. Bitwa ta przeszła do historii jako „kocioł debalcewski". Ukraińcy zostali otoczeni przez separatystów. Wycofali się z okrążenia, ponosząc ciężkie straty. Rosjanie przedstawiali ten odwrót jako paniczną ucieczkę. Syrski publicznie zapewniał, że było inaczej. Grupa bojowa, którą osobiście sformował, osłaniała wycofujące się oddziały. Klęska debalcewska miała również polityczne znaczenie. W trakcie trwania bitwy toczyły się rozmowy pokojowe w Mińsku. Putin argumentował, że skoro w kotle debalcewskim znajduje się kilka tysięcy ukraińskich żołnierzy, to dla ich ratowania Kijów powinien pójść na ustępstwa. Ukraińcy jednak utrzymali swoje pozycje, a w sposób mniej więcej zorganizowany wycofali się dopiero po podpisaniu porozumień. W 2019 r. Syrski został mianowany dowódcą wojsk lądowych.

MŁOT NA PREZYDENTA

Zastąpienie Załużnego Syrskim miało jednak nie tylko wojskowe, lecz także – a może przede wszystkim – polityczne przyczyny. Załużny w czasie wojny dość szybko stał się „wirtualnym" kandydatem na prezydenta. Uwzględniany był w licznych sondażach czy rankingach popularności. Po pewnym czasie stało się jasne, że jako jedyny jest w stanie dogonić, a nawet przegonić urzędującą głowę państwa. Zełenski w oczach swoich rodaków bardzo zyskał w pierwszych miesiącach wojny swoim nieoczekiwanym bohaterstwem i skutecznością w polityce zagranicznej. Początkowo to z jego nazwiskiem wiązano skuteczną obronę przed agresorem. Z czasem jednak narastało zmęczenie nie tylko wojną, lecz także wojenną cenzurą, prześladowaniem opozycji, korupcją czy pogarszającymi się relacjami z Zachodem. Zaczęły też padać pytania o to, dlaczego władza niewystarczająco przygotowała kraj do inwazji. Opozycja – zarówno medialna, jak i polityczna – początkowo solidarna z prezydentem w imię walki ze wspólnym wrogiem, z czasem coraz śmielej go atakowała. Według badania przeprowadzonego pod koniec ubiegłego roku przez Kijowski Międzynarodowy Instytut Socjologii Zełenskiemu ufa 66 proc. Ukraińców, Załużnemu zaś – aż 88 proc. Naczelny dowódca sił zbrojnych często występował w mediach i kojarzył się bardziej z bohatersko walczącą armią niż z nieudolnym i skorumpowanym kierownictwem politycznym. Wszelkie porażki na froncie wizerunkowo kładły się cieniem na politykach, nie na dowódcach. Ci ostatni pozostawali po prostu bohaterami, którzy robią, co mogą, by pokonać wroga.

Ponadto Załużny był dość aktywny medialnie. Rozpoznawalny i lubiany. Zgrzytem we wzajemnych relacjach były wypowiedzi Zełenskiego, a wcześniej jego współpracowników, ostrzegające głównodowodzącego przed mieszaniem się do polityki. Było to o tyle zastanawiające, że sam Załużny nie robił tego, co mu zarzucano. Do polityki mieszany był niejako mimo woli przez tych, którzy uwzględniali go w sondażach. Z czasem Załużny zaczął też komentować nie tylko wydarzenia na froncie, lecz także politykę władzy. W wywiadzie dla CNN otwarcie skrytykował rządzących za sposób prowadzenia wojny. Z drugiej strony Zełenski za plecami Załużnego kontaktował się z jego podkomendnymi – w tym z Syrskim – i wydawał im polecenia, tym samym podważając kompetencje naczelnego dowódcy.

Po dymisji Załużny nie ma w zasadzie innego wyjścia, jak tylko przejść do polityki. Sondaże są zachęcające. Co istotne, Załużny cieszy się również poparciem opozycyjnych mediów, które najwyraźniej widzą w generale młot na Zełenskiego. Kiedyś w końcu będzie musiała się rozpocząć kampania wyborcza. A wtedy krytykom prezydenta puszczą już wszelkie hamulce. Nie pomoże mu nawet telewizyjna propaganda prorządowa, prowadzona poprzez Telemaraton (wspólną transmisję największych kanałów), która przecież, również z natury rzeczy, budowała pozytywny wizerunek dowódcy armii.

Jakiś czas temu nad Dnieprem zaczęto porównywać Zełenskiego do Łeonida Kuczmy, Załużnego zaś – do Wiktora Juszczenki. W obu przypadkach tracący poparcie prezydent zdymisjonował popularnego funkcjonariusza państwowego w obawie przed konkurencją z jego strony. Juszczenko, pozbawiony stanowiska szefa rządu przez Kuczmę, nie miał innego wyboru, jak tylko rzucić mu polityczne wyzwanie. W efekcie pokonał kandydata wysuniętego przez ustępującego prezydenta. Identycznie może być w przypadku Załużnego i Zełenskiego. Jak wiadomo, Juszczenko zdobył władzę w efekcie prozachodniej pomarańczowej rewolucji, zwyciężając w powtórzonych z powodu fałszerstw wyborach. Porównanie to jest więc dla Zełenskiego bardzo niebezpieczne wizerunkowo. Jeśli w oczach Ukraińców to Załużny będzie uosabiał prozachodni i patriotyczny kurs, to wiadomo, jakie miejsce w tej rywalizacji zajmie „sługa narodu"… Sam niechcący się po tej stronie postawił, sugerując, że Rosja szykuje Majdan, by go obalić. A przecież Majdan, jak wiadomo, jest z natury rzeczy prozachodnim i antyrosyjskim buntem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c7853be07a

FOT. OLIVIER MATTHYS/EPA/PAP

ROSJA SZUKA PANI PREMIER

„Poszukiwana na podstawie kodeksu karnego" – taki wpis zamieściła w liście gończym rosyjska policja. Kogo szuka? Podpowiedzmy: kobiety, blondynki, pełniącej od 2021 r. funkcję... premiera Estonii. Rosjanie nie podają, dlaczego Kaja Kallas jest przez nich poszukiwana. Ona sama stwierdziła, że to odwet za to, iż w 2022 r. wspierała napadniętą przez wschodniego barbarzyńcę Ukrainę. Gdyby rosyjska policja nie wiedziała, to może podpowiedzmy: Kallas, jak na premiera Estonii przypada, jest w Estonii. Dodatkowa uwaga: Estonia jest w NATO.

JAK ŻOŁĄDŹ ROZPĘTAŁ STRZELANINĘ

Szeryf hrabstwa Okaloosa w USA opublikował końcowy raport na temat akcji funkcjonariuszy, która zakończyła się strzałami do podejrzanego. Policjant zatrzymał mężczyznę, zamknął w radiowozie, a potem żołądź spadający w drzewa uderzył w dach auta. Funkcjonariusz uznał, że to podejrzany ma broń, i ostrzelał samochód, w którym go zamknął. Szeryf zamierza używać raportu w tej sprawie do szkolenia policjantów – by takich błędów unikać w przyszłości.

34 LATA UDAWAŁ NIEWIDOMEGO

Mieszkaniec Ciriè w okolicach Turynu przez 34 lata udawał niewidomego i pobierał z tego tytułu rentę inwalidzką. Oszustwo wyszło na jaw, gdy zaczęli go śledzić karabinierzy. Osiemdziesięcioczteroletni pan przechadzał się ulicami miasta, korzystał z bankomatów i czytał nekrologi wywieszane na murach.

GMINA ZAKAZUJE TELEFONÓW

Francuska miejscowość Seine-Port wprowadziła ograniczenia w korzystaniu z telefonów komórkowych w miejscach publicznych – na ulicach, w sklepach czy na ławce w parku. „Ludzie mają wrażenie, że wtrącamy się w ich życie. Nie chcę tego! Istnieje jednak problem zdrowia publicznego. Musimy im pomóc" – tłumaczył „Le Parisien" burmistrz Vincent Paul-Petit. Za złamanie zakazu nie będą grozić jednak żadne sankcje.

IMPREZA Z ZADYMĄ

Jeden z mieszkańców Kalifornii postanowił użyć maszyny do generowania dymu podczas imprezy rodzinnej, na której przyszli rodzice ogłosili płeć potomka. Zapaliła się od tego trawa, a pożar ogarnął potem duży obszar lasu. Zginął strażak uczestniczący w akcji gaszenia pożaru, 13 osób odniosło rany, a setki ewakuowano. Organizator imprezy został skazany na rok więzienia. ©℗ ***Łukasz Zboralski***

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Edukacja, głupcze!

Gospodarka Polski w czwartym kwartale ubiegłego roku choć rosła minimalnie wolniej, niż spodziewali się ekonomiści (w ostatnim kwartale ubiegłego roku wzrost wyniósł 1 proc., a spodziewano się, że będzie to 1,1 proc.), to i tak rozwija się szybciej niż gospodarka całej Unii Europejskiej, której udało się co prawda uniknąć formalnej recesji, ale pogrążyła się w długotrwałej stagnacji gospodarczej. Tym samym Polacy kontynuują wyścig, którego celem jest zrównanie poziomu zamożności mieszkańców polskich miast z zamożnością Niemców czy Francuzów. Pod względem dochodu narodowego na osobę w ostatnich latach wyprzedziliśmy już Portugalczyków, Węgrów, Chorwatów, Słowaków, Greków oraz Estończyków, a depczemy po piętach Czechom, Litwinom i Hiszpanom.

Oczywiście według danych Eurostatu w ubiegłego roku dochód rozporządzalny na jednego mieszkańca w Polsce wciąż jest poniżej unijnej średniej. I chociaż wiele krajów jest za nami, to do Niemców, Duńczyków, Belgów, a tym bardziej Luksemburczyków wciąż nam jeszcze daleko.

Polska może jednak utrzymać szybkie tempo pogoni za najbogatszymi w UE. Słabość eksportu, związana choćby ze słabym popytem z Niemiec, zmusza jednak do poszukiwania nowych silników wzrostu. Nie tylko rozwój konsumpcji prywatnej wydaje się konieczny, lecz także niezbędne są zwiększenie skali inwestycji, budowa prężnego rynku kapitałowego i zwiększenie kapitału ludzkiego. Eksperci OECD w swym ostatnim raporcie mają jeszcze jedną radę dla krajów marzących o szybkim wzroście: „Edukacja, głupcze".

eprasa.pl c7853be07a

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Rolnicy, ratujcie mieszczuchów!

Unia Europejska naprawdę potrafi zdziałać cuda! W końcu gdyby nie ona, nawet przez myśl by mi nie przeszło, że będę kiedyś kibicował protestom rolników. A tym bardziej że będę do nich apelował, by zechcieli protestować także w imieniu moim i milionów innych, niepotrafiących się zorganizować, mieszkańców miast.

Protest rolników naprawdę robi wrażenie. Jakże bowiem nie podziwiać ludzi, przed którymi ugięła się „niezwyciężona" Komisja Europejska, rzucająca sobie do stóp całe państwa – wcześniej Włochy, a ostatnio Polskę pod rządami PiS? Ugięła się, w znacznej mierze wygumkowując już rolników z hekatomby Zielonego Ładu, dzięki czemu ich – w przeciwieństwie do nas, mieszczuchów – ów absurdalny Zielony Ład nie zmiecie z powierzchni ziemi wraz z ich rodzinami i domami. A ugięła się, bo rolnicy przemówili do eurokratów w jedynym języku, który ci rozumieją. Na drogi i ulice miast państw UE wylali hektolitry gnoju, wysypali setki ton siana, okadzając to dymem z palonych opon. I, jak się okazuje, dzięki użyciu tych argumentów „przekonali" KE.

Owszem, nie da się wykluczyć, a nawet – znając rządzącą tą instytucją kombinację ideologicznego fiksum dyrdum na punkcie rewolucji klimatycznej i interesów producentów gadżetów służących do jej realizacji, a więc wiatraków, solarów i pomp ciepła – należy to wręcz założyć, że eurokraci ugięli się chwilowo, po cichu licząc, iż po zakończeniu protestów odwiną się i na powrót dołączą rolników do listy proskrypcyjnej grup społecznych przeznaczonych do wyniszczenia za pomocą Zielonego Ładu. Wszelako mam nadzieję, że rolnicy zapamiętają tę lekcję i nie dość, że dziś szybko doprowadzą do ostatecznej klęski Zielonego Ładu w rolnictwie, to później, jeśliby zaszła potrzeba, znów znajdą w sobie siłę, by użyć w obronie własnej tego jedynego języka, który jakoś do eurokratów dociera.

A wracając do apelu o to, żeby rolnicy ujęli się także za mieszkańcami miast, z których znaczna część – większość? – tak jak oni też nie chce zostać doprowadzona za pomocą Zielonego Ładu do nędzy. Też nie chce – z powodu klimatycznej aberracji eurokratów i interesików wytwórców wiatraków, solarów i pomp ciepła – musieć wydawać całych oszczędności na termoizolowanie swych domów i całych pensji na ich ogrzewanie oraz zapożyczać się na zakup aut na baterie, bo nie może używać normalnych – na benzynę.

A zatem: Czy można liczyć, że rolnicy „porozmawiają" z KE w jednym zrozumiałym dla niej języku także o miejskiej części aberracji zwanej Zielonym Ładem? Bo jeśli nie, to wkrótce może się okazać, że nie będą mieli komu sprzedawać swoich płodów. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Do tanga trzeba trojga

Petycja zainicjowana przez Klub Jagielloński, podpisana przez 24 osoby z różnych stron politycznego spektrum i nawołująca do zaprzestania niszczenia państwa, dokonania resetu konstytucyjnego oraz kontynuacji strategicznych projektów, wywołała u niektórych przedstawicieli obozu władzy pianę na ustach. Przez przedstawicieli PiS natomiast została (przynajmniej do momentu, gdy powstał ten felieton) całkowicie zignorowana. Trudno właściwie powiedzieć, co jest gorsze.

Trudno założyć, żeby działo się to bez błogosławieństwa szefostwa partii

Wściekła reakcja osób takich jak posłowie Marcin Bosacki czy Roman Giertych – obaj obrażający sygnatariuszy petycji (wśród których miałem zaszczyt się znaleźć) – świadczy o tym, że apel szanowanej organizacji jest jednak dla partii rządzącej kłopotem. Stąd zawzięte próby zakwalifikowania wspierających petycję jako „beneficjentów rządów PiS", co jest zwyczajnie absurdalne. Jakimż to „beneficjentem" byli ludzie tacy jak Kaja Puto, Jakub Dymek, Antoni Dudek czy ja sam? Również podpisany pod petycją Krzysztof Wojczal zapowiedział, że wystąpi przeciwko panu Bosackiemu na drogę sądową. Cel akcji polityków KO jest jasny: trzeba petycję przedstawić w taki sposób, żeby ją zdyskredytować. Trudno założyć, żeby działo się to bez błogosławieństwa szefostwa partii, które staje się w coraz większym stopniu zakładnikiem swoich najtwardszych zwolenników – albo nieoficjalnych i niedeklarowanych otwarcie celów, których można się jedynie domyślać.

Z drugiej strony – do której apel jest przecież także skierowany, bo i PiS musiałby z części swoich planów zrezygnować – reakcją jest brak reakcji. To także znamienne. Tam najwyraźniej kalkulacja jest inna: nie da się sygnatariuszy apelu zdyskredytować z punktu widzenia PiS. Bo niby jak? Trzeba zatem udawać, że żadnego apelu nie ma. Może uda się wystarczająco głęboko schować głowę w piasek i kontynuować bohaterską walkę o mandaty panów Kamińskiego i Wąsika. Przy wydatnej współpracy nowej władzy.

Jedynym względnie zainteresowanym w tym układzie wydaje się pan prezydent. Tutaj jednak do tanga potrzeba nawet nie dwojga, ale trojga. ©℗

eprasa.pl c7853be07a

FOT. WOJTEK RADWAŃSKI/AFP/EAST NEWS

Stanica Dorohusk

Z Rafałem Meklerem, liderem protestu na przejściu granicznym z Ukrainą w Dorohusku, przedsiębiorcą, politykiem Konfederacji
rozmawia Ryszard Gromadzki

RYSZARD GROMADZKI: Co się dzieje w Dorohusku i na innych przejściach granicznych z Ukrainą? Czy rzeczywiście zboże, cukier i inne produkty rolne z Ukrainy wlewają się do Polski szerokim strumieniem? Pośrednio przyznał to podczas niedawnej interwencji poselskiej wiceszef resortu rolnictwa, Michał Kołodziejczak. Naprawdę nikt nie jest w stanie nad tą kontrabandą zapanować?

RAFAŁ MEKLER: Słuchałem Kołodziejczaka i dostrzegam luki w tym, co mówi. On wie, że gdzieś dzwoni, ale chyba nie wie, w którym kościele. Co do „kontrabandy", to zależy, co pod tym określeniem rozumiemy. Wyobraźmy sobie sytuację, że towar do Polski wjechać nie może, bo jest to np. objęte embargiem zboże. Ale towar jedzie do Niemiec, na Litwę czy Łotwę, gdzie dostaje niemieckie, litewskie, łotewskie czy unijne świadectwo fitosanitarne i spokojnie wraca do Polski. Proste. Przebicie jest bardzo duże.

Czy to znaczy, że polski rząd nie ma realnych instrumentów, żeby chronić nasz rynek? Czy protest, który prowadzi pan w Dorohusku, a rolnicy w całym kraju, ma jakieś oparcie w Warszawie?

Prowadzę firmę transportową. Ostatnio jedna z polskich ciężarówek została aresztowana na Ukrainie za przekroczenie limitu 20 dni pobytu i stoi teraz na strzeżonym parkingu we Lwowie, czekając na rozprawę. Interweniowaliśmy w ministerstwie – mimo że była druga w nocy, ktoś odebrał telefon i podjęto działania. Nie mogę nic złego powiedzieć. Pytał pan o nasze możliwości działania w sporze z Ukrainą. Trzeba pamiętać, że handel jest prerogatywą Unii Europejskiej. Mamy związane ręce przepisami unijnymi.

Zostaje nam biernie przyglądać się, jak eurokraci zarzynają polskie rolnictwo?

Odpowiem trochę anegdotycznie, słowami Lorda Farquaada ze „Shreka": „Zapewne wielu z nas zginie, ale jest to poświęcenie, na które jestem gotów".

Różni oficjele na Ukrainie bezpardonowo atakują polskich rolników za to, że ośmielili się zaprotestować przeciw zalewaniu naszego rynku zbożem i żywnością z Ukrainy. Mer Lwowa, Andrij Sadowy, wyzywa was od „prorosyjskich prowokatorów". Jeszcze dalej poszedł Taras Kaczka, wiceminister gospodarki, który po wysypaniu zboża z ukraińskich ciężarówek przez protestujących w Dorohusku mówił, że tylko czekać, aż Mekler i jego banda „zaczną zabijać Ukraińców za to, że są Ukraińcami"...

Mam ochronę policyjną po tym, jak zgłosiłem kilkanaście – a może już kilkadziesiąt – gróźb karalnych pod swoim adresem. To jest mój osobisty „koszt uzyskania przychodu". Co do wypowiedzi

eprasa.pl c7853be07a

pana Tarasa Kaczki, to Ukrainiec, który wypowiada słowa o „bandach" i „mordercach", postępuje bardzo nierozważnie. Chciałbym go zapytać, czy na pewno chce iść tą drogą. W polskiej świadomości historycznej zestawienie słów „banda, mordercy i Ukraińcy" kojarzy się jednoznacznie. Jeśli ukraińscy politycy chcą podążać tym tropem, to ich wybór. To jednak bardzo grząski teren.

Sądzę, że wypowiedź pana Kaczki nie była przypadkowa. Wspomniałem wcześniej o historii z polską ciężarówką, która pojechała na Ukrainę z pomocą humanitarną. Kierowca został aresztowany za przekroczenie 20-dniowego terminu pobytu na Ukrainie. Czeka na rozprawę, która została wyznaczona na koniec marca. Ta sprawa to gigantyczny skandal. Moim zdaniem wypowiedź Tarasa Kaczki została nagłośniona po to, żeby ten skandal przykryć.

Ukraińców szczególnie oburzyło rozsypanie zboża z ich ciężarówek w Dorohusku. Nie poszliście za daleko?

Nasza akcja wpisuje się w rolnicze protesty, które trwają w całej Europie. Rolnicy we Francji czy Hiszpanii działają znacznie bardziej radykalnie niż my. Na swoim profilu na Facebooku udostępniłem film, na którym widać, jak francuscy rolnicy zatrzymują ukraińską ciężarówkę z jajkami, niszczą ładunek i pojazd. Czy widział pan, żeby w Polsce rolnicy kiedykolwiek niszczyli ukraińskie ciężarówki?

Kontekst jest ważny. To nie pierwszy raz, kiedy podczas rolniczych protestów w Polsce rozsypywane jest zboże. Tak robił Lepper. Wie pan, jaki jest koszt wysypania tych kilkuset kilogramów zboża? To poniżej 2 tys. zł, więc szkodliwość tego rodzaju aktów rolniczej desperacji jest znikoma. Należało się spodziewać, że taka demonstracja wywoła reakcję polityczną na Ukrainie i rozmaite naciski. Jednak to, co stało się w Dorohusku, ma się nijak do tego, co ma miejsce w Europie Zachodniej, gdzie ciężarówki z ukraińską żywnością są spychane do rowów i niszczone.

W polskiej polityce i mediach cały czas obowiązuje dogmat o konieczności bezwarunkowej pomocy dla Ukrainy, co ma być ceną naszego bezpieczeństwa. Przekazaliśmy Ukraińcom uzbrojenie warte miliardy złotych. Na rzecz Ukraińców będących w Polsce cały czas realizowane są wielomiliardowe transfery społeczne. Obserwując polskie umizgi wobec Ukrainy, trudno oprzeć się wrażeniu, że zarówno władze w Kijowie, jak i zdecydowana większość zwykłych Ukraińców bez skrupułów wykorzystują nasze pozytywne nastawienie.

Rozmawiam często ze zwykłymi Ukraińcami, więc mam miarodajny obraz tego, jak oni nas postrzegają. My w Polsce żyjemy w bańce. Wydaje się nam, że skoro pomagaliśmy i pomagamy Ukraińcom, to możemy oczekiwać z ich strony wdzięczności, a przynajmniej uznania. To jest nasza optyka. Ich optyka jest inna. Oni mówią tak: „Wyście nam pomogli, bo jesteście w Unii Europejskiej. Unią rządzą Niemcy, więc to oni kazali wam pomagać. Oni dają wam pieniądze. Gdyby nie to, pozdychalibyście z głodu". Ukraińcy postrzegają nas jako państwo klienckie wobec Niemiec. W ich oczach nie mamy żadnej podmiotowości.

> **Ukraińcy widzą, że otworzyło się im okienko na szybkie dorobienie się. Przegra ten, kto będzie miał skrupuły**

Polska nie ma żadnej podmiotowości państwowej, a jednak Związek Ukraińców w Polsce domaga się przyznania im praw wyborczych – na razie w wyborach samorządowych. Te dążenia popiera m.in. minister sprawiedliwości, Adam Bodnar. To dobry pomysł?

Proszę zwrócić uwagę, że wojna w Czeczenii zakończyła się w 2003 r. Rosja przeprowadziła anihilację narodu czeczeńskiego. Szacuje się, że wymordowano nawet 30 proc. Czeczenów. Minęło 20 lat, jedno pokolenie, i widzimy Czeczenów walczących ramię w ramię z Rosjanami przeciw Ukraińcom. Kto da nam gwarancję, że podobnej wolty w stronę Rosji w ciągu dekady czy dwóch nie wykonają Ukraińcy? Rządy Janukowycza pokazują, że to realny scenariusz. Co wtedy nastąpi, kiedy będziemy mieli za sąsiada zorientowaną prorosyjską Ukrainę, a u siebie 2 mln wyposażonych w prawa wyborcze Ukraińców?

Załóżmy taki scenariusz: spełnia się europejski sen władz w Kijowie. Stowarzyszona z Unią Ukraina, całkowicie lojalna wobec Niemiec, a do tego upodmiotowiona politycznie mniejszość ukraińska w Polsce. Co to może oznaczać z perspektywy naszego państwa?

Oni wykonają rozkazy z Kijowa – czy to na rzecz Moskwy, czy to Berlina. Niestety, polskie państwo nie oczekuje od Ukraińców żadnej lojalności, a to nie wróży nic dobrego. Według zasad astronomii większa planeta przyciąga mniejszą. W wymiarze cywilizacyjnym czy państwowym ta większa planeta musi mieć prosperującą gospodarkę lub siłę militarną, co się ze sobą bezpośrednio wiąże, żeby przyciągać mniejsze planety. Musi czymś imponować, tak jak Rzeczpospolita w czasach swojej prosperity. Przyciągać kulturowo, tak że przedstawiciele innych nacji będą chcieli dobrowolnie przyjmować polskość. Dziś też ochoczo udostępniamy Ukraińcom część naszej przestrzeni publicznej i kulturowej, ale oni nie traktują tego jako gestu, zachęty do asymilacji, lecz uważają to za przejaw naszej słabości. Tu się kłaniają Feliks Koneczny i jego diagnoza cywilizacji turańskiej.

Czego oczekują od państwa polskiego ludzie, którzy protestują dziś w Dorohusku i setkach innych miejsc w Polsce w obronie swoich gospodarstw i firm, przeciw unijnemu „zielonemu ładowi" i zalewaniu Polski tanią, niespełniającą wymaganych norm żywnością z Ukrainy?

Tu nie tylko chodzi o rolników czy transportowców. Na proteście 9 lutego mieliśmy m.in. pszczelarzy. Dzwonią do nas producenci pelletu czy złomiarze. Wszystkie te branże są mniej lub bardziej poszkodowane przez otwarcie na Ukrainę. Ponadto Ukraińcy widzą doskonale, że otworzyło im się gospodarcze okienko możliwości na szybkie dorobienie się. Przegra ten, kto będzie miał skrupuły. Tak to działa. Gdybym był Ukraińcem, to pewnie też kombinowałbym, jak tę sytuację najlepiej wykorzystać. Polski rząd powinien w tych okolicznościach zachowywać się maksymalnie asertywnie i zadbać o interes naszych ludzi i firm. Jeżeli Niemcy chcą jeść chleb techniczny, to proszę bardzo. Jeśli chcą jeść zboże techniczne, to niech jedzą. My, w Polsce, powinniśmy mieć prawo do własnych uregulowań w sprawie tego, co jest do nas przywożone czy wprowadzane do obrotu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c7853be07a

FOT. ADOBE STOCK

Orka na ugorze

Andrzej Solecki

Uświadomienie sobie korzyści płynących z ugorowania powinno pozwolić na uracjonalnienie walki z unijnymi wymaganiami

Jan Wiktor, pisząc swoją wydaną w roku 1935 książkę „Orka na ugorze", nagrodzoną przez Polską Akademię Literatury Złotym Wawrzynem Akademickim, nie mógł zapewne przypuszczać, że prawie 90 lat później jej tytuł doskonale wpisze się w sytuację polskiego i europejskiego rolnictwa.

Burzliwe strajki rolników, które obecnie ogarnęły również Polskę, związane są m.in. z problematyką ugorowania i uprawą roli. Zielone szaleństwo klimatyczne, któremu ulegli decydenci Unii Europejskiej i niestety znaczna część świata akademickiego, porównane może być tylko z sowiecką nową biologią nawiązującą do teorii Lamarcka o dziedziczeniu cech nabytych łysenkizmem, zwanym w Związku Sowieckim „twórczym darwinizmem sowieckim".

Widząc absurdy tej nowej lewackiej ideologii, nie należy jednak zapominać o racjonalnych elementach, które legły u podstaw jej narodzin. Takimi elementami są ugorowanie oraz płodozmian i dobrze byłoby przypomnieć o ich historii, tak aby kiedy elity zrozumieją bezsens zielonej ideologii, na fali jej odrzucania nie wylać dziecka z kąpielą.

ŻYZNA GLEBA

Uprawa roślin wymaga obecności w glebie pierwiastków niezbędnych do ich rozwoju. Szczególnie ważne i niezbędne w dużych ilościach są potas, wapń, magnez, fosfor, siarka i azot. Pierwsze pięć z nich zazwyczaj pochodzi z wietrzenia skał podłoża, na którym wytworzyła się gleba. Każdy rolnik wie, że skały podłoża mają znaczący wpływ na jakość gleb. Tu szczególnie uprzywilejowana jest Ukraina, gdzie drobnoziarniste podłoże lessowe umożliwia pionowe podsiąkanie wód gruntowych na zasadzie wzniosu kapilarnego, analogicznego do procesu zachodzącego przy zanurzeniu bawełnianej tasiemki w wodzie. Wznios kapilarny sprzyja ługowaniu niezbędnych pierwiastków ze znacznej części profilu lessowego i zapewnia ich wieloletnią dostawę. W rezultacie tego procesu przy sprzyjających warunkach klimatycznych miąższość nagromadzonego poziomu próchniczego może przekraczać 100 cm. Ponieważ plony różnych roślin wyprowadzają z gleby sobie właściwy zestaw pierwiastków, to nawet w tak korzystnym przypadku wieloletnie uprawianie tych samych roślin może prowadzić do ich deficytu.

Praktycznie całość z niezbędnych pierwiastków może powrócić do gleby przy autarkicznej gospodarce rolnej w wyniku zasilania gleby odchodami ludzi i zwierząt, które wykarmiono pozyskanymi plonami. Przy rolnictwie towarowym i sprzedaży płodów rolnych, które wypadają z lokalnego obiegu pierwiastków, niezbędne staje się zasilanie nawozami „sztucznymi", które w wielu wypadkach są produkowane ze skał występujących w różnych częściach świata (np. fosforyty z Maroka, sole potasowe z Białorusi). Ostatni z wymienionych uprzednio pierwiastków, azot, zasadniczo pochodzi z powietrza i jest wiązany przez rośliny motylkowe dzięki bakteriom występującym w ich brodawkach korzeniowych. Złoża saletry i guana, zawierające związki azotu, mają obecnie marginalne znaczenie i produkcja sztucznych nawozów azotowych poprzez pozyskiwanie związków azotu z powietrza prowadzona jest w oparciu o bardzo energochłonny proces Habera Boscha.

Ideę wykorzystania nawozów sztucznych opisał już wielki polski encyklopedysta z zakresu nauk przyrodniczych, ks. Krzysztof Kluk, który w swoim wydanym w roku 1779 dziele „O rolnictwie, zbożach, łąkach, chmielnikach, winnicach i roślinach gospodarskich" stwierdzał że: „Kreda która się mniey więcey w marglu nayduje, wielkie jest podobieństwo, iż nie czym jest, tylko z pokruszonych i skamieniałych muślów, te więc wiele w sobie zawierają cząstków żyznych, i przez tłustość mniey więcej w marglu się najdującą z powietrza ziemi, i zewsząd żyzne jeszcze do siebie pociąga cząstki".

EWOLUCJA

Zabezpieczenie potrzeb żywnościowych człowieka w początkowym okresie polegało na gospodarce zbieracko-łowieckiej; później doszło do tzw. rewolucji neolitycznej, czyli uprawy roślin. Pola pod uprawę pozyskiwano zazwyczaj poprzez wypalanie

eprasa.pl c7853be07a

pierwotnej pokrywy roślinnej (gospodarka żarowa). Pozostawiony na polu popiół zawierał znaczne ilości pierwiastków niezbędnych do rozwoju roślin. Korzyści z gospodarki żarowej znane były również ks. Klukowi, który pisał: „Popioły bowiem są z spalonych roślin, tych zaś żyzne cząstki są, iż tak nazwę, nieśmiertelnymi: z jednych zepsowywanych ulatując, osiadają znowu, aby się drugim przysługowały".

Zapewne już niedługo po wprowadzeniu rewolucji neolitycznej zauważono, że z upływem lat ziemia traci swoją żyzność i może odzyskać ją po pozostawieniu jej odłogiem na kilkanaście lat.

Mechanizm zapobieżenia temu zjawisku opisano już w Biblii poprzez zastosowanie tzw. roku szabatowego. W Księdze Wyjścia 23, 10–11 napisano: „Przez sześć lat będziesz obsiewał ziemię i zbierał jej płody, a siódmego pozwolisz jej leżeć odłogiem i nie dokonasz zbioru, aby mogli jeść ubodzy z twego ludu, a resztę zjedzą dzikie zwierzęta. Tak też postąpisz z twoją winnicą i z twoim ogrodem oliwnym".

W Księdze Kapłańskiej 25, 20–22 opisano ewidentne korzyści z odłogowania ziemi: „Jeżeli zaś powiecie: co będziemy jedli w siódmym roku, jeżeli nie będziemy siali ani zbierali plonów? Ześlę wam błogosławieństwo w szóstym roku, tak że plony wystarczą na trzy lata. W ósmym roku będziecie siać i będziecie jeść z dawnych plonów. Aż do dziewiątego roku, aż do nowych plonów będziecie jedli dawne [plony]".

Marta Błąd na łamach „Collectanea Theologica" 2016, t. 86, nr 3 zwraca uwagę, że w Biblii nie podaje się, czy rok szabasowy miał charakter powszechny czy też liczony był od daty rozpoczęcia uprawy. Ta ostatnia interpretacja wskazuje na możliwość wypełnienia Bożych zaleceń poprzez pozostawienie corocznie jednej siódmej ziemi odłogiem.

W związku z koniecznością intensyfikacji produkcji rolnej system odłogowy został zastąpiony przez ugorowanie, w trakcie którego prowadzono niezbędne zabiegi agrotechniczne.

Kolejnym etapem w rozwoju gospodarki rolnej była w Europie tzw. rewolucja średniowieczna. Wiązała się ona ze zniesieniem niewolnictwa, kiedy to wolni chłopi stali się podstawowymi producentami żywności. Pańszczyzna była początkowo formą bezgotówkowej opłaty dzierżawnej i nie wiązała się z osobistym niewolnictwem, a jej drastyczne wynaturzenie pojawiło się dopiero w epoce nowożytnej. W średniowieczu pojawiło się również innowacyjne podejście do nawożenia. Było to związane z wprowadzeniem tzw. trójpolówki. Została ona zapoczątkowana w Europie Zachodniej przez cesarza Karola Wielkiego. W Polsce wprowadzali ją cystersi od drugiej połowy XII w. Umożliwiła ona wykorzystywanie tej samej ziemi w obiegu niejako zamkniętym, cyklicznym, poprzez kolejne etapy ugorowania – wykorzystywania ziemi jako pastwiska oraz obsiewania zbożem ozimym i jarym. Ugorowanie ziemi i wypasanie na niej bydła sprzyjało gromadzeniu się związków azotu z wydalanego przez zwierzęta moczu.

Od połowy XVIII w. wprowadzono zamiast ugorowania uprawę roślin motylkowych, których symbioza z bakteriami brodawkowymi umożliwia wyłapywanie azotu atmosferycznego. Także w tej materii prekursorem był nieoceniony ks. Kluk, który jako duchowny zapewne znał przywołane powyżej cytaty z Biblii i twórczo dostosował je do polskich realiów, zalecając odłogowanie/ugorowanie połączone z zasiewem roślin motylkowych: „Jest na przykład pole daleko oddalone za przeprawami; Zamiast trudów nawozu albo zasieją się na łąki, i po kilku leciech na długi czas staną się urodzajnemi; albo zasieją się ziołami soczystymi, które w najlepszym wzroście przyorane gnijąc w ziemi, staną za nawóz: takie są grochy boby, wyki".

PODSTAWA

Wiemy obecnie, że hektar roślin motylkowych w naturalnym ekosystemie może związać z powietrza do 84 kg azotu rocznie. Przy wykorzystaniu preparatów bakteryjnych dostosowanych do różnych gatunków roślin motylkowych można osiągnąć związanie nawet 600 kg azotu na hektar rocznie. Dla porównania: nawóz mocznikowy o zawartości 46 proc. azotu kosztuje 1890 zł brutto bez kosztów transportu. Wynika z tego, że płodozmian na jednym hektarze przy wykorzystaniu roślin motylkowych i preparatów bakteryjnych może związać w ciągu roku ilość azotu, która przy zastosowaniu nawozu mocznikowego kosztowałaby 2465 zł, bez preparatów bakteryjnych byłoby to ok. 345 zł.

Dla porównania: w roku 2023 podstawowe wsparcie dochodów do celów równoważności wynosiło 502,35 zł/ha.

Uświadomienie sobie korzyści płynących z ugorowania powinno pozwolić na uracjonalnienie walki z unijnymi wymaganiami. Trzeba pamiętać, że w roku 2024 rolnicy, jeżeli chcą otrzymać dopłaty bezpośrednie, to będą zobowiązani do spełnienia wymogów normy GAEC 8 (Good Agricultural and Environmental Conditions), czyli ugorowania 4 proc. gruntów ornych. Jak już wspomniano, ugorowanie w przeciwieństwie do odłogowania wymaga wielu zabiegów agrotechnicznych, ale problem ten można rozwiązać przez wprowadzenie stosownej rekompensaty finansowej.

Rozsądne rozwiązanie zaproponowano w Apelu Zarządu Lubelskiej Izby Rolniczej, opublikowanym 14 listopada 2023 r. na portalu cenyrolnicze.pl, wzywającym do zwolnienia z konieczności ugorowania gospodarstw posiadających produkcję zwierzęcą albo uznania za spełnienie tego warunku poprzez posiadanie w strukturze upraw roślin takich jak: groch, łubin, soja, koniczyna, co pozwoli na rozwinięcie produkcji roślin białkowych na pasze wolne od GMO.

Na szczególne zainteresowanie zasługuje postulat uprzywilejowania gospodarstw posiadających obok roślinnej produkcję zwierzęcą. Jest to optymalne rozwiązanie dla stosunkowo niewielkich gospodarstw rodzinnych. Produkcja zwierzęca w oparciu o własną paszę umożliwia stworzenie dodatkowych miejsc pracy i przesunięcie się w górę łańcucha wartości oraz proekologiczne zagospodarowanie odchodów do nawożenia. Rozwiązanie takie może zwiększyć konkurencyjność stosunkowo niewielkich gospodarstw rodzinnych w stosunku do wielkich agroholdingów, charakterystycznych zwłaszcza dla Ukrainy. Wspieranie rodzinnych gospodarstw rolnych nie jest sprzeczne z ideą wolnego rynku. Autor tych słów pamięta deklarację Johna Gummera, ministra rolnictwa, rybołówstwa i żywności w trzecim jak najbardziej wolnorynkowym rządzie Margaret Thatcher, który w roku 1990 stwierdził, że rząd ten będzie wspierał angielskich farmerów, ponieważ są oni podstawą angielskiego stylu życia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest profesorem na Uniwersytecie Wrocławskim.

eprasa.pl c7853be07a

Zuckerberg odrabia straty

Jacek Przybylski

Firma Meta, spółka matka Facebooka i Instagrama, tylko w czwartym kwartale 2023 r. wypracowała 14 mld dol. zysku i wypłaci pierwszą w swej historii dywidendę. Z serwisów platformy Meta dwie dekady po uruchomieniu Facebooka korzystają już niemal 4 mld osób

Dwadzieścia lat temu uruchomiłem pewną rzecz. Od tego czasu dołączyło do nas mnóstwo niesamowitych ludzi i stworzyliśmy jeszcze więcej wspaniałych rzeczy. Nadal się tym zajmujemy, a najlepsze dopiero przed nami" – ogłosił na Facebooku i Instagramie Mark Zuckerberg.

CZTERY MILIARDY CORAZ BLIŻEJ

Założony w lutym 2004 r. Facebook (następca nieudanego projektu Facemash) początkowo był serwisem stworzonym z myślą o studentach i absolwentach Uniwersytetu Harvarda. Szybko stał się popularny na kampusach innych elitarnych uczelni w USA. W 2006 r. konto na Facebooku mógł już założyć każdy mieszkaniec USA, który miał co najmniej 13 lat. W roku 2008 zadebiutowała polska wersja serwisu.

Obecnie, po dwóch dekadach od uruchomienia serwisu, z usług koncernu

eprasa.pl c7853be07a

Podczas przesłuchania w Senacie USA Mark Zuckerberg przeprosił rodziny, w których dzieci stały się ofiarami treści wyświetlanych na platformach Meta FOT. BRENDAN SMIALOWSKI/AFP/EAST NEWS

Marka Zuckerberga korzysta już ponad jedna trzecia ludzkości. Łącznie z serwisów Meta – tak od 2021 r. nazywa się firma matka m.in. Facebooka, Instagrama i WhatsAppa – korzysta już codziennie 3,19 mld osób na całym świecie, a przynajmniej raz w miesiącu 3,98 mld internautów. Sam Facebook pochwalił się 2,11 mld użytkowników, którzy korzystają z niego codziennie. Liczba internautów, którzy zaglądają na tę platformę co najmniej raz w miesiącu, wyniosła 3,07 mld.

A jednak gdy dwa lata temu serwis osiągnął pełnoletność, wielu inwestorów zaczęło wątpić w przyszłość koncernu Meta. W 2022 r. nastroje wokół spółki można było określić już nie tyle jako pesymistyczne, ile niemalże grobowe. Wartość akcji spółki, która w 2020 r. osiągnęła wartość ok. 380 dol., runęła do poziomu poniżej 100 dol. Portale finansowe i technologiczne pytały wówczas wprost: „Czy to początek końca Facebooka?". Analitycy przestali zaś stawiać koncern Zuckerberga obok takich gigantów jak Apple, Microsoft czy Amazon. Część akcjonariuszy utraciła bowiem wiarę w możliwość dalszego rozwoju serwisu, zdolność serwisu do zdobywania kolejnych młodych użytkowników (w pewnym momencie zarówno Facebook, jak i Instagram zaczęły być traktowane niczym społecznościowe platformy „dla starszych ludzi"), a także straciła wiarę w przywódcę koncernu Meta. Mark Zuckerberg stał się bohaterem memów z podpisem: „A mogłem uprawiać marchew".

WIELKIE ODCHUDZANIE

Mark Zuckerberg, cudowne dziecko biznesowego świata nowych technologii, gdy zakładał Facebook, miał zaledwie 20 lat. Kolejną bardzo ważną decyzję w życiu podjął w wieku 28 lat: nabycie Instagrama w 2012 r. za 1 mld dol. szybko okazało się biznesowym strzałem w dziesiątkę. W tym samym roku Zuckerberg – świeżo upieczony miliarder i jeden z najbardziej atrakcyjnych finansowo kawalerów w Stanach Zjednoczonych – wypowiedział także sakramentalne „tak". Wygląda na to, że to również była dobra decyzja, bo jego o rok młodsza wybranka Priscilla Chan do dziś stoi u boku męża.

Para z pewnością nie może narzekać na finanse, choć we wspomnianym wcześniej roku 2022 topniejące notowania spółki Meta Platforms sprawiły, że Mark Zuckerberg w ciągu jednego roku stracił kilkadziesiąt miliardów dolarów, spadając w rankingu najbogatszych ludzi świata o kilkanaście pozycji. „Meta zdryfowała do krainy nadmiaru – za dużo ludzi, za dużo pomysłów, za mało pilności. Ten brak koncentracji i sprawności jest możliwy do ukrycia, gdy mamy łatwy wzrost, ale zabójczy, gdy ten wzrost spowalnia" – ostrzegał inwestor Brad Gerstner z Altimeter Capital.

3,98 mld osób

TYLU INTERNAUTÓW W OSTATNIM KWARTALE 2023 R. KORZYSTAŁO Z SERWISÓW META

Aby odzyskać zaufanie inwestorów, szef Meta Platforms zdecydował więc o pilnym wdrożeniu pokuty za biznesowe błędy gigantycznego koncernu. Zuckerberg o jedną piątą zredukował zatrudnienie w koncernie (w listopadzie 2022 r. Meta Platforms zwolniła 11 tys. osób, czyli ok. 13 proc. zatrudnionych, a w marcu 2023 r. koncern ogłosił kolejną redukcję, tym razem o 10 tys. osób), ograniczył zbędne koszty (spółka ogłosiła, że 5 tys. wakatów pozostanie nieobsadzonych) oraz zakończył przynajmniej

REKLAMA

eprasa.pl c7853be07a

część nierentownych projektów. Firma zaprzęgła również sztuczną inteligencję do polepszenia wyników oferowanych reklam.

Te działania przyniosły spektakularne efekty. W ostatnim kwartale 2023 r. przychody Meta wzrosły o jedną czwartą – do 40,11 mld dol. – a kwartalne zyski potroiły się w porównaniu z ostatnim kwartałem 2022 r. i wyniosły aż 14 mld (!) dol.

Od początku 2024 r. wartość akcji Meta Platforms wzrosła już o ponad 30 proc. do ponad 460 dol. Wartość rynkowa spółki przekroczyła zaś znów 1 bln dol., choć w 2022 r. wyceniana była już na „zaledwie" 236 mld dol. Aby przekonać do siebie inwestorów, spółka ogłosiła zaś, że pierwszy raz od dwóch dekad zamierza wypłacić dywidendę (50 centów na akcję).

Wartość majątku Marka Zuckerberga w ubiegłym tygodniu Bloomberg szacował na 165 mld dol., co dawało założycielowi Facebooka czwarte miejsce na liście najbogatszych ludzi świata (za Bernardem Arnaultem, ale już przed Billem Gatesem).

KREW NA RĘKACH?

Przez ostatnie dwie dekady platformie kierowanej przez Zuckerberga wyrośli potężni konkurenci, jak Twitter czy chiński TikTok. Spółka musi sobie również radzić z coraz ostrzejszymi przepisami dotyczącymi ochrony prywatności, które zmniejszały możliwość tworzenia reklam ukierunkowanych na niektóre grupy odbiorców.

Politycy po obu stronach oceanu mają coraz większą świadomość negatywnych skutków funkcjonowania platform społecznościowych. Facebooka i inne serwisy regularnie stawia się więc pod pręgierzem za dezinformację, potęgowanie podziałów społecznych i politycznych czy umożliwianie wpływu na wynik wyborów.

Prowadzenie serwisów społecznościowych coraz częściej przypomina więc poruszanie się po polu minowym. Kierowany przez Zuckerberga koncern na razie sprawnie rozbraja jednak kolejne bomby. Gdy unijni urzędnicy chcieli karać spółkę za ograbianie użytkowników z prywatności, Facebook i Instagram zaoferowały internautom płatną wersję, w której za korzystanie z serwisów nie trzeba płacić swoimi prywatnymi danymi, ale można już posłużyć się pieniędzmi (od listopada również w Polsce użytkownicy mogą przejść na płatną wersję serwisu; koszt: 9,99 euro miesięcznie).

Założycieli Facebooka czekają jednak kolejne prawno-polityczne batalie. Z wewnętrznych dokumentów koncernu upublicznionych w 2021 r. przez Frances Haugen wynikało bowiem, że firma kierowana przez Zuckerberga doskonale wie, że nie robi wystarczająco dużo, aby walczyć z nienawiścią, groźbami przemocy czy z dezinformacją. „Szacujemy, że podejmujemy działania w przypadku zaledwie 3–5 proc. przypadków hejtu i 0,6 proc. przemocy i podżegania, mimo tego, że jesteśmy w tym najlepsi na świecie". „Wielokrotnie obserwowałam konflikt interesów między tym, co dobre dla ogółu społeczeństwa, a tym, co jest dobre dla Facebooka" – tłumaczyła Haugen na antenie CBS.

165 mld dol.

NA TYLE W UBIEGŁYM TYGODNIU SZACOWANY BYŁ MAJĄTEK MARKA ZUCKERBERGA

Do sprawy chętnie wracają amerykańscy politycy. – Chociaż wiem, że nie chce pan, aby tak było, to ma pan krew na rękach. Posiada pan produkt, który zabija ludzi – tymi słowami republikański senator Lindsey Graham zwrócił się do Marka Zuckerberga na początku lutego 2024 r. podczas przesłuchania w Kongresie, które poświęcone było bezpieczeństwu najmłodszych użytkowników mediów społecznościowych.

Szef Meta Platform, który przez ostatnie lata musiał nauczyć się zarządzać gigantycznym koncernem, a zwłaszcza lawirować między oczekiwaniami reklamodawców i prawodawców, został zmuszony nie tylko do publicznego odpowiadania na serię wyjątkowo nieprzyjemnych pytań, lecz także do przeproszenia rodziców i krewnych dzieci, które padły ofiarami przemocy i molestowania, a niekiedy nawet odebrały sobie życie w wyniku internetowego hejtu ze strony rówieśników.

Prawodawcy żądają od Meta, aby walczył z fake newsami i mową nienawiści. Jednocześnie Facebook w różnych krajach, w tym w Polsce, był też oskarżany o próby ograniczenia swobody wypowiedzi niektórych polityków i organizacji (w 2022 r. serwis społecznościowy zawiesił np. profil Konfederacji). Administrator Facebooka uznał bowiem wówczas, że strona Konfederacji „wielokrotnie naruszała standardy społeczności".

Na szybkości i mnogości postów i memów często tracą nie tylko wolność wypowiedzi, lecz także wiarygodność przekazywanych informacji. A przecież platformy społecznościowe coraz częściej będą musiały radzić sobie z zaawansowanymi technologicznie manipulacjami typu deep fake. Jeśli zawiodą, to politycy ruszą do akcji, a to może uderzyć w biznesy, których przychody bazują na reklamach (w przypadku Facebooka pieniądze od reklamodawców stanowiły w 2023 r. 97,8 proc. wszystkich przychodów). Algorytmy uwielbiają zaś sporne tematy, bo to one sprawiają, że użytkownicy więcej komentują, lajkują i spędzają w serwisach więcej czasu, generując przychody dla platform społecznościowych.

Meta musi bronić przychodów z reklam, bo nie zdołała przejąć od serwisów typu Tinder dużej porcji biznesu randkowego ani stać się rywalem dla rozrywkowych treści Netflixa (Facebook Watch). Mimo rekordowych wyników część inwestorów i analityków uważa, że Zuckerberg mógł utracić wyczucie potrzeb internautów i wątpi w sens wizji budowy utopijnego świata Metaverse, czyli przekształcenia Facebooka z największej na świecie platformy społecznościowej w zupełnie nowy wirtualny świat. Co prawda, część spółki odpowiedzialna za rozwój metawersum w czwartym kwartale pierwszy raz wygenerowała 1 mld dol. przychodów, ale wciąż kosztuje więcej, niż zarabia. Czy rację mają więc ci, którzy uważają, że Zuckerberg – który do młodzieży już dawno nie należy, a 14 maja obecnego roku będzie mógł oficjalnie nagrać rolkę, na której śpiewa „Czterdzieści lat minęło…" – nie jest już właściwą osobą, aby sprostać wyzwaniom, przed którymi stoi Meta? Przekonamy się niebawem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c7853be07a

MERCEDES GLC 300 DE

FOT. JAP

Rewolucja w motoryzacji trwa. Na szczęście urzędnicy i ekolodzy nie zabronili jeszcze łączenia dwóch, zdawałoby się, bardzo odmiennych światów. Inżynierowie niemieckiej marki stworzyli więc hybrydę, która ma łączyć największe zalety dwulitrowego silnika Diesla (zasięg, moc i przyjemność ekonomicznego podróżowania) z najmocniejszymi stronami napędu elektrycznego (dynamika w mieście i cisza w kabinie).

Wprawdzie producenci rzadko decydują się na hybrydy będące połączeniem napędu elektrycznego z silnikiem wysokoprężnym, ale podczas naszego testu okazało się, że takie połączenie ma dużo zalet. Po mieście można się poruszać, korzystając niemal wyłącznie z energii elektrycznej. Wyjeżdżając na autostrady, nie trzeba zaś obawiać się o dostępność stacji ładowania ani trzymać się kurczowo 120 km/h. Mercedes GLC 300 potrafi mknąć z prędkością 219 km/h, a mimo wysokiej masy nie ma wcale dużego apetytu na paliwo. Średnie spalanie podczas testu w mieście, na drogach krajowych, ekspresówce i autostradzie wyniosło 7,2 l/100 km, przy czym poruszając się tylko na drogach krajowych, bez trudu można zejść poniżej 5 l/100 km.

Maksymalna moc układu hybrydowego to 333 KM (197 KM + 136 KM). Maksymalny moment obrotowy wynosi zaś aż 750 Nm. Dynamiczne auto na sprint od zera do pierwszej setki potrzebuje 6,4 s. Oczywiście GLC w wersji AMG potrafi rozpędzić się do setki w zaledwie 3,5 s, ale jak na hybrydę jest naprawdę nieźle. Dodatkowo ogniwa rozmieszczone pod podłogą sprawiają, że auto prowadzi się tak, jakby było niemal przyklejone do asfaltu. W trudniejszych warunkach docenić można też napęd na obie osie (4Matic). Jednocześnie w mieście w trybie bezemisyjnym Mercedes GLC 300 de porusza się jak typowy, pełnoprawny elektryk. Podawany przez producenta zasięg elektryczny (EAER) wynosi 127 km. W warunkach pozalaboratoryjnych jest to trudne do osiągnięcia, ale 100 km jest już realne. Dla osób dojeżdżających do pracy nawet spod dużych miast taki zasięg powinien być więc wystarczający, aby niemal cały czas jeździć elektrykiem, a w razie czego mieć zapas diesla na długie trasy. Zaletą testowanego modelu jest też wysoka moc ładowania baterii, dzięki której jej ładowanie trwa ok. 30 min. Auto „do pełna" można więc naładować podczas zakupów, postoju pod biurem czy w domowym garażu (zwłaszcza jeśli ktoś latem cierpi na nadmiar energii z fotowoltaiki).

W kabinie jest komfortowo i nowocześnie. Kufer ma 545 l pojemności. To mniej niż w przypadku wersji bez hybrydy, ale tragedii nie ma. Po złożeniu tylnych foteli mercedes oferuje 1490 l przestrzeni.

Jak na hybrydę Mercedes GLC 300 de nie jest też koszmarnie drogi. W najtańszej wersji kosztuje bowiem 331,4 tys. zł brutto. Do AMG trzeba dopłacić ok. 25 tys. zł. Oczywiście dodatków za kolejne dziesiątki tysięcy nie brakuje, ale bazowa cena jest zaskakująco przyzwoita.

KAMERA TP-LINK TAPO C520WS

Bardzo szeroki zasięg widzenia, jasny obiektyw, wysoka odporność na warunki atmosferyczne, prosta konfiguracja i niezły stosunek ceny do jakości – to największe zalety nowej obrotowej kamery wi-fi do monitoringu chińskiej marki TP-link.

Niewielkie, dobrze wykonane urządzenie przeznaczone jest do montażu na zewnątrz (klasa szczelności to IP 66). To ciekawy model dla tych, którzy chcą mieć baczenie na różne części ogrodu, ale nie chcą zamieniać swej nieruchomości w twierdzę z kilkoma kamerami. Urządzenie jest bowiem wyposażone w funkcję obrotu o 360 st. oraz pochyłu o ponad 130 st. Kamerę z Internetem można połączyć bezprzewodowo (poprzez wi-fi) lub przewodowo kablem Ethernet.

Tapo C520WS nagrywa w rozdzielczości 2K QHD (2560 x 1440). Szału nie ma, ale dla wielu użytkowników taka jakość powinna być już wystarczająca. Dużym plusem testowanej kamery jest obiektyw o jasności F/1.6, który sprawia, że umożliwia ona rejestrację kolorowego obrazu nawet w bardzo słabych warunkach oświetleniowych. Kamera jest też uzbrojona w diodę podczerwieni, która umożliwia monitoring ogrodu również w nocy.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Bardzo przydatna jest także funkcja wykrywania osób, zwierząt i pojazdów. Można także wyznaczyć strefy, których naruszenie wzbudzi alarm kamery, a także narysować nieprzekraczalne dla intruzów linie. Kamera może śledzić obiekt. Ma również opcję patrolu, czyli prowadzi monitoring, poruszając się między wyznaczonymi punktami. Nagrania można przechowywać w chmurze (dodatkowo płatna) lub za darmo na karcie SD (trzeba ją jednak dokupić).

Do odstraszenia potencjalnego włamywacza użyć można alarmu dźwiękowego i świetlnego, przy czym muszę przyznać, że niewielkie diody pozytywnie zaskoczyły mnie natężeniem emitowanego światła.

Minusem jest brak możliwości obserwowania terenu z ekranu komputera za pomocą oprogramowania producenta. Jest oczywiście prosta w obsłudze aplikacja na smartfony i tablety, ale aby połączyć się z kamerą z PC, trzeba już się trochę nakombinować. I chociaż profesjonalne kamery oferują już rozdzielczość 4K, to stosunek ceny do jakości jest tu całkiem niezły. Testowany model można kupić za 459 zł.

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl c7853be07a

Uproszczony obraz Syberii, wzmocniony przez literaturę, opowiada o lodowym piekle, nieludzkiej ziemi, krainie wiecznych śniegów i tęsknoty FOT. ADOBE STOCK

Polski ślad na rubieżach Syberii

Jacek Pałkiewicz

Ponad dziesięć lat temu w Pietropawłowsku Kamczackim odsłonięto tablicę pamiątkową poświęconą Benedyktowi Dybowskiemu, zesłańcowi politycznemu, wybitnemu badaczowi zauralskiej krainy

Linka nieco się zacięła i zebrane zacne towarzystwo wstrzymało oddech. Wystawieni na lutowy mróz, który władał Kamczatką dekadę temu, stali przedstawiciele władz Pietropawłowska Kamczackiego, jego regionu oraz delegat MSZ Federacji Rosyjskiej. Szarpnąłem mocniej i oto opadła zasłona z przywiezionego przeze mnie marmurowego reliefu. Zimowe słońce padło na napis, którego treść obmyślaliśmy pół roku wcześniej, podczas wyprawy śladami polskich zesłańców z moim asystentem, pisarzem i organizatorem wypraw, Krzysztofem Petkiem.

Sprawa była o tyle skomplikowana, że upamiętnienie Benedykta Dybowskiego, XIX-wiecznego zesłańca, kulturoznawcy, zoologa i lekarza, który przyniósł na Kamczatkę medycynę i uczył mieszkańców półwyspu higieny, rozbijało się o jego przynależność narodową. Naszą misją było oczywiście uwypuklić polskość tego niebywałe zasłużonego człowieka. Rosjanie stawiali temu tamę, twierdząc, że przecież Dybowski, acz rodem z terenów Polski, urodził się jako Rosjanin, Polska bowiem w owych czasach formalnie nie istniała. Kompromis werbalny znaleziony głęboką nocą został

eprasa.pl c7853be07a

Benedykt Dybowski po zesłaniu na Syberię. Zajął się tam pomaganiem ludności i badaniami FOT. ARCHIWUM AUTORA

Tablica poświęcona polskiemu badaczowi w Pietropawłowsku Kamczackim FOT. ARCHIWUM AUTORA

w rezultacie zaakceptowany i pojawił się właśnie teraz, w żółtych promieniach słońca:

PAMIĘCI BENEDYKTA DYBOWSKIEGO POLAKA, PODDANEGO IMPERIUM ROSYJSKIEGO, ETNOGRAFA, LINGWISTY, ZOOLOGA, BADACZA SYBERII I KAMCZATKI, LEKARZA OKRĘGU PIETROPAWŁOWSKIEGO.

Z tablicy spojrzała na nas wyrzeźbiona w brązie twarz brodatego profesora i wszyscy zamyślili się na kilka chwil. Jakże zawiłe losy przywiodły go w to niecywilizowane wówczas i owiane złą sławą miejsce…

Benedykt Tadeusz Dybowski herbu Nałęcz urodził się wiosną 1833 r. w Adamarynie, w pobliżu Mińska – dzisiejszej stolicy Białorusi. Medycynę studiował na Uniwersytecie w Dorpacie (dziś Estonia), później specjalizował się w botanice, paleontologii i medycynie we Wrocławiu oraz w Berlinie. Uniwersytet Jagielloński zaproponował mu objęcie szefostwa katedry zoologii, ale tu na drodze do kariery stanęła jego działalność konspiracyjna. Jako zagorzały polski patriota nie został przez władze austriackie zaakceptowany, przyjął więc stanowisko adiunkta w Szkole Głównej Warszawskiej.

KATORŻNIK CHCE WRÓCIĆ

Status wykładowcy nie był mu jednak pisany. Po nieudanym powstaniu listopadowym, w którym aktywnie uczestniczył, w 1864 r. został skazany na stryczek. Dzięki wstawiennictwu licznych naukowców i nawet samego Bismarcka zamieniono mu to na 12 lat katorgi.

Uproszczony obraz Syberii, wzmocniony przez literaturę, opowiada o lodowym piekle, nieludzkiej ziemi, krainie wiecznych śniegów i tęsknoty, w której pośród mąk i ciężkiej pracy umierali zesłani tam więźniowie. Trzeba historii oddać sprawiedliwość, że dzieje Polaków na rozległej planecie od Uralu do Sachalina to nie tylko dzieje zesłań i śmierci kilku pokoleń Polaków. W nie mniejszym stopniu to również koleje życia dobrowolnych osadników, którzy w sprawowaniu odpowiedzialnych funkcji administracyjnych i gospodarczych upatrywali szans rozwoju kariery zawodowej. Wielu mieszkańców ziem zaboru rosyjskiego wyruszało w poszukiwaniu nowych miejsc życia i pracy, tym samym stając się swoistymi pionierami cywilizacji wschodnich rubieży Rosji i prekursorami postępowych, jak na ówczesne czasy, metod osadnictwa i industrializacji.

Pierwsza podróż Dybowskiego na Syberię była oczywiście efektem wyroku sądowego. Jednak i tu ważną rolę odegrały hart ducha, wiedza i wykształcenie profesora. Zesłany przez Irkuck do Czyty mógł się poddać apatii, jak wielu naszych rodaków. Tymczasem, żyjąc w ubóstwie, natychmiast podjął praktykę lekarską, pomagając miejscowej ludności w zamian za międzynarodową walutę – kury, sery, chleb. Jednocześnie z pasją prowadził badania fauny i flory na zboczach Gór Jabłonowych. Tam z nie mniej uznanym zesłańcem i badaczem, Wiktorem Godlewskim, doprowadzili do kilku odkryć. Dzięki temu obaj po dwóch latach otrzymali pozwolenie zamieszkania we wsi Kułtuk nad Bajkałem.

Nigdy nie zapomnę tego dnia, gdy w roku 2013, podczas wyprawy z Krzysztofem i Grzegorzem, naszym fotoreporterem, stanęliśmy nad południowym brzegiem potężnego Bajkału w miejscu, gdzie przed 150 laty gruntu trzymała się maleńka, drewniana chatynka polskich badaczy. O ich doli opowiadał nam dyrektor miejscowego muzeum, w którym oglądaliśmy liczne pozostałości po zesłańcach. Był tak podekscytowany naszym przybyciem, że na dwie godziny wyrwał się… z własnego wesela!

Tkwiliśmy wówczas w chłodnych powiewach na płaskim brzegu jeziora. Przed nami czerniał zarośnięty porostami, wypalony kwadrat bardzo starych belek. Tyle pozostało po domu, z którego małych okienek Benedykt Dybowski i Wiktor Godlewski spoglądali na sięgającą horyzontu zamarzniętą taflę Bajkału. Drugi, północny brzeg był odległy bardziej niż nasz Hel od Zakopanego. A jednak ci dwaj badacze wyrwali największemu słodkowodnemu akwenowi świata wiele biologicznych tajemnic.

W 1876 r., pozbawiony wcześniej wszelkich praw zesłaniec, „przestępca", wracał teraz do Polski poprzedzony sławą wielkiego uczonego, owacyjnie i z honorami przyjmowany przez świat naukowy Moskwy i Petersburga. Spotkał go zawód – jako były katorżnik nie mógł już liczyć na katedrę naukową. Mimo wielojęzycznych publikacji w Wiedniu czy Pradze nie znalazł dla siebie odpowiedniego miejsca. Dlatego zafascynowany nieokiełznaną przyrodą i kulturą

eprasa.pl c7853be07a

Spotkanie autora z gubernatorem Kamczatki Władimirem Iljuchinem FOT. GRZEGORZ LITYŃSKI

tubylców – pełen energii i gotów na wyzwania – rok później poprosił władze carskie o… zgodę na powrót na Syberię!

Cóż takiego niezwykłego uczynił Benedykt Dybowski na Półwyspie Kamczackim? Aż trudno sobie wyobrazić, ale był pierwszym lekarzem okręgowym działającym na tym terenie, trzykrotnie większym od współczesnej Polski. Oddany całą duszą działalności filantropijnej, zrezygnowawszy z dochodów, poświęcił część swojego majątku na urządzenie pierwszego szpitala dla autochtonów – Koriaków, Itelmenów i nielicznych osiadłych już Rosjan. Nie zapominając o badaniach naukowych, zwalczał epidemię tyfusu i zakładał przytułki dla trędowatych. Bez pomocy rządu kupił konie i renifery – i zawiózł je na Wyspę Beringa, aby ulżyć doli zabiedzonych mieszkańców, regularnie cierpiących głód. Nazwali oni imieniem Polaka jedną z gór.

„ŚWIĘTY CZŁOWIEK"

Wspominam, jak 11 lat temu mieliśmy okazję spotkać jedną z nielicznych przedstawicielek plemienia Itelmenów, które Stalin skazał na wyginięcie. Wiktoria Pietraszew okazała się nie tylko Itelmenką, lecz także filozofem, naukowcem pracującym na miejscowym uniwersytecie. Na nasze odwiedziny w jej domu na zboczach wygasłego wulkanu zareagowała emocjonalnie, długo ściskając nam dłonie i ocierając płynące łzy.

– Dybowski! I wy jesteście także Polakami, chcecie go przypomnieć? To dla mnie święty człowiek! Gdyby nie jego praca, polegająca na spisaniu języka moich przodków i stworzeniu słownika, nie wiedziałabym, jak moi dziadkowie się pozdrawiali i jak kłócili! Nikt poza Dybowskim nie zostawił pisanych źródeł naszej mowy! Dumni z niego są i polscy Sybiracy, których pradziadkowie szukali tu lepszego życia – m.in. Stas Kowalejczyk z Tomska, który nie zna języka, nie zna tradycji, ale odcięty od korzeni nie zatracił tożsamości narodowej i czuje się nostalgicznym Polakiem.

Kiedy w lokalnym radiu opowiadaliśmy o naszej misji odkurzenia polskiego dziedzictwa narodowego za Uralem, wkładu naszych zesłańców, którzy współtworzyli historię Syberii, rozmówcy reagowali z ożywieniem. Gdy Krzysztof zapowiadał napisanie książki o naszej wyprawie i losach Dybowskiego, Godlewskiego, Czerskiego i wielu innych, pytali, czy od razu wyjdzie w ich języku.

Fundamentalne spotkanie odbyło się z gubernatorem Władimirem Iljuchinem. Na pytanie, co mnie sprowadza, opowiedziałem, że wczorajszego dnia zapytałem na ulicy 10 osób, co mówi im nazwisko Benedykta Dybowskiego. Wiedziała tylko jedna. „Pozwolę sobie zaproponować panu zawarcie poufnego sojuszu – dzieliłem się swoim pomysłem przed towarzyszącymi nam kamerami telewizji. – Ja przywiozę tablicę pamiątkową tej zasłużonej dla regionu postaci, która odcisnęła na nim gen polski, a pan, gubernatorze, wyrazi tylko zgodę na zawieszenie jej w centralnym punkcie miasta". Po dłuższej chwili zastanowienia głowa Kamczatki skinęła głową: „Może pan na to liczyć". Wygrałem. Dobiłem się tego, o co od dawna bezskutecznie zabiegali rodzimi dyplomaci, organizacje społeczne czy nawet znamienity pionier badań związków polsko-rosyjskich prof. Antoni Kuczyński.

Pół roku później miałem niekłamaną satysfakcję, że w 150. rocznicę powstania styczniowego, przyczynku na rzecz „ocalenia od zapomnienia" i wyeksponowania roli pamięci oraz historii w kształtowaniu się tożsamości narodowej, mogłem przyczynić się do wydobycia z niepamięci jednego z jego bohaterów. W tym wielkim projekcie wspierali mnie Rosyjskie Towarzystwo Geograficzne, które w przeszłości okazywało pomoc polskim badaczom i wyjednywało dla nich ułaskawienia u imperatora, a także Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, ambasador Federacji Rosyjskiej w Polsce oraz ambasador RP w Rosji. Stałem wówczas przy dopiero co odsłoniętej płycie bez świadomości, że za niespełna dekadę upadną wszelkie wspólne pomysły, kontakty, idea ocieplania stosunków sąsiedzkich – a Rosja ostatecznie okaże się państwem terrorystą.

Dzisiaj z niesłychanym trudem przychodzi mi odtwarzać skreślone do mnie przez gubernatora słowa afirmacji odczytane podczas uroczystości: „To ważne dla Kamczatki wydarzenie niesie w sobie wielce kształcącą misję. Syn polskiego narodu Benedykt Dybowski pozostawił zaszczytną pamięć w historii Rosji [...]. W imieniu wszystkich mieszkańców Kraju Kamczackiego wyrażam Panu wdzięczność za silny twórczy potencjał i ukierunkowanie na osiągnięcie celu. Za to, że był Pan w stanie przywrócić historyczną pamięć i oddać należyty szacunek tym, którzy bez reszty oddali przybranej ojczyźnie serca i umysły, wnosząc istotny wkład w poznanie Syberii i rosyjskiego Dalekiego Wschodu".

W tej chwili, gdy zrezygnowałem na zawsze z odwiedzania Rosji, odciąłem się od dawnych przyjaciół, którzy, zwiedzeni propagandą, popierają krwawego satrapę Putina, pozostaje mi wierzyć, że na dalekiej Kamczatce nikt nie wykuje z muru płyty poświęconej człowiekowi, który pozostawił po sobie tak chwalebny ślad. Bo choć w roku 1883 został wezwany do kraju na katedrę zoologii na Uniwersytecie Lwowskim i poświęcił się pracy pedagogicznej i naukowej, to jego wkład badawczy w niegościnnej zauralskiej krainie pozostanie niezachwianym świadectwem humanistycznej postawy Benedykta Dybowskiego, patriotycznego syna nacji, która miała żywy wpływ na rozwój tej części Azji.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c7853be07a

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Cień Radnot

RYS. MART

Położone dziś w centralnej Rumunii miasteczko Radnot i zrujnowany, zaniedbany zamek rodu Rakoczych odegrały złowrogą rolę w dziejach Rzeczypospolitej. Tutaj 6 grudnia 1656 r. podpisano traktat pomiędzy królem Szwecji Karolem X Gustawem a księciem Siedmiogrodu, w obrębie którego znajdowało się wówczas miasto, Jerzym II Rakoczym. Zakładał on wspólne prowadzenie wojny przeciwko Rzeczypospolitej, a także podział jej terytoriów. Dlatego Władysław Konopczyński uznał, że był to traktat rozbiorowy Rzeczypospolitej, złowroga zapowiedź zagłady Korony i Litwy, która nadeszła 120 lat później. Do dziś narosło wokół niego bardzo dużo niejasności. Spróbujmy wyprostować niektóre z nich.

Po pierwsze i najważniejsze, traktat był świadectwem klęski, a nie siły Szwecji. Po zajęciu ziem zachodniej Korony, po tym, jak szlachta masowo poddawała się agresorowi, Karol X Gustaw nie był w stanie pokonać wojsk Jana Kazimierza. Po długiej i wyniszczającej kampanii armia szwedzka została osaczona w widłach Wisły i Sanu. Chociaż wymknęła się z pułapki i przy wsparciu elektora brandenburskiego wygrała bitwę pod Warszawą pod koniec lipca, to nie oznaczało to pokonania armii polsko-litewskiej i przełomu w wojnie. Król Szwecji podpisał z Fryderykiem Wilhelmem traktat sojuszniczy w Malborku i kolejny w Labiawie, ale wsparcie elektora okazało się za słabe dla utrzymania zdobyczy. W poszukiwaniu kolejnych sojuszników Szwedzi nawiązali zatem kontakty z księciem Siedmiogrodu, który od dawna przejawiał zainteresowanie zdobyciem Korony Polskiej, wzorem Stefana Batorego.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Po drugie, Radnot było odpowiedzią na zacieśniający się wokół Szwecji i Brandenburgii okrąg sojuszy formującej się koalicji, dla której zagrożeniem była nagła ekspansja Karola X Gustawa. 3 listopada Jan Kazimierz zawarł układ w Niemieży z carem Aleksym Michajłowiczem dający przerwę w toczącej się od 1654 r. wojnie z Moskwą. Wcześniej, bo pod koniec maja, wojska carskie zaatakowały Szwedów w Inflantach. Jednocześnie 1 grudnia 1656 r. Rzeczpospolita zawarła przymierze z cesarzem Ferdynandem III Habsburgiem, co było zapowiedzią, że wkrótce państwo Habsburgów przyłączy się do wojny, zaniepokojone wzrostem znaczenia Szwecji i polityką księcia siedmiogrodzkiego.

Król Szwecji, który jeszcze rok wcześniej uznany został przez szlachtę władcą polskim i suwerenem Litwy, musiał teraz podzielić się łupem z sojusznikami.

Traktat przewidywał zatem rozbiór Rzeczypospolitej i chociaż tak naprawdę negocjowały go i zawarły dwie strony, Szwecja i Siedmiogród, to uwzględniał przy podziale naszego kraju interesy wszystkich jego przeciwników – elektora Brandenburskiego, księcia Bogusława Radziwiłła i Bohdana Chmielnickiego. Król Karol X Gustaw otrzymać miał Prusy Królewskie i Kujawy, a także pas ziem okrążających posiadłości elektora – Żmudź, kawał Litwy aż do Inflant polskich i Księstwa Kurlandii. Jerzy Rakoczy otrzymywał Kraków i południową część Korony aż do Rusi Czerwonej i Wołynia.

Natomiast trzej pozostali sojusznicy, którzy nie uczestniczyli w zawieraniu traktatu, zagarniali: elektor pruski Wielkopolskę z Kaliszem, Łęczycą, Sieradzem oraz Wieluńskiem. Książę Bogusław Radziwiłł województwo nowogrodzkie jako udzielne księstwo. Natomiast Bohdan Chmielnicki, którego łupy określono w traktacie bardzo ogólnie, otrzymać miał Ukrainę. Kozacki hetman, teoretycznie lennik Moskwy, popierał jednak traktat militarnie, wysyłając na pomoc Rakoczemu i Szwedom kozacki korpus płk. Antona Żdanowicza. Samo uznanie jego interesów pokazywało, jak silną pozycję uzyskało państwo kozackie pod koniec życia Chmielnickiego.

Traktat w Radnot nie został i w zasadzie nie mógł być wprowadzony w życie z powodu słabości i porażek jego sygnatariuszy. W czerwcu kolejnego roku Dania zaatakowała Szwecję, a Rakoczy, który wkroczył do Małopolski, poniósł kompletną klęskę, pobity pod Magierowem i Czarnym Ostrowem. Opuszczony przez Szwedów, odchodzących na wojnę z Danią, i kozaków, którzy wycofali się na Ukrainę, na koniec pobity przez Polaków i Tatarów wrócił do Siedmiogrodu, który doczekał się odwetowego najazdu wojsk Jerzego Sebastiana Lubomirskiego i stracił tron w 1660 r.

Efektem układu w Radnot było jednak kompletne spustoszenie południowej Polski i Podlasia; to czego nie spalili i nie rozgrabili Szwedzi, zniszczyli Węgrzy Rakoczego. Oznaczało to kolejne osłabienie potencjału gospodarczego i militarnego Rzeczypospolitej. ©℗

eprasa.pl c7853be07a

SIOSTRY GOTUJĄ

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

Czas nawrócenia

Czterdzieści dni Wielkiego Postu to szczególny czas w roku liturgicznym – poprzedza on chrześcijańskie Święto Paschy i nawiązuje do 40-dniowego czasu przebywania Jezusa na pustyni. Dla chrześcijan jest czasem pokuty, jałmużny i nawrócenia, a zarazem przygotowania do najważniejszych i najpiękniejszych naszym zdaniem Świąt Wielkanocnych. Zaczyna się od Środy Popielcowej i od schowania głęboko do szafy balowych kreacji. Pierwszy tydzień Wielkiego Postu zazwyczaj upływa na sumiennym przestrzeganiu wielkopostnych postanowień. Podstawowe trio obietnic wielkopostnych to powstrzymywanie się od spożywania alkoholu, słodyczy i mięsa. Co zatem możemy zaproponować w tym czasie w rubryce kulinarnej? Wbrew pozorom bardzo wiele!

Na początek niech pojawią się na naszym stole treściwe i bardzo smaczne placki ziemniaczane. Nasz dziadek Józef bardzo lubił je jeść. Tarł ziemniaki na grubych oczkach, smażył na żeliwnej patelni i takie mocno wysmażone podawał z kwaśną śmietaną.

Placki są łatwe do zrobienia zwłaszcza teraz, kiedy mamy dostęp to blenderów i innych urządzeń kuchennych. Są jednak zwolennicy placków tartych na tradycyjnej tarce ręcznej i uważają, że tylko takie są najsmaczniejsze. Wariant wegetariański znamy wszyscy, ale gdyby ktoś miał potrzebę i chciał wprowadzić do diety trochę mięsa, to może zrobić placki z boczkiem wędzonym.

Placki ziemniaczane z wędzonym boczkiem

• 1 kg ziemniaków • 2 średnie cebule • 2 jajka • 5 łyżek mąki ziemniaczanej • 300 ml oleju do smażenia • 20 dag wędzonego boczku pokrojonego w drobną kosteczkę • kwaśna śmietana lub jogurt naturalny do podania • ząbek czosnku, sól, pieprz do smaku • koperek lub zielona pietruszka

Ziemniaki ścieramy na tarce lub blendujemy, przekładamy na sito, aby odprowadzić nadmiar wody, odciskamy. W tym czasie boczek podsmażamy na patelni i bez nadmiaru wytopionego tłuszczu przekładamy do tartych ziemniaków. Dodajemy jajka, mąkę, czosnek przeciśnięty przez praskę, sól, pieprz. Masę dobrze wyrabiamy. Na patelni rozgrzewany olej i smażymy placuszki z każdej strony na złoty kolor. Podajemy ze śmietaną lub jogurtem, posypujemy natką lub koperkiem. Smacznego! ©℗

FOT. ADOBE STOCK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

JOANNA BOJAŃCZYK

Fałszerz antyków

Antyki są niemodne. Za duże, niepraktyczne, nie mieszczą się w drzwiach, nie pasują, odnawianie jest drogie. Młodzi wolą meble designerskie.

Jednak nie wszyscy i nie wszędzie. W rezydencji oligarchy na Lazurowym Wybrzeżu, w willi na Wyspie Miliarderów obok Miami, w pałacu w Katarze zabytkowy mebel poczuje się doceniony i całkiem na miejscu. W sąsiedztwie włoskiej kanapy Antonio Citterio za 10 tys. euro świetnie się zaprezentują komoda Ludwik XV zdobiona intarsjami, brązami i kością słoniową, szafka Boulle'a, choćby niewielka, lecz koniecznie francuska.

Takie okazy można było znaleźć w sklepie i pracowni konserwacji antyków Jeana Lupu, paryskiego antykwariusza z Faubourg Saint-Honoré. Miejsce przyciągało koneserów i miliarderów. Przychodzili Rosjanie, Amerykanie, mieszkańcy krajów Zatoki Perskiej. Podziwiali i kupowali okazy XVIII-wiecznych mebli. Pojedyncze, czasem w kompletach. Monsieur Lupu był cenionym i znanym w środowisku ekspertem, członkiem Krajowego Związku Handlarzy Antykami, Krajowego Towarzystwa Ekspertów.

Ale zapotrzebowanie było większe niż podaż, w końcu chodzi o dzieła sztuki. Od czegóż kreatywność? Pan Lupu, mężczyzna doświadczony i energiczny, postanowił rozwiązać problem. Znał się na interesie. Skrzyknął ekipę fachowców: stolarzy, ebenistów, złotników, rzeźbiarzy, brązowników. Udostępnił piwnicę pod antykwariatem. Przejął stery operacji, jako menedżera zatrudnił bratanka. Produkcja „antyków" szła wzorowo.

Wszystko sprawnie działało aż roku 2014, kiedy jeden z kolegów doniósł, że pod mahoniową podłogą atelier na Faubourg dzieją się dziwne rzeczy. Wkroczyli śledczy i najgorsze podejrzenia się potwierdziły. Pan Lupu fałszował antyki. Bardzo fachowo, w końcu znał się na tym. Tylko znawca mógł odróżnić falsyfikat od oryginału.

Sprawa wstrząsnęła rynkiem sztuki i dyskretnym kręgiem kolekcjonerów antyków mebli. Krajowy Związek Handlarzy Antykami, Krajowe Towarzystwo Ekspertów (którego członkiem był Jean Lupu), firma Nectar Art LTD i Fundacja Grandir pour l'Art oraz kilka osób fizycznych stały się stronami cywilnymi sporu sądowego. Zgodnie stwierdzono, że sprawa jest katastrofalna dla rynku sztuki i dla zawodu antykwariusza.

Przy okazji okazało się, że bratanek dzięki dyskretnemu wsparciu kancelarii szwajcarskiej przekazał 6 mln euro pochodzących z transakcji do banku w Katarze. Twierdzi, że nie miał pojęcia, że pieniądze pochodzą z przestępstwa, pomagał tylko stryjowi.

A ponieważ ten ostatni ma 90 lat i, jak twierdzi jego adwokatka, początki alzheimera, niewykluczone, że na ławie oskarżonych nie będzie kogo posadzić. ©℗

eprasa.pl c7853be07a

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Covidowy pasterzyk

Ostatnio przypomniała mi się przypowieść o ezopowym pasterzu i wilkach. Dla przypomnienia – pasterz z nudów postanowił się zabawić, krzycząc coraz to, że wilki nadchodzą. Ludność się zbiegała, by pomóc, ten zaś się z nich nabijał. Zabawa była fajna dopóty, dopóki wilki naprawdę nie przyszły. Wtedy na takie samo, tym razem niefake'owe, wołanie pasterza nikt nie przyszedł. Tak samo mamy i teraz.

Należy przypomnieć, że przed COVID tacy pasterze siedzieli cicho. W samej pandemii mieliśmy już festiwal pasterzy (medycy) wyposażonych w nowe bębny (media), którzy ekscytowali coraz to publiczność, że oto nadchodzi kolejny wariant pandemicznego wilka. Wymienię pierwsze z brzegu: kraken, omikron, XBB, deltakron, eris, IHU, delta, alfa, NeoCov, MU, COV-22, wariant brytyjski czy B.1.526 (mutacja E484K). Tyle tego było i grubo więcej. Każdy wariant, warto przypomnieć, groźniejszy od poprzedniego, co drugi odporny na szczepionki – co rujnowało narrację, że na kłopoty Szczypalski, a także dawało nieskończony pretekst do kolejnych zaszczepień, które tylko goniły króliczka byłych wariantów. Ale tu, jak widać, chodziło bardziej, by go gonić niż złapać.

Gdyby te wszystkie przepowiednie miały się sprawdzić choć w połowie, to już dawno byłoby po nas. Dowód z rzeczywistości, że żyjemy, przeczy prawdziwości tych opowieści, kierując je w rejony pandemii paniki potrzebnej do uzasadnienia obostrzeń i przymusu (jak widać, kompletnie nieskutecznego) szczepień. W końcu mamy sytuację, że kolejny śmiertelny w opowieściach wariant koronawirusa o nazwie Pola szaleje, ponoć niewykrywany zaniedbaniami testowymi, program szczepień ugrzązł w salach sądowych, a nie w przychodniach i jakoś nikt nie umiera. A jak poczytamy o tej Poli, to włosy się jeżą na łysej głowie – taka ona groźna.

W końcu wylądowaliśmy w kolejnej zatoczce absurdu. Teraz nauka wykazała, że uzyskana odporność szczepienna jest lepsza, kiedy zmienia się ramię do wstrzyknięcia. Szkoda, że szczepieni nie wiedzieli tego wcześniej, bo tak by sobie podzielili nie tylko dawki, lecz także ramiona na parzyste i nieparzyste. Teraz wiedzą, dlaczego im poszło nie do końca skutecznie.

Pastuszek covidowy za często nawoływał dla pandemicznej hecy. Szkoda jest taka, że gdyby teraz naprawdę przyszło coś poważnego, to nikt już się nie da „nabrać". Będzie reagował jak na ściemę. Dowód – proszę: drastycznie zmniejszył się procent rodziców godzących się na szczepienia dzieci. Tak rozlał się na inne specyfiki wmuszany szantaż pobierania „najlepiej przebadanej szczepionki w historii". ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Niemcy uzbrojone po... tęczę

Po wypowiedzi Donalda Trumpa o tym, że z krajami, które nie płacą 2 proc. swojego PKB na armię, Putin może robić, co chce, w sieci pojawiły się wykresy pokazujące, iż ledwie jedna trzecia krajów NATO spełnia ten wymóg. Polska w rankingu za rok 2023 wypada najlepiej, ze wskaźnikiem 3,9 proc. PKB. Następne są USA, Grecja, Estonia, Litwa, Finlandia, Rumunia. W połowie są m.in. Holandia, Norwegia, Niemcy (1,5 proc.), a prawie na końcu Włochy, Hiszpania, Kanada. Zatem im dalej od granicy z Rosją, tym mniejsza ochota na zbrojenia.

Wiadomo, że wypowiedź kandydata na prezydenta USA kierowana jest do Niemiec. Dla Bundeswehry luty 2022 r. był bolesnym sprawdzianem. Niechęć do wspierania Ukrainy w pierwszym okresie rosyjskiej agresji nie wynikała tylko z kunktatorskiej polityki Olafa Scholza. Gdy w końcu obok osławionych 5 tys. hełmów Niemcy zgodziły się wysłać 2,7 tys. przeciwlotniczych pocisków rakietowych, była to broń sowieckiej produkcji, otrzymana w spadku po NRD. Według doniesień niemieckich mediów wiele z nich nie nadawało się do użytku.

W listopadzie 2022 r. płk Andre Wüstner, szef Niemieckiego Związku Sił Zbrojnych, powiedział, że Bundeswehrze brakuje amunicji o wartości 20–30 mld euro. Katastrofalne braki to efekt wieloletnich zaniedbań kierownictwa resortu. Kto nim rządził? Dwie urocze panie: do 2019 r. Ursula von der Leyen, a potem Annegret Kramp-Karrenbauer.

Za czasów von der Leyen resort obrony wydał kilkaset milionów euro na analizy i konsultacje, zamawiane z pominięciem obowiązujących procedur u kilku zewnętrznych firm.

Gdy resortem kierowała jej następczyni – Kramp-Karrenbauer – w elitarnej jednostce sił specjalnych (KSK) odkryto aferę: zniknęła duża ilość materiałów wybuchowych i amunicji. Tak jak jej poprzedniczka, Kramp-Karrenbauer bardziej niż brakami uzbrojenia interesowała się jednak realizacją polityki równości w Bundeswehrze. W trakcie jej urzędowania resort obrony przeprowadził dochodzenie dotyczące dyskryminacji homoseksualnych żołnierzy w niemieckiej armii w ostatnich 40 latach. Resort wypłacił ofiarom prześladowań 450 tys. euro. Na marginesie: warto poinformować premiera Tuska, że – jak pokazuje ta historia – Republika Federalna nawet po kilkudziesięciu latach skłonna jest płacić odszkodowania za szkody popełnione przez niemiecką armię. ©℗

eprasa.pl c7853be07a

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

A potem zaczęli być nieprzyjemni

Na udręczonych sercach i oczach naszych rodzi się tradycja, niestety. Stop. W Środę Popielcową posłanki Lewicy i KO postanowiły potańczyć zespołowo w Sejmie taki tam synchroniczny układ przy skocznej muzyce. Stop. Powodem radosnych pląsów był protest przeciwko przemocy wobec kobiet i projekt zmiany definicji gwałtu. Stop. Czyli wpływowe kobiety tańczą, żeby inne kobiety nie były krzywdzone? Rozumieją państwo? Spokojnie, nikt tego nie rozumie...

Politycy PiS dostali zakaz przychodzenia do państwowych mediów będących w tzw. likwidacji. Stop. Napisałem „w tzw. likwidacji", bo wszyscy wiedzą, że o żadną likwidację nie chodzi, tylko o przejęcie. Stop. Przyznać trzeba, że to znakomity pomysł PiS, żeby przed wyborami samorządowymi i do Parlamentu Europejskiego dotrzeć ze swoimi pomysłami do wyborców. Stop. Geniusz wisi nad PiS...

PAP podała, że władze Kolumbii nie mogą odzyskać willi w Medellín wartej ponad 13 mln zł, należącej do rodziny barona narkotykowego Pabla Escobara. Stop. Prawnicy reprezentujący rodzinę twierdzą, że w środku przebywa chory 22-letni bratanek Escobara, bez środków do życia, co uniemożliwia eksmisję. Stop. Nie jestem prawnikiem i proszę nie traktować tego jako porady, ale może trzeba by do willi wysłać adwokata Piotra Zemłę, który wkroczyłby i powiedziałby, że jest przewodniczącym Rady Nadzorczej TVP, i mógłby dodać, żeby sobie wszyscy poszli. Stop. Wiem, że to brzmi idiotycznie, ale raz już zadziałało...

W Polsce i w połowie Europy protestują rolnicy. Protestują przeciwko polityce Komisji Europejskiej związanej z „Fit for 55", czyli postulującej zmniejszenie emisji gazów cieplarnianych do 2030 r. o 55 proc., a także przeciwko polityce celnej z Ukrainą. Stop. Ciekawy wątek wychwycili rządzący, twierdząc, że za Zielony Ład w Polsce – i nie tylko – odpowiada unijny komisarz z ramienia PiS, Janusz Wojciechowski. Stop. Kaczyński zażądał od Wojciechowskiego dymisji, a Wojciechowski wykonał zaskakujący ruch, powiedział mianowicie: „Dziękuję rolnikom za protesty, bo dzięki temu może dojść do wzmocnienia europejskiego rolnictwa i poprawy polityki rolnej". Stop. Ja się tak frywolnie zastanawiam, czy gdyby nie dziękować, tylko prowadzić unijną politykę rolną bez poprawiania, to czy może nie dochodziłoby do protestów zdesperowanych rolników walczących o przeżycie? Stop.

Wiceminister rolnictwa, Michał Kołodziejczak, zawsze był po stronie protestujących, ale teraz zadebiutował po stronie władz. Stop. Debiutu nie będzie miło wspominać: nazwano go debilem, spalono jego kukłę, a potem rolnicy zaczęli być nieprzyjemni. ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Barbarossa z Woronicza

Niezwykła i tajemnicza przygoda przytrafiła się przed dwoma miesiącami byłemu już prezesowi TVP, Mateuszowi Matyszkowiczowi. Stało się to w czasie, gdy cała Polska z zapartym tchem śledziła homeryckie boje toczące się wokół rozrzuconych po Warszawie budynków telewizji publicznej. Jedne bastiony telewizyjnego oporu padały, inne, oblężone, trwały. Zmobilizowani do obrony widzowie skrzykiwali się w drużyny i niczym broniący przepraw na Berezynie wiarusi napoleońskiej Starej Gwardii trwali przy swoich idolach, smagani deszczem i śniegiem. W szańcach przy placu Powstańców dawało się czasem dostrzec marsowe oblicza Prawicowych Hipsterów. Ich wodza jednak nie było.

Zniknięcia Matyszkowicza nie powstydziłby się mistrz medialnej iluzji David Copperfield. Człowiek, który przez ostatnie dwa lata nie schodził prawie z telewizyjnych ekranów, rozpłynął się niespodziewanie w grudniowej mgle. Z dnia na dzień przestały o nim wspominać zarówno media rządowe, jak i opozycyjne. Wszechwładny prezes, od roku 2022 jednoosobowo zarządzający telewizyjnym ramieniem Zjednoczonej Prawicy, błyskawicznie wyparował ze zbiorowej pamięci Polaków. Dawni wielbiciele przestali go wspominać, wrogowie krytykować. Fenomen ten zasługuje na uwagę.

Zniknięcia tak doskonałe nie przytrafiały się nawet politykom w mrocznych czasach stalinizmu. Postać Nikołaja Jeżowa retuszowano ze wspólnych zdjęć z Wodzem, a Ławrientija Berię wycinano żyletkami z tomów sowieckiej encyklopedii, jednak wzmianki o ich procesach pojawiały się czasem w prasie. W XX-wiecznej historii podobnie spektakularne zniknięcie udało się chyba tylko amerykańskiemu działaczowi związkowemu Jimmy'emu Hoffie. Nic dziwnego, że postać ta zaintrygowała filmowców, stając się inspiracją dla filmu Martina Scorsese „Irlandczyk". Zniknięcie prezesa Matyszkowicza, choć rozgrywające się wyłącznie (miejmy nadzieję) w sferze medialnej, nie ustępuje dramatyzmem filmowej opowieści.

Najbliższą analogią do losów byłego prezesa wydaje mi się legenda otaczająca niemieckiego cesarza Fryderyka Barbarossę. Brodaty ów władca ukryć się miał z rycerzami w tajemniczej jaskini. Wyjdzie z niej dopiero wtedy, gdy jego ruda broda trzykrotnie owinie się wokół stołu, za którym siedzi. Wtedy wybawi on swoich rodaków z najcięższych opresji. W średniowiecznej legendzie nic się wprawdzie nie mówi o założeniu Naczelnikowi wielkiej stacji telewizyjnej i wygraniu kolejnych wyborów, jednak miłośnicy niegdysiejszej TVP mogą sobie szczegóły swobodnie dośpiewać. ©℗

eprasa.pl c7853be07a

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Zwycięski (niestety) Hannibal

GRZEGORZ KUCHARCZYK

Kolejny tom „Pro memoriów" prymasa Wyszyńskiego (tom XVIII, 1971 r.) i kolejna okazja poznania dnia codziennego kardynała i arcybiskupa Gniezna oraz Warszawy. Po lekturze każdego tomu pojawia się podziw dla pracowitości autora. Wystarczy policzyć liczbę przyjmowanych na audiencji gości plus narady – od budownictwa sakralnego, spraw personalnych do „wielkiej" polityki – dodać do tego wizytację kanoniczną w podwarszawskiej parafii, a wieczorem kolejne audiencje i pracę nad papierami – i tak dzień w dzień – by mieć pojęcie, jak bardzo pracowitym, a także doskonale zorganizowanym człowiekiem był Prymas Tysiąclecia.

W każdym tomie codziennych zapisków kard. Wyszyńskiego znajdujemy perełki jego niepowtarzalnego stylu

„Pro memoria" to również kopalnia wiedzy o codziennych problemach zarządzania Kościołem. Również w tomie z roku 1971 znajdujemy informacje o zmaganiu się prymasa z forsowaną przez komunistów „normalizacją" relacji państwo – Kościół, a także z wyzwaniami stwarzanymi przez „katolików usługowych" z PAX-u, „katolików milczących" ze „Znaku" i „Tygodnika Powszechnego", który – jak czytamy w jednym z wpisów – „mógłby wychodzić we Francji, w Niemczech itp., ale dla Kościoła w Polsce mało ma miejsca". A jeszcze na codziennej agendzie rządcy archidiecezji gnieźnieńskiej i warszawskiej było zachęcanie duchowieństwa do „wyzwalania się z tendencji dorożkarskich i kawalerskich", a do wytrwania tych, którzy chcieli odejść z kapłaństwa. I ten cudowny „rygoryzm" słów komentarza po rozmowie z jednym z „chwiejących się" księży: „Nie jestem od tego, by ludzi z kapłaństwa wyzwalać, ale by ich zachęcać do wierności. Radzę wziąć się do pracy, zapomnieć o sobie, służyć ludziom, a nie sobie" (5 marca 1971 r.).

W każdym tomie codziennych zapisków kard. Wyszyńskiego znajdujemy perełki jego niepowtarzalnego stylu – trzeźwego, zdroworozsądkowego sądu, niepozbawionego ironii (także autoironii). A wszystko to wyrażone w znakomitej polszczyźnie. Tak jak jednozdaniowy komentarz po spotkaniu w rezydencji na Miodowej z człowiekiem podającym się za „mocnego filozofa katolickiego", skarżącego się, że przez prymasa traci wiarę: „Okazuje się, że »przy furcie« musi być człowiek, który umie rozróżniać duchy" (6 kwietnia 1971 r.). Albo spostrzeżenie po obserwacji idących z warszawską pielgrzymką na Jasną Górę „beatlesów – młodych ludzi, brodatych, obwieszonych łańcuchami, medalikami, krzyżami dużych rozmiarów": „Radzimy nie niepokoić się nimi. Może ich prowadzi bezadresowe szukanie Boga" (14 sierpnia 1971 r.). Pyszne.

A jeszcze bardziej smakowite, choć posmak jest mocno gorzkawy, są spostrzeżenia prymasa o skutkach wprowadzania „w terenie" tzw. odnowy liturgicznej po soborze. Kardynał Wyszyński, jeden z Ojców Vaticanum II, zasiadający w jego prezydium, zżyma się w swoich codziennych zapiskach na „talmudyzm rubrycystyczny", w imię którego zakazano w sobotę odprawiania Mszy wotywnej ku czci Maryi. Radzi siostrom niepokalankom, „żeby dokończyły wystroju ściany, w której tabernakulum robi wrażenie piecyka do pieczenia chleba", a jednemu z proboszczów warszawskich parafii poleca „unikać sugestii »liturgistów – purytanów«, którzy chcieliby zepchnąć Pana Jezusa »do ciemnicy«, wyeksponować główny ołtarz i odczyścić świątynię od znaków nabożeństwa partykularnego" (13 lutego 1971 r.).

Parokrotnie wspomina prymas o złowrogiej postaci „Hannibala z Kongregacji Rytów" – abp. Annibala Bunigniego, odpowiedzialnego wraz z kierowaną przez siebie komisją za opracowanie konkretnych sposobów zalecanego przez sobór „odnowienia" liturgii. Jego dziełem był nowy ryt odprawiania Mszy Świętej (Novus Ordo) wprowadzony w 1969 r., który oznaczał dewastacje odwiecznego, znacznie starszego niż sobór trydencki, klasycznego rytu rzymskiego.

Dwa lata po promulgacji nowego mszału prymas Wyszyński zapisał swoje wrażenia po nabożeństwie tzw. ciemnej jutrzni w Wielki Piątek 1971 r.: „Można się wczuwać w misterium Krzyża, które tak obrazowo jest przedstawione w oficjum brewiarzowym. Szkoda, że to zanika. Hannibal z Kongregacji Rytów i to skasuje, i skróci tak, jak skrócił obrzęd konsekracji świętych olejów. Do czego mu się tak spieszy? I co będzie robił, gdy już zniszczy cały dorobek wiekowy Ecclesiae orantis [Kościoła modlącego się]? Może i za niego trzeba się modlić, »bo nie wie, co czyni«?" (9 kwietnia 1971 r.).

Niestety. Ten Hannibal nie zatrzymał się u bram i wiedział doskonale, co robił. ©℗

eprasa.pl c7853be07a

WAKAT

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

86 proc. Amerykanów twierdzi, że Joe Biden jest za stary na drugą kadencję. W ten sposób Joe Biden zjednoczył naród. W żadnej innej kwestii Amerykanie nie są aż tak jednomyślni. Kraj jest wewnętrznie podzielony, wszędzie spory o wszystko, a w tej jednej kwestii niespotykana w historii jedność: Joe Biden jest za stary do rządzenia. Dziś ma lat 81, a pod koniec drugiej kadencji miałby lat 86. Nie powinien kandydować, a jednak kandyduje.

***

Moim zdaniem prawdziwy problem Bidena to nie jest wiek, lecz demencja. Są ludzie starsi od niego, którzy zachowali bystrość umysłu i sprawność ciała, więc tu nie chodzi o wiek. Z demencją kłopot polega na tym, że będzie już tylko gorzej – to nie jest coś, co można poprawić z czasem lub cofnąć. To nie jest chwilowa utrata sprawności, lecz proces postępujący lawinowo. Czyli cokolwiek zrobi sztab Bidena, to już nigdy nie będzie lepiej, niż jest teraz. Mogą się przestać wysilać i… właśnie przestali.

W roku 2023 demencja u Bidena bardzo przyspieszyła. Wcześniej, gdy się pomylił, gdy zgubił wątek, gdy w czasie publicznego wystąpienia zapomniał, gdzie jest i z kim rozmawia, dało się to kamuflować jako „drobne gafy", które zdarzają się przecież wszystkim i są „normalne". Ale… gafa ma to do siebie, że jest gafą tylko wtedy, gdy zdarza się rzadko, a nie gdy jest codzienną regułą każdego wystąpienia.

***

W zeszłym roku „gafa" Bidena polegała na tym, że rozmawiał z osobą nieżyjącą. Był na spotkaniu poświęconym pamięci ważnej osobistości z partii demokratycznej. Miał wygłosić kilka słów na cześć. Wszedł na podium i zaczął mówić te kilka słów na cześć, a potem zaczął wołać tę nieżyjącą osobę, aby wstała z widowni i podeszła do niego się pokazać. Na sali konsternacja, a Biden kompletnie zdezorientowany zakończył stwierdzeniem: „Aha, chyba jej dzisiaj z nami nie ma".

Tamtą „gafę" szybko zamieciono pod dywan, a gdy wtedy ktoś mówił o demencji, to był okrzyczany jako wyjątkowo niegrzeczny. Teraz jest inaczej – codziennie mamy jakąś „gafę", mamy je regularnie, mamy je zagwarantowane i przestały śmieszyć, a zaczęły niepokoić nawet wielkich zwolenników Joe Bidena. 86 proc. Amerykanów zgadza się, że problem jest duży.

W ciągu kilku kolejnych dni mieliśmy taką oto serię: najpierw Biden pomylił prezydenta Egiptu z prezydentem Meksyku, a potem dwukrotnie opowiedział o swoich niedawnych rozmowach z nieboszczykami: we środę wspomniał, jak to rozmawiał z prezydentem Francji Mitterandem (nie żyje od roku 1996), a w niedzielę – jak to rozmawiał o pomocy dla Ukrainy z kanclerzem Niemiec Helmutem Kohlem (ten zmarł w 2017 r.). Komentarze w USA były zgryźliwe: Biden rozmawia z nieboszczykami, bo sam jest nieboszczyk.

***

Nazywanie prezydenta nieboszczykiem nie jest uprzejme, ale jest obrazowe. W tej chwili w USA mamy wakat na stanowisku prezydenta. Biden nie rządzi, bo nie jest w stanie, ale jednocześnie nie umarł, więc nie można wyznaczyć następcy. Gdyby demokraci się zgodzili, dałoby się zastosować poprawkę do konstytucji umożliwiającą uznanie prezydenta za niezdolnego do sprawowania obowiązków. Ta poprawka powstała właśnie dlatego, że istnieją choroby umysłowe, demencja, paraliż, wylew – różne takie zjawiska, a nawet zdarzenia losowe, że nadal żyjesz, ale nie jesteś w stanie sprawować funkcji, czyli trzeba na twoje stanowisko wyznaczyć kogoś innego. No ale na razie demokraci nawet nie chcą gadać o stosowaniu tej poprawki, bo wolą wakat niż Kamalę Harris jako prezydenta.

W tej sytuacji po Białym Domu snuje się zombie Joe Biden, pracę kończy o godz. 15 i cztery dni w tygodniu spędza na wakacjach. Kto rządzi? Kto wydaje rozkazy? Nikt. Ameryka toczy się siłą rozpędu, a w Białym Domu nie rządzi nikt.

***

A co nas to wszystko obchodzi? Problem amerykański, niech oni się martwią. Niezupełnie amerykański, a może nawet amerykański najmniej, bo sama Ameryka jakoś dotrwa do wyborów i ktoś obejmie władzę, ale zanim to się stanie, reszta świata jest wystawiona do rozebrania na kawałki. Chiny, Rosja i Niemcy mogą harcować, bo Biały Dom nie patrzy. A Polska przecież nie jest samodzielna ani silna. W dodatku mamy premiera z opcji niemieckiej realizującego cele niemieckie na polskiej ziemi.

Gdy Stany Zjednoczone mają jakiegoś prezydenta (dowolnego), wówczas istnieje też coś takiego jak interesy amerykańskie, których ktoś pilnuje. Ameryka chce kontrolować Europę (przynajmniej trochę), więc Ameryka kontroluje Niemcy, żeby się nie panoszyły. W sytuacji gdy w Białym Domu nie rządzi nikt, Niemcy w Europie zarządzają po swojemu.

Co to oznacza dla Polski? Gdy Amerykanie są aktywni, wówczas bronią swoich interesów, czyli przy okazji bronią wschodniej granicy Polski. Nie dlatego, że nas kochają – po prostu traktują nas jak swoją strefę wpływów. Gdy Amerykanie są nieaktywni, wówczas to my sami musimy bronić wschodniej granicy. Różnica jest kolosalna: Amerykanie z Rosją zawsze konkurują, czyli zwalczają ruskie wpływy. Natomiast Niemcy z ruskimi się dogadują, a nie walczą.

***

Biden nie powinien kandydować, a jednak kandyduje. Demokraci zapędzili się w kozi róg. Kamuflowali stan zdrowia prezydenta, kłamali, że bystry i rzutki, a teraz się z tego nie ma jak wycofać. Mają kandydata, którego sami nie chcą.

Sprawę da się załatwić na Konwencji Partii Demokratycznej w sierpniu, ale to późno i rozwiązanie będzie siłowe. Jakiś bunt delegatów i wymiana kandydata w ostatniej chwili. ©℗

eprasa.pl c7853be07a

Uwaga: nowe ceny na rok 2024

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA DO RZECZY

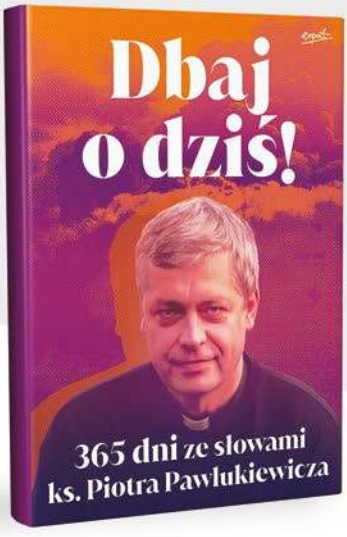

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

KS. PIOTR PAWLUKIEWICZ: „DBAJ O DZIŚ! 365 DNI ZE SŁOWAMI KS. PIOTRA PAWLUKIEWICZA"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~509~~ ZŁ

233,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 276 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl c7853be07a

Narodowy Bank Polski informuje:

Złoty dobrze służy polskiej gospodarce.

Polska rozwija się znacznie szybciej niż kraje, które przyjęły euro.

Łączny wzrost realnego PKB od I kw. 2004 r. do III kw. 2023 r. w wybranych gospodarkach

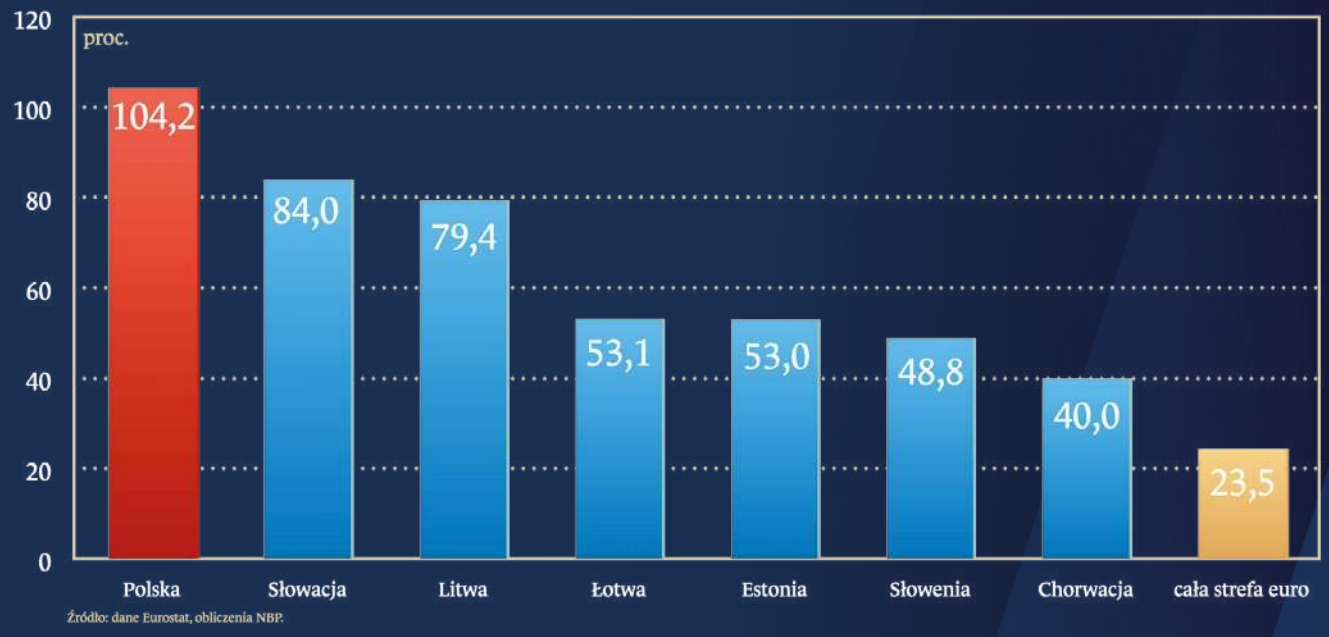

Źródło: dane Eurostat, obliczenia NBP.

nbp.pl

eprasa.pl c7853be07a